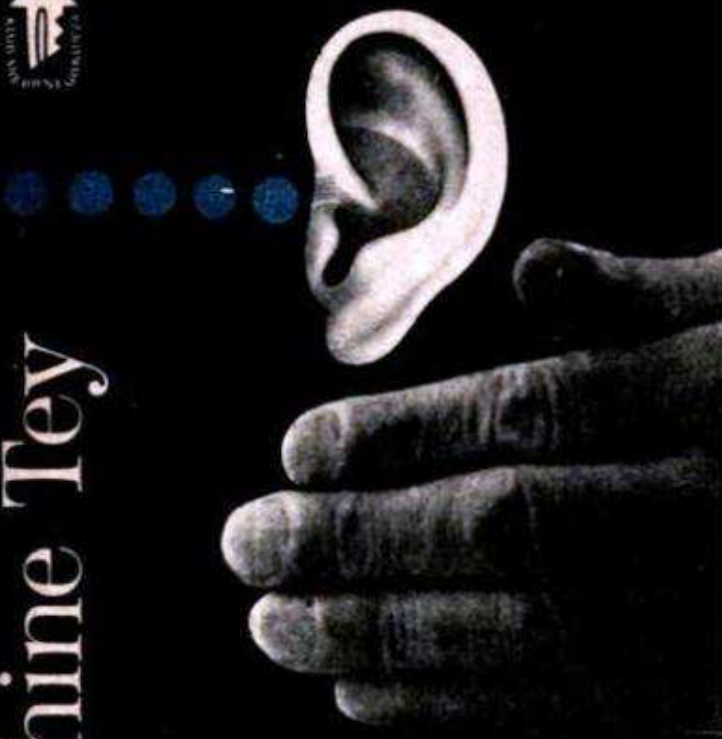




Josephine Tey

TAM PIASKI
ŚPIEWAJĄ





Tytuł powieści „Tam płaski śpiewają” to jedna z linijek wiersza napisanego na marginesie gazety pozostawionej w wagonie sypialnym na trasie Londyn – jeziora Szkocji. Stanie się ona ważnym dowodem w śledztwie, które prowadzi na własną rękę detektyw Alan Grant. Poświęca on tej sprawie cały swój urlop, ponieważ nie wierzy, że młody czło-

wiek, którego znalazłono w przedziale pociągu, został zamordowany natamką.

Scenariusz opowiadający powieści Josephina Ley (1897-1952) znany w Wielkiej Brytanii jako „człowiek z pochodnią”, ukazywany był już w pierwotnym tłumaczeniu na język polski. Wskazywane „złoty” wydany w 1970 r. „Człowiek z pochodnią” wydany w 1974 r. „Człowiek z pochodnią” wydany „Człowiek z pochodnią”

Wydanie 1974 r.

WYKSY

Josephine Tey

Tam piaski śpiewają

Przełożył Krzysztof W. Malinowski



ISKRY • WARSZAWA • 1977

Tytuł oryginału The Singing Sands

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor

HELENA MADANY

Redaktor techniczny

PAWEŁ HOŁOZUBIEC

Korektor

DANUTA WOŁODKO

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1977 r.

Wydanie I.

Nakład 100 000 + 275 egz.

Ark, wyd. 10,9. Ark, druk. 15.

Papier druk, mat, ki. VII 60 g, rola 93 *etti*.

Skład techniką Linotron 505 TC

Druk ukończono w lipcu 1977 r.

Zakłady Graficzne

„Dom Słowa Polskiego”

Zara, nr 1795/K/77. F-14

Cena zł 28.-

*Tam piaski śpiewają
I chodzą kamienie,
Zwierzęta gadają
I stoją strumienie...*

Rozdział I

Był marzec, szósta rano, jeszcze ciemno. Długi pociąg sunął wśród rozproszonych świateł dworca postukując lekko na złączeniach szyn. Zanurzył się w blask stacji rozrządowej i znów w ciemność, między szmaragdy i rubiny świateł sygnalizacyjnych, i dalej ku pustej, szarej przestrzeni peronu pod arkadami.

Londyński ekspres u celu podróży.

Od dworca Euston i od wczorajszego wieczoru dzieliło go pięćset mil drogi pogrążonej w ciemnościach. Pięćset mil pół i śpiących wiosek w świetle księżyca, czarnych miast i niewygasających pieców hutniczych, deszczu, mgły i szronu, śnieżycy i ulewy, tuneli i wiaduktów. Teraz, w ponurym brzasku marcowego poranka,

dookoła wyrosły wzgórza, a on, spokojnie i obojętnie, zajeżdżał na odpoczynek po wytrwałym biegu. I tylko jeden człowiek w całym zatłoczonym pociągu nie odetchnął z ulgą w tym momencie.

A pośród tych, którzy odetchnęli, było przynajmniej dwóch, którzy zrobili to z ulgą nieomal ekstatyczną. Jeden z nich był pasażerem, drugi pracownikiem kolei. Pasażerem był Alan Grant, kolejarzem - Murdo Gallacher.

Murdo Gallacher to konduktor wagonów sypialnych i najbardziej znienawidzona istota pomiędzy Thurso a Torquay. Od dwudziestu lat postrach pasażerów, na których wymuszał haracz. To znaczy haracz pieniężny, bo haracz słowny był dobrowolny. Pasażerom pierwszej klasy znany był szeroko jako Jogurt (O, Boże, znowu Jogurt! - wzdychał każdy, komu na zadymionym dworcu w Londynie zamajaczyła jego kwaśna gęba). Pasażerowie trzeciej klasy nazywali go rozmaicie, szczerze i dosadnie. Jak go nazywali koledzy, lepiej nie powtarzać. Tylko trzech pasażerowie w całej jego karierze okazali się mocniejsi od niego: pewien kowboj z Teksasu, rotmistrz Szkockiej Gwardii Jej Królewskiej Mości i nie znana z imienia dama z przedmieścia Londynu, która zagroziła, że mu rozbije jego łeb butelką po lemoniadzie. Nic nie robiło wrażenia na Gallacherze - ani stanowisko, ani zasługi, pierwsze budziło w nim nienawiść, drugie zawiść, bał się jednak niezmiernie fizycznego bólu.

Przez dwadzieścia lat Murdo Gallacher ograniczał swoje czynności do absolutnego minimum. Jego zajęcie znudziło go, zanim upłynął pierwszy tydzień pracy, ale ponieważ zorientował się, że jest to złota żyła, pozostał, by wyeksploatować ją do końca. Jeżeli komuś podał śniadanie, to herбата była słaba, herbatniki rozmiękłe, cukier brudny, taca pochlapana, i brakowało łyżeczki. Kiedy jednak wracał po tacę, starannie przygotowane reklamacje zamierały pasażerom

na ustach. Zdarzało się czasem, że jakiś admirał marynarki albo ktoś w tym rodzaju ośmielił się zauważyć, że herbata była cholernie podła, pospółstwo jednak płaciło z uśmiechem. Płacili wszyscy - pokorni, zastraszeni i zahukani - przez dwadzieścia lat, a Murdo zbierał zniwo. Był obecnie właścicielem willi w Dunoon, całej sieci smaźalni ryb w Glasgow i okrągłej sumki na koncie bankowym. Mógł już dawno pójść na rentę, ale nie zniósłby myśli o utracie pełnej emerytury. Wobec tego cierpiał dalej nudy wynagradzając to sobie w ten sposób, że nie kwapił się podawać rano śniadań, dopóki pasażer sam się nie upomniał, a czasami, kiedy był bardzo śpiący, w ogóle zapominał o zamówieniu. Witał zawsze koniec trasy z uczuciem więźnia, którego wyrok zbliża się do końca.

Alan Grant, który obserwował przez zamglone okno migające światła dworcowe i wsłuchiwał się w cichy stukot kół, był zadowolony, ponieważ koniec podróży oznaczał koniec nocnej udręki. Grant walczył ze sobą przez całą noc, aby nie otworzyć drzwi na korytarz. Leżał nie mogąc zmrużyć oka i pocił się w swej luksusowej koi. Pocił się nie z powodu gorąca - klimatyzacja działała znakomicie - ale dlatego, że (cóż za wstyd, upokorzenie, udręka!) przedział był Ciasnym Zamkniętym Pomieszczeniem. Dla normalnego oka był to zwykły, schludny mały pokoik z łóżkiem, umywalką, lustrem, półkami na bagaż, półeczkami, które wysuwały się i chowały na żądanie, małą szufladką na ewentualne kosztowności pasażera i haczykiem do wieszania zdjętego z ręki zegarka. Ale dla kogoś wtajemniczonego, udręczonego i prześladowanego było to Ciasne Zamknięte Pomieszczenie.

Przepracowanie, jak powiedział lekarz.

- Niech się pan wyłączy na jakiś czas i wyjedzie na zieloną trawkę - powiedział doktor z Wimpole Street, zakładając elegancko

nogę na nogę i podziwiając swą piękną pozę.

Grant nie był w stanie wyobrazić sobie siebie jako wyłączonego, zieloną trawkę zaś uważał za obrzydliwe określenie i ubliżającą propozycję. Zielona trawka. Tuczenie na ubój. Bezduszne zaspokajanie zwierzęcego apetytu. Zielona trawka, też coś! Samo brzmienie tego słowa było obrażą. Koszmar.

- Czy ma pan jakieś hobby? - zapytał doktor przenosząc pełen podziwu wzrok na swoje buty.

- Nie - odparł krótko Grant.

- A co pan robi na urlopie?

- Chodzę na ryby.

- Na ryby? - powiedział psycholog wyrwany ze swej narcystycznej kontemplacji. - I pan uważa, że to nie jest hobby?

- Oczywiście że nie.

- Więc co to jest według pana?

- Coś pośredniego między sportem a religią.

Na to Pan Doktor z Wimpole Street uśmiechnął się, nabierając zupełnie ludzkiego wyrazu, i zapewnił go, że wyleczenie jest tylko kwestią czasu. Czasu i odpoczynku.

No, przynajmniej udało mu się wytrzymać i nie otworzyć w nocy tych drzwi. Ale zwycięstwo kosztowało go bardzo wiele. Czuł się wyczerpany i przygnębiony, był chodzącą nicością. „Niech pan z tym nie walczy - powiedział lekarz. - Jeśli pan odczuwa potrzebę przestrzeni, niech pan wyjdzie na otwartą przestrzeń”. Ale wczorajszej nocy otworzenie drzwi oznaczałoby śmiertelną klęskę, przed którą nie byłoby już ratunku. Oznaczałoby bezwarunkową kapitulację wobec urojeń. Więc pocił się, ale nie wstał. I drzwi pozostały zamknięte.

Teraz jednak, w niezycliwym mroku wczesnego ranka, w ponurej, anonimowej ciemności, czuł się równie poniżony, jak gdyby

przegrał. Przypuszczam, że tak czuje się kobieta po ciężkim porożu - pomyślał z tym właściwym sobie dystansem, który zauważył w nim i pochwalił Pan Doktor z Wimpole Street. Ale przynajmniej ona ma dzieciaka, którym się może pochwalić, a ja co?

Może dumę. Dumę z tego, że nie otworzył drzwi, których nie było potrzeby otwierać. O, Boże!

Otworzył drzwi teraz. Z wahaniem i świadom zawartej w tym wahanii ironii. Niechęci do spotkania z dniem i z życiem. Pragnienia, aby rzucić się z powrotem w zmiętą pościel i spać, spać, spać.

Chwytał dwie walizki, którymi Jogurt nie raczył się zainteresować, wsunął pod pachę plik nie przeczytanych czasopism i wyszedł na korytarz. Przedśionek na końcu wagonu był niemal pod sufit zawalony bagażem hojniejszych w rozdawaniu napiwków pasażerów, tak że drzwi były prawie niewidoczne, wobec czego Grant przeszedł do następnego wagonu pierwszej klasy. Tu przednia platforma była również zastawiona sięgającą mu do pasa stertą uprzywiłejowanych bagaży, ruszył więc korytarzem w kierunku tylnego wyjścia. W tym momencie sam Jogurt wyszedł ze swojego przedziału na końcu wagonu, aby się upewnić, czy Numer B-Siedem zdaje sobie sprawę, że już dojeżdżają do celu. B-Siedem, podobnie jak każdy Numer, miał prawo opuścić pociąg, kiedy mu się podoba, ale oczywiście Jogurt nie miał zamiaru czekać, aż się ktoś wyśpi, zapukał więc głośno i wszedł do przedziału B-Siedem.

Kiedy Grant znalazł się koło otwartych drzwi, Jogurt szarpał właśnie za rękaw leżącego w ubraniu pasażera B-Siedem i przemawiał łamiącym się głosem:

- Proszę pana, proszę pana, jesteśmy na miejscu!

Spojrzał w stronę drzwi, w których ukazała się właśnie postać przechodzącego Granta i rzucił z niesmakiem:

- Pijany jak bela.

Przedział był przesycony zapachem whisky. Siekiera by zawisła, pomyślał Grant. Machinalnie podniósł z podłogi gazetę, którą Jogurt strącił szarpiąc się z pasażerem, i poprawił marynarkę na podróżnym.

- Czy pan nie widzi, że on nie żyje? - powiedział. Poprzez mgłę zmęczenia docierały do niego jego własne słowa: Czy pan nie widzi, że on nie żyje? Jak gdyby nigdy nic. Czy pan nie widzi, że to pierwosnek? Czy pan nie widzi, że to Rubens? Czy pan nie widzi, że to pomnik księcia Alberta...

- Nie żyje! - zaskowytał Jogurt. - To niemożliwe! Przecież ja schodzę ze służby!

I to jest jedyne, co się liczy dla tego cholernego Gallachera - pomyślał znów z tym swoim dystansem Grant. Ktoś pożegnał się z życiem, ze światem ciepła, uczuć i postrzegania, i przeszedł do nicości, a dla tego drania znaczy to tylko tyle, że się spóźni do domu.

- Co ja teraz zrobię? - biadał Jogurt. - Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś się zapija na śmierć w moim wagonie! Co ja teraz zrobię?

- Wezwie pan policję, oczywiście - powiedział Grant i po raz pierwszy poczuł znowu, że życie może być coś warte. Sprawiała mu przewrotnie makabryczną przyjemność myśl, że trafił swój na swego - czyli Jogurt na pasażera, który odszedł nie zostawiając napiwku i w dodatku przyczyni mu więcej kłopotu niż wszyscy pasażerowie razem wzięci w ciągu całych dwudziestu lat jego służby.

Spojrzał jeszcze raz na młodą twarz pod ciemną rozwichrzoną czupryną i poszedł dalej. Zmarli nie wchodzili w zakres jego obowiązków. Zaliczył już w swojej karierze wystarczającą ilość zgonów i jakkolwiek nigdy nie wyzbył się skurczu serca wobec nieodwołalności śmierci, to jednak już dawno nie wywoływała w nim wstrząsu.

Koła przestały stukotać, rozległ się natomiast głuchy odgłos towarzyszący wjeżdżaniu pociągu na stację. Grant opuścił okno i partrył na przesuwającą się wzdłuż pociągu szarą wstęgę peronu. Zimny powiew uderzył go w twarz i przejął dreszczem, nad którym Grant nie był w stanie zapanować.

Postawił walizki na peronie. Stał szcękając zębami (jak ostatni głupek - pomyślał z niesmakiem) i marząc, aby można było na jakiś czas umrzeć. Gdzieś w zakamarkach mózgu kołatała myśl, że dygotanie z zimna i zdenerwowania na peronie dworcowym o godzinie szóstej w marcowy ranek może być w ostateczności uważane za przywilej jako następstwo faktu, że się żyje, ale mimo to - jakby to było dobrze umrzeć tymczasowo i podjąć życie trochę później, w bardziej odpowiednim momencie.

- Do hotelu? Proszę bardzo - powiedział bagażowy. - Już się robi, tylko odstawię ten wózek.

Grant wszedł po schodach na pomost. Drewno dudniło głucho pod nogami, gęste obłoki pary kłębiły się wokół niego, hałasy rozbrzmiewały pod sklepieniem zwielokrotnione echem. Z tym piekłem to pomyłka - pomyślał. Piekło nie jest wcale takim przytulnym, ciepłym miejscem, gdzie człowieka smażą, piekło jest wielką, rozbrzmiewającą echem czeluścią, gdzie nie ma ani przeszłości, ani przyszłości, tylko ciemność i rozpacz. Piekło to esencja zimowego poranka po bezsennej nocy pełnej odrazy do samego siebie.

Wszedł na pusty plac. Nagła cisza podziałała na niego kojąco. Ciemność była zimna, lecz czysta. Lekki odcień szarości w jej czerni zapowiadał nadejście poranka, a czysta biel smużki śniegu mówiła o „górze szczytach”. Za chwilę, jak już będzie jasno, przyjedzie po niego do hotelu Tommy i wyruszą razem poprzez bezkresny, czysty krajobraz Szkocji; zapuszczą się w głąb rozległego, niezmiennego, bezpretensjonalnego świata, gdzie ludzie umierają we własnych

łózkach, gdzie i tak nikt nie kwapi się zamykać drzwi, bo to zbyt kłopotliwe.

Hotelowa jadalnia oświetlona była tylko w jednym końcu, a szeregi nie przykrytych stołów z blatami obciągniętymi suknom ginęły w mroku nie oświetlonej części sali. Przyszło mu na myśl, że nigdy dotychczas nie widział takich nagich stołów restauracyjnych. W gruncie rzeczy były to bardzo skromne, wręcz nędzne przedmioty odarte z białych uniformów. Podobnie jak kelnerzy bez białych gorców.

Dziewczynka w czarnej służbowej sukience, na którą miała narzucony zielony haftowany w kwiatki sweterek, wychyliła głowę zza przepierzenia, najwyraźniej spłoszona jego widokiem. Zapytał, co może dostać na śniadanie. Przyniosła z kredensu solniczkę i postawiła przed nim na stole z taką miną, jakby oznajmiała podniesienie kurtyny.

- Zaraz panu przyślę Mary - powiedziała grzecznie i znikła za przepierzeniem.

Pomyślał, że dzisiejsza obsługa zesła na psy i straciła polor. Znarowiła się, jak mówią gospodynie. Ale czasem wobec obietnicy przysłania Mary można przymknąć oko na różne haftowane sweterki i podobne niedociągnięcia.

Mary, pulchna i łagodna, niezawodnie byłaby nianią, gdyby nianie już nie wyszły z mody. Jako przedmiot jej troskliwych zabiegów Grant poczuł miłe odprężenie, niczym dziecko, które czuje opiekę życzliwej odpowiedzialnej osoby.

Do czego to doszło - pomyślał z goryczą - aż tak potrzebuję opieki, że nawet gruba hotelowa kelnerka może mi jej dostarczyć.

Ale jadł, co mu podała, i poczuł się lepiej. Po chwili kelnerka wróciła, zabrała talerz z nakrojonym chlebem i postawiła na to

miejsce koszyczek świeżych porannych bułeczek.

- Przyniosłam panu bułeczki - powiedziała. - Dopiero co przywieźli. Marne bułki teraz pieką, nie ma w co wbić zębów. Ale lepsze to niż chleb.

Podsunęła mu bliżej marmoladę, sprawdziła, czy nie zabraknie mleka, i odeszła. Grant, który już nie miał zamiaru jeść więcej, posmarował masłem bułkę i sięgnął po jedno z nie przeczytanych wczorajszych czasopism. Była to wieczorna londyńska gazeta. Zdziwiony patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Czyżby kupił wieczorną gazetę? Przecież przeczytał ją jak zwykle o czwartej po południu. Po co miałby kupować drugą o siódmej wieczór? Czyżby kupowanie wieczornej gazety było już odruchem równie automatycznym, jak mycie zębów? Oświetlony kiosk - wieczorna gazeta. Czy tak właśnie to się zdarzyło?

Był to *Signa* wieczorne wydanie porannego *Clarionu*. Grant jeszcze raz przebiegł oczami nagłówek, które znał już wczoraj, i pomyślał, że są niezmiennie takie same. Gazeta była wczorajsza, ale równie dobrze mogła być zeszłoroczna lub przyszłomiesięczna, nagłówki byłyby takie same jak dziś: debata w parlamencie, trup blondyny na Maida Vale, afery przemysłowa, napad na bank, występy amerykańskiego aktora, wypadek uliczny. Odsunął gazetę i sięgnął już po następną, kiedy zauważył jakieś notatki napisane ołówkiem na marginesie. Obrócił gazetę, żeby sprawdzić, co tam ktoś podliczał, lecz jak się okazało, nie były to pośpieszne notowania z wyścigów, tylko szkic wiersza. Chaotyczne pismo oraz fakt, że piszący wykropkował dwa brakujące wersy, znacząc w ten sposób odpowiednią ilość stóp metrycznych, świadczyły, że była to oryginalna twórczość, a nie próba przypomnienia sobie znajomego utworu. Sam Grant również często tak robił w czasach, kiedy uchodził w szkole za najlepszego

specjalistę od sonetów.

Tym razem jednak poemat nie był jego dziełem.

I nagle zrozumiał, skąd ma gazetę. Znalazła się w jego rękach jeszcze bardziej automatycznie, niż przypuszczał przed chwilą: włożył ją pod pachę wraz z własnymi gazetami, podniósł ją z podłogi w przedziale B-Siedem. Cała jego świadomość - a przynajmniej tyle, ile z niej zostało po owej nocy - zaprzątnięta była nieładem stroju bezbronnego pasażera szarpanego przez Jogurta. Jediną świadomą czynnością zaś było poprawienie ubrania na zmarłym, a do tego potrzebował wolnej ręki, wobec czego gazeta znalazła się pod pachą wraz z jego własnymi pismami.

A więc młody człowiek ze zwichrzonymi włosami i zuchwałymi brwiami był poetą?

Grant popatrzył z zainteresowaniem na słowa wiersza. Autor zamierzał zapewne napisać osiem wersów, ale miał kłopot z piątym i szóstym. Wyglądało to w ten sposób:

*Tam piaski śpiewają
I chodzą kamienie,
Zwierzęta gadają
I stoją strumienie,
...
...
Czyhając na śmiałka
Wzdłuż drogi do Raju*

Było to w rzeczy samej dość dziwne. Czyżby początki delirium tremens?

Człowieka o tak niezwyklej twarzy stać było niewątpliwie na coś oryginalniejszego niż różowe myszki. Człowiekowi o tak śmiałych brwiach sama natura układałaby się w kalejdoskopowe obrazy. Co to

był za Raj, strzeżony przez tak niesamowite dziwy? Nicość? Co go tak pociągało w nicości, żeby aż uznać ją za raj? Żeby być gotowym na przezwycięzenie przerażających przeszkód broniących do niej wstępu?

Grant jadł chrupiącą świeżą bułeczkę, w której „nie było w co wbić zębów” i leniwie snuł przypuszczenia. Wiersz napisany był niewprawną ręką człowieka dorosłego. Pismo sprawiało wrażenie, że człowiek ten nigdy naprawdę nie dorósł i pozostał na zawsze tym chłopcem, który kiedyś tak pisał. Potwierdzeniem tej teorii był kształt dużych liter, pisanych ściśle według wzorów kaligrafii. Dziwne, że tak niepowszedni młody człowiek nie odczuwał chęci zindywidualizowania kształtu swego pisma. W istocie rzadko się zdarza, aby ktoś nie dostosował kaligrafii szkolnej do własnych upodobań, do własnej podświadomości.

Grant zawsze interesował się grafologią i uważał, że wyniki długoletnich obserwacji bardzo mu pomagają w pracy. Od czasu do czasu oczywiście zdarzały się wyjątki podważające jego pewność siebie w tej dziedzinie - okazywało się na przykład, że pismo wielokrotnego mordercy, który rozpuszczał swe ofiary w kwasie, świadczyło jedynie o niezwykle logicznym umyśle, co w końcu może i było trafne. W zasadzie jednak pismo bywało doskonałą wizytówką charakteru. I na ogół dziecinny charakter pisma osoby dorosłej można było wyjaśnić tylko dwiema przyczynami: albo piszący był nieinteligentny, albo pisywał tak mało, że jego charakter nie zdołał się ujawnić w piśmie.

Zważywszy dużą inteligencję, jaka była potrzebna, by ująć w słowa owo kosztowne niebezpieczeństwo u bram raju, chłopiący charakter pisma na pewno nie wynikał z braku indywidualności. Energia i zainteresowania zmarłego na pewno poszły w jakimś innym kierunku. W jakim?

Prowadził zapewne jakąś ekspansywną działalność, w której wystarczały krótkie zawiadomienia w stylu: „Jutro w barze »Cumberland« 9.45, Tony”, albo zapiski w dzienniku okrętowym.

Ale równocześnie był człowiekiem umiejącym skupić się na wewnętrznych przeżyciach. Potrafił bowiem przeanalizować i ująć w słowa ów księżycowy krajobraz drogi do Raju, zdobyć się na spojrzenie z boku.

Grant, ogarnięty miłym ciepłem, pogryzał bułkę i leniwie snuł myśli. Zwrócił uwagę na zwarte „N” i „M”. Kłamca? A może tylko skryty? Cecha ostrożności dziwna u człowieka o takich brwiach. Ciekawe, jak bardzo wyraz twarzy zależy od brwi. Wystarczy drobna, lekka zmiana ich układu w tę czy tamtą stronę, i od razu zmienia się fizjonomia. Filmowiec bierze zwyczajną dziewczynę z Balham czy Muswell Hill, goli jej brwi, rysuje inne i momentalnie przeobraża ją w tajemniczą postać z Omska lub Tomska. Karykaturzysta Trabb powiedział kiedyś Grantowi, że Ernie Price stracił szanse na premiera z powodu brwi. - Ludziom się nie podobają jego brwi - powiedział mrugając oczami znad kufła piwa. - Dlaczego? Niech mnie pan nie pyta. Ja tylko rysuję. Może dlatego, że nadawały mu zawsze wyraz irytacji? Ludzie nie lubią zrzedów. Nie mają zaufania. To brwi go załatwiły, może mi pan wierzyć. Nie podobały się ludziom.

Zirytowane brwi, wyniosłe brwi, łagodne brwi, zatroskane brwi... Właśnie brwi decydują o wyrazie twarzy. Zarys brwi na szczupłej bladej twarzy pasażera w przedziale wagonu sypialnego nadawał jej wyraz zuchwałości nawet po śmierci.

W każdym razie to pewne, że autor pisał owe wiersze na trzeźwo. Być może pijacki niebyt w przedziale B-Siedem - opary alkoholu, zmięta pościel, pusta butelka turlająca się po podłodze, wywrócona szklanka na półce - był jego poszukiwanym Rajem. Ale wtedy, kiedy projektował swą drogę do Raju, był trzeźwy.

Tam piaski śpiewają.

Niesamowite, ale fascynujące. Śpiewające piaski. Chyba gdzieś rzeczywiście istnieją śpiewające piaski? Skądś to znał. Śpiewające piaski skrzypią pod nogami albo coś w tym rodzaju.

Męska ręka w kraciastym rękawie pojawiła się nad stołem i chwyciła jedną z bułek z koszyka.

- Nieźle ci się tu powodzi, jak widzę - powiedział Tommy przysuwając sobie krzesło, Rozkroił bułkę i posmarował masłem.

- Nie ma w co wbić zębów. Za moich czasów wgryzał się człowiek w bułkę i ciągnął. Szanse były wyrównane: albo bułka, albo zęby. Ale jak zęby wygrały, to było co jeść. Uczciwy, mączny, drożdżowy kęs, który jadło się dobre parę minut. Te dzisiejsze nie mają żadnego smaku, można taką bułkę złożyć we dwoje i całą wpa-
kować w usta bez obawy, że się człowiek udławi.

Grant patrzył na przyjaciela milcząco i życzliwie. Cóż dorówna zażyłości z człowiekiem, z którym siedziało się w jednej ławce w szkole podstawowej - pomyślał. Siedzieli razem również w szkole średniej, ale Tommy kjarzył się Grantowi zawsze ze szkołą podstawową. Może dlatego, że w gruncie rzeczy jego rumiana, ogorzała twarz i okrągłe, naiwne niebieskie oczy były wciąż tymi samymi oczami chłopca w krzywo zapiętym brązowym blezerku. Tommy zawsze zapinał blezer z uroczą beztroską. To był cały Tommy. Nie tracił czasu i energii na konwencjonalne pytania o zdrowie i podróż, tak samo zresztą jak Laura. Oboje byli dla niego bardzo mili, traktowali go tak, jakby tu stale był, jakby wcale nie wyjeżdżał. Działo to niesłuchanie kojąco.

- Jak się miewa Laura?

- Kwitnąco. Zaokrągliła się trochę. Tak przynajmniej twierdzi. Ja tego nie zauważyłem. Nigdy nie lubiłem chudych szczap.

Kiedyś, w pewnym okresie życia, kiedy oboje mieli po dwadzieścia lat, Grant myślał o małżeństwie ze swoją kuzynką Laurą i był przekonany, że ona także snuła małżeńskie plany. Ale nim padło jakieś słowo na ten temat, urok przysł i powrócili do dawnych przyjacielskich stosunków. Źródłem uroku było długie oczarowanie szkockim latem, górskie poranki pachnące sosnowym igliwem, długie zmierzchy słodkie od zapachu koniczyny. Laura kojarzyła się Grantowi z beztrudnymi wakacjami. Razem dorastali taplając się w górskich strumieniach i wspólnie łowiąc ryby. Razem po raz pierwszy przeszli wzdłuż Larig i razem po raz pierwszy stanęli na szczycie Braeriachu. Ale dopiero w czasie ostatniego młodzieńczego lata szczęście skryształizowało się w postaci samej Laury Grant, całe lato zogniskowało się w jej osobie. Dotąd jeszcze odczuwał lekkie drżenie serca na wspomnienie owego lata. Miało idealną lekkość i tęczowe barwy bańki mydlanej, a dzięki temu, że nie padło między nimi żadne słowo, bańka nigdy nie pękła. Trwała wciąż lekka, doskonała i tęczowa, unosząc się tam, gdzie ją pozostawili. Obydwoje zajęli się innymi sprawami, innymi ludźmi. Laura przebierała wśród chłopców z wesołą obojętnością dziecka bawiącego się skakanką. Wreszcie kiedyś Grant zabrał ją na bal koleżeński i przedstawił jej Tommy Rankina. I to było to.

- Co się stało na dworcu? - zapytał Tommy. - Jakiś ruch, karetka pogotowia.

- Komuś się zmarło w pociągu. Przypuszczam, że to z tego powodu.

- Aha - Tommy zamknął krótko sprawę. - Nie twój pogrzeb tym razem - dodał tonem gratulacji.

- Nie, nie mój, dzięki Bogu.

- Będzie im brakowało ciebie na Embankment*.

* Embankment - bulwar, przy którym znajduje się siedziba Scotland Yardu w Londynie. (Wszystkie przypisy tłumacza).

- Wątpię.
- Mary! - zawołał Tommy. - Dałabyś mi dobrej, mocnej herbaty. - Lekceważąco pstryknął palcem w koszyczek z pieczywem. - I jeszcze parą tych gnieceuchów. - Zwrócił w stronę Granta poważne spojrzenie dziecka i dodał: - Będą za tobą tęsknić. W końcu jest ich teraz o jednego mniej, no nie?

Grant prychnął, co po raz pierwszy od kilku miesięcy było czymś na kształt śmiechu. Troska Tommy'ego o los Centrali przypomniawszy mu urzędową reakcję Szefa.

- Urlop zdrowotny - mówił Bryce mierząc malutkimi oczkami tryskającą zdrowiem postać Granta i z niesmakiem zatrzymując wzrok na jego twarzy. - Do czego to dochodzi w policji. Za moich czasów człowiek trwał na posterunku do upadłego, a meldunki pisał tak długo, dopóki go nie pozbierano z podłogi i nie wywieziono karetką.

Wyjaśnienie Bryce'owi lekarskiego orzeczenia nie przyszło Grantowi łatwo, a sam Bryce na pewno mu tego nie ułatwiał. Bryce pozbawiony był w ogóle nerwów, stanowił uosobienie czystej fizycznej siły, którą ożywiały bystry, acz ograniczony umysł. Przyjął do wiadomości wyjaśnienia Granta bez śladu zrozumienia czy współczucia, wręcz wyczuwało się w nim cień podejrzania, że Grant symuluje. Przy tak kwitnącym wyglądzie jego dziwne załamanie nerwowe ma zapewne związek z wiosennym sezonem wędkarskim w Szkocji. Grant przygotował sobie chyba komplet muszek jeszcze przed wizytą u lekarza.

- Kto cię zastąpi? - zapytał Tommy.
- Zapewne awansują sierżanta Williamsa. Wyczekał się już dość długo na nominację.

Równie trudno było wyjaśnić rzecz wiernemu Williamsowi. Jeżeli podwładny otwarcie uwielbia szefa przez długie lata, objawienie mu się w charakterze nieszczęsnej ofiary własnych nerwów i

przywidzeń nie należy do przyjemności. Williams także był człowiekiem bez nerwów. Przyjmował wszystko w sposób naturalny, spokojnie i posłusznie. Równie trudno było powiedzieć o wszystkim Williamsowi i patrzeć, jak jego podziw zmienia się w zatroskanie. W... politowanie? - Podaj mi marmoladę - powiedział Tommy.

Rozdział II

Spokój, jaki ogarnął Granta wobec rzeczowego przyjęcia ze strony Tommy'ego, pogłębiał się podczas jazdy wśród wzgórz. One także go akceptowały. Stały dookoła obojętne, życzliwe i w kojącej ciszy patrzyły na jego powrót o szarym ranku, jeszcze zupełnie cichym. Wokół było pusto i schludnie. Czyste szare murki dookoła nagich zagonów, nagie barierki wzdłuż czystych rowów. W pełnym oczekiwania krajobrazie jeszcze nic nie zaczynało rosnąć, jedynie tu i ówdzie jakąś wierzbę nad potokiem ożywiała w półcieniach leciutka mgiełka zieleni.

Wszystko będzie dobrze. Tego mu właśnie było trzeba, tej szerokiej ciszy, przestrzeni, spokoju. Już zdążył zapomnieć, jak życzliwy był ten krajobraz, jak kojący. Pobliskie wzgórza były zielone i swojskie, za nimi błękitniały odleglejsze pasma, a ponad nimi rysował się bastion gór, biały i daleki na tle cichego nieba.

- Zdaje mi się, że poziom wody się obniżył - zauważył Grant, kiedy zjeżdżali w dolinę Turlie.

I zaczęła go ogarniać panika.

Zawsze tak było. Czuł się zdrowym, wolnym, panującym nad sobą człowiekiem i nagle w pewnej chwili stawał się bezwolną ofiarą przywidzeń. Zaciskał dłonie, żeby nie poddać się gwałtownej chęci otworzenia drzwi, i starał się słuchać, co Tommy do niego mówi. Że

od kilku tygodni nie było deszczu. Że nie padało od kilku tygodni. Trzeba pomyśleć o braku deszczu. To było ważne, brak deszczu. Niedobrze dla ryb. Przyjechał do Clune na ryby. Jeżeli nie było deszczu, to ryba nie pójdzie w górę rzeki. Za mało wody. O Boże, dopomóż, żebym nie zatrzymał Tommy'ego! Niska woda. Myśleć rozsądnie o rybach. Jeżeli od tygodni nie było deszczu, to musi wreszcie przyjść, jasne. Przecież człowiek może powiedzieć przyjacielowi, że chce wsiąść, bo ma mdłości? A jednak nie potrafi się przyznać, że chce wsiąść po to, by wydostać się z ciasnego zamknięcia. Patrz na rzekę. Patrz. Przypomnij sobie różne rzeczy o niej. W tym miejscu w zeszłym roku złapałeś najlepszą rybę. Tutaj Pat ześliznął się z kamienia, na którym siedział, i zawisł na spodniach zaczepiony o konar drzewa.

- Najlepsza ryba, jaką można sobie wymarzyć - mówił Tommy.

Leszczyny nad wodą odcinały się liliową smugą na szarozielonym tle wrzosowiska. Już wkrótce, w lecie, szum ich liści będzie towarzyszyć melodii rzeki szeleszczącym obligato, teraz jednak drzewa stały w różowych, cichych kępach nad brzegiem.

Obserwując stan wody Tommy również zauważył nagie pręty leszczyny, ale jemu, jako miejscowemu, nie nasuwały się żadne skojarzenia z letnimi popołudniami.

- Pat odkrył w sobie zdolności ródzgarskie - powiedział.

Teraz już lepiej. Jest o co zaczepić myśli: Pat.

- Cały dom jest zaśmiecony patykami wszelkich kształtów i rozmiarów.

- Czy już coś wykrył? - Jeżeli uda mu się skoncentrować myśli wokół Pata, to może wytrzyma.

- Odkrył złoto pod kominkiem w bawialni, trupa w wiadomym

przybytku koło łazienki na dole i dwa źródła.

- A gdzie źródła? - Było już chyba niedaleko, pięć mil do wylotu doliny i już Clune.

- Jedno pod podłogą w jadalni, a drugie pod sienią koło kuchni.

- Przypuszczam, że nie próbowałeś kopać pod kominkiem bawialni.

Szyba była opuszczona, więc czym się tu przejmować? W gruncie rzeczy to nie jest w ogóle żadne ciasne pomieszczenie.

- Nie. Bardzo się o to na nas boczy. Powiada, że jest raz-urodzony.

- Raz-urodzony?

- Tak. Najnowsze określenie. O ile dobrze rozumiem, jest to coś trochę poniżej łązy.

- Skąd on wziął takie słowo? - Wytrzyma aż do tej brzeziny za zakrętem, a potem poprosi Tommy'ego, żeby stanął.

- Nie wiem. Prawdopodobnie od pewnej teozofki, która raz w jesieni miała wykład w Klubie Kobiet.

Co by mu zaszkodziło, żeby Tommy się dowiedział? Nie ma się czego wstydzić. Gdyby był sparaliżowanym tabetykiem, przyjąłby bez zastrzeżeń pomoc i współczucie Tommy'ego. Dlaczego zależy mu na ukryciu przed przyjacielem faktu, że oblewają go poty z lęku przed czymś wyimaginowanym? A może znaleźć jakiś wykręt? Na przykład poprosić Tommy'ego, by zatrzymał się na chwilę, bo chce popatrzeć na panoramę?

Już brzezina, przynajmniej dotąd wytrzymał.

Dołoży jeszcze ten kawałek drogi wzdłuż zakola rzeki. Tam będzie miał lepszy pretekst: sprawdzenie stanu wody. O wiele bardziej prawdopodobny niż podziwianie widoków. Wodą Tommy zainteresuje się natychmiast, podczas gdy propozycję oglądania widoków

zbagatelizuje. Jeszcze jakieś 50 sekund. Raz, dwa, trzy, cztery... Już.

- Tej zimy utopiły się dwie owce na tej głębi - powiedział Tommy biorąc zakręt.

Za późno.

Co jeszcze można wymyślić? Już za blisko do Clune, niełatwo znaleźć wytłumaczenie.

Nie mógł nawet zapalić papierosa, żeby nie zdradzić się drzeniem rąk.

Może gdyby się czymś zajął, czymkolwiek, byle głupstwem...

Wziął do ręki plik gazet leżący obok na siedzeniu i zaczął je starannie i bezcelowo przekładać. Zauważył, że nie ma wśród nich *Signalu*. Zamierzał wziąć ten numer ze względu na dziwny wierszyk na marginesie. Ale pewnie go zostawił na stole w restauracji. Mniejsza o to. Gazeta zrobiła swoje, miał czym zająć myśli przy śniadaniu, a właściciel z całą pewnością już jej nie potrzebuje. Osiągnął już swój Raj, swój niebyt, jeżeli to było jego celem. Już nie dla niego przyjemność odczuwania, jak drżą ręce i poci się czoło, przyjemność walki z demonami. Nie dla niego ten łagodny krajobraz i piękny zarys gór na tle nieba.

Po raz pierwszy zastanowiło Granta, co też tego młodego człowieka przywiodło do Szkocji.

Zapewne nie po to kupił sypialny bilet pierwszej klasy, żeby się upić do nieprzytomności. Jechał gdzieś w jakimś celu, w interesie, dla przyjemności, z określonego powodu.

Po co jechał na północ w tak niemodnej porze roku? Na ryby? W góry? O ile pamięta, przedział robił wrażenie pustego. Ale może większy bagaż był pod łóżkiem. Albo nawet w wagonie bagażowym? A co innego poza sportem wchodzi w grę? Sprawy urzędowe?

Nie, to nie ten typ twarzy.

Aktor? Artysta? To już prędzej.

Marynarz wracający na statek? W drodze do jakiejś bazy morskiej na Inverness? Niewykluczone. Z taką twarzą wyglądałby do brze na statku kapitańskim, na małym stateczku, bardzo szybkim i piekielnie sprawnym w każdych okolicznościach.

Co mogło sprowadzać do Szkocji z początkiem marca tego szczupłego ciemnowłosego młodzieńca ze śmiałymi brwiami i skłonnością do alkoholu. A może przy obecnych ograniczeniach sprzedaży whisky zamierzał uruchomić nielegalną gorzelnię?

To zabawny pomysł. Ciekawe, czy miałby wielkie trudności? Zapewne większe niż w Irlandii, bo w Szkocji ludzie nie są skłonni do łamania prawa, ale gdyby tylko się udało, na whisky na pewno by sporo zarobił. Żałował nieomal, że nie jest już w stanie podsunąć młodzieńcowi tej myśli. Mogło się zdarzyć, że wczoraj wieczorem siedziałby z nim przy kolacji w wagonie restauracyjnym i może ujrzałby błysk w oczach młodego człowieka na myśl o tak wybornym zakupieniu z prawa. W ogóle chętnie byłby z nim porozmawiał, wymienił poglądy, czegoś się o nim dowiedział. Gdyby ktoś porozmawiał z młodym człowiekiem wczoraj w nocy, może dziś stanowiłby częstkę poranka, tego pięknego świata pełnego darów i obietnic, zamiast...

- I nadział go na oścień tu w tym dołku poniżej kładki - zakończył Tommy swoje opowiadanie.

Grant spojrział na swoje ręce i stwierdził, że już nie drżą.

Uratował go ten młody człowiek, który sam dla siebie nie znalazł ratunku.

Grant podniósł wzrok i zobaczył przed sobą biały dom w Clune położony w zielonym zagłębieniu na stoku wzgórza, samotny na tle osłaniającej go ściany jodeł wyglądających jak ciemnozielony kilim w nagim krajobrazie. Błękitna smużka dymu unosiła się z komina

w cichym powietrzu. Była to cudowna kwintesencja spokoju.

Kiedy wjeżdżali na górę piaszczystą dróżką, ujrzał Laurę wychodzącą im na spotkanie. Pomachała do nich ręką, a potem odsunęła z czoła pasemko włosów. Ten znajomy gest rozlał ciepłą falę w jego wyziębłym sercu; Tak samo właśnie w czasach dzieciństwa czekała na niego na małym tarasie w Badenoch, tym samym ruchem odgarniała włosy. To samo pasmo włosów.

- Niech to diabli! - powiedział Tommy. - Zapomniałem wrzucić listy. Nie mów nic Laurze, chyba że zapyta.

Laura ucałowała Granta w oba policzki, objęła go spojrzeniem i powiedziała:

- Mam dla ciebie na śniadanie smacznego ptaszka, ale coś mi się wydaje, że dużo bardziej potrzebna ci snu. Idź więc na górę i zapomnij o jedzeniu. Mamy przed sobą masę czasu na plotki, nie musimy zaraz zaczynać.

Pomyślał, że tylko Laura potrafi tak dostosować rolę gospodyni do potrzeb gościa. Żadnego narzucania się ze starannie zaaranżowanym śniadaniem, żadnego utajonego szantażu. Nie próbowała nawet wmuszać w niego herbaty, na którą nie miał ochoty, ani nie proponowała rozkosznej, gorącej kąpieli. Nie wymagała też powitalnej pogawędki, tego uprzejmego dotrzymywania towarzystwa. Bez pytania i bez namysłu zaproponowała mu jedyną rzecz, jakiej naprawdę potrzebował: sen.

Zastanawiał się, czy powodem jest to, że wygląda na wyczerpanego nerwowo, czy też ona po prostu tak dobrze go zna. Przyszło mu na myśl, że nie miałby zastrzeżeń, gdyby Laura wiedziała o jego lękach. Dziwne, że chociaż wzdragał się przed ujawnieniem Tommy'emu swoich słabości, nie przeszkadzałoby mu wcale, gdyby Laura dowiedziała się o nich. A powinno być odwrotnie.

- Umieściłam cię tym razem w innym pokoju - mówiła, kiedy szedł za nią po schodach - ponieważ zachodni pokój jeszcze pachnie świeżym malowaniem.

Rzeczywiście trochę przytyła, zauważył, ale nogi miała wciąż tak samo ładne. I z właściwym sobie dystansem pomyślał, że jeśli nie ma ochoty ukrywać przed Laurą swoich dziecinnych ataków lęku, to dlatego, że już w najmniejszym nawet stopniu nie jest w niej zakochany. Męska potrzeba pokazania się kobiecie w dobrym świetle nie wchodziła w grę w stosunku do Laury.

- Na ogół się uważa, że sypialnia powinna mieć wschodnie światło - mówiła stojąc na środku pokoju i rozglądając się, jakby tu jeszcze nigdy nie była. - Tak jakby to była zaleta. Moim zdaniem o wiele przyjemniejsze jest oglądanie przez okno słonecznego krajobrazu, a to jest niemożliwe, jeśli słońce świeci prosto w oczy. - Wsunęła palec za pasek usiłując go nieco rozluźnić. - Ale już za parę dni będzie można zamieszkać w zachodnim pokoju, więc się przeniesiesz, jeśli zechcesz. Jak tam mój ukochany sierzant Williams?

- Rumiany i czyściutki.

Ujrzał w tej chwili oczami wyobraźni Williamsa, wielkiego i nieśmiałego, w jadalni hotelu „Westmorland”. Williams wychodził właśnie z jadalni i natknąwszy się na Laurę i Granta siedzących przy podwieczorku, dał się nakłonić do wypicia z nimi herbaty. Zrobił na Laurze ogromne wrażenie.

- Wiesz, ile razy tu u nas dzieje się coś niedobrego, przypominam sobie sierzanta Williamsa i od razu czuję, że wszystko skończy się dobrze.

- Przypuszczam, że ja nie budzę w tobie takiej ufności - powiedział Grant zajęty otwieraniem walizki.

- Nie tak wyraźnie. A w każdym razie nie w ten sposób. Ty byłbyś oparciem, gdyby wszystko miało się źle skończyć.

Z tym enigmatycznym stwierdzeniem skierowała się do drzwi.

- Nie schodź na dół, dopóki nie będziesz miał ochoty. Możesz w ogóle nie schodzić, jeśli ci to odpowiada. Zadzwoń tylko, jak się obudzisz.

Jej kroki przebrzmiały w korytarzu i cisza objęła pokój.

Grant rozebrał się i nie zaciągnąwszy nawet firanek rzucił się na łóżko. Po chwili przemknęło mu przez głowę: Trzeba zasłonić okno, bo mi światło nie da zasnąć. Z wolna otworzył oczy, chcąc ocenić stopień jasności światła, i stwierdził, że blask już nie wpada przez okno. Jasno było tylko na zewnątrz. Podniósł głowę zdziwiony tym fenomenem i stwierdził, że jest już późne popołudnie.

Wypoczęty, rozweselony, obrócił się na wznak i leżał wsłuchując się w ciszę. Odwieczną ciszę. Smakował ją i rozkoszował się jej cudownym działaniem. Żadnego zamkniętego pomieszczenia stąd aż do Pentland Firth! Nie, dalej: aż do Bieguna Północnego. Przez szeroko otwarte okno widział przedwieczne niebo. Zszarzałe, choć jeszcze z lekka rozświetlone smużkami chmur. Takie niebo nie zapowiadało deszczu, było echem ciszy spowijającej ten szczęśliwy, spokojny świat.

No nic, jeżeli nie na ryby, to może chodzić na spacer, a w najgorszym razie zapolować na króliki.

Patrzył, jak na tle nieba ciemniej stopniowo pasma chmur, i zastanawiał się, z kim też Laura zechce go teraz żenić. Zdumiewające, jak wszystkie mężatki sprzysięgły się przeciwko nieżonatym mężczyznom. Jeżeli tak jak Laura były szczęśliwe, uważały małżeństwo za jedyny odpowiedni stan dla osoby dorosłej nie obciążonej zdecydowanym kalectwem ani inną poważną przeszkodą. Jeżeli zaś ich małżeństwo było nieudane, to miały za złe wszystkim, którzy uniknęły tej klęski. Ile razy przyjeżdżał do Clune, Laura podsuwała mu

jakąs starannie wyselekcjonowaną żeńską istotę. Oczywiście nic się nie mówiło o jej znakomitych zaletach; po prostu podsuwała mu ją pod nos, aby mógł ocenić jej walory. Nigdy też nie dała mu odczuwać, że jest rozczarowana jego zachowaniem, gdy nie wykazywał szczególnego zainteresowania kandydatką. Tyle tylko, że następnym razem już miała nowy pomysł.

Gdzieś z daleka dochodził stłumiony odgłos. Mogło to być leniwe pogdakiwanie kury albo dźwięk porcelany. Słuchał chwilę w nadziei, że jest to kura, ale z żalem stwierdził, że to jednak przygotowania do podwieczorku. Trzeba wstawać. Pat wrócił już pewnie ze szkoły, Bridget obudziła się z popołudniowej drzemki. Typowe dla Laury, że nie kazała mu nawet podziwiać córeczki, że nie oczekiwała od niego okrzyków zdumienia, jak to dziecko wyrosło od zeszłego roku, jakie jest mądre i śliczne. Laura nawet nie wspomniała o Bridget. Dziecko było po prostu młodym stworzeniem poza zasięgiem uwagi, tak jak reszta zwierząt w gospodarstwie.

Wstał i poszedł wykąpać się. W dwadzieścia minut później zszedł na dół, czując po raz pierwszy od wielu miesięcy, że jest głodny.

Rodzinną sceną, jaką ujrzał przez drzwi bawialni, wydała mu się wyjęta żywcem z obrazu Zoffany'ego. Bawialnią w Clune zajmowała niemal całą pierwotną powierzchnię dawnego domu, stanowiącego obecnie jedno skrzydło nowego budynku. Miała więcej okien, niż zazwyczaj bywa w takim pokoju, ale grubość jej murów stwarzała miłe poczucie bezpieczeństwa i ciepła. Okna wychodziły na południowy zachód, więc było tu jaśniej niż w innych pokojach. Całe życie domowe koncentrowało się tutaj jak w świetlicy jakiegoś średniowiecznego zamku. Jedynie obiady i kolacje jadano w innym pokoju. Wielki okrągły stół przy kominku służył do śniadań i podwieczorków, zaś reszta pokoju spełniała rolę gabinetu, salonu,

pokoju muzycznego, dziecinnego i oranżerii. Johan nie zmieniłby tu ani jednego szczegółu - pomyślał Grant. Było tu wszystko, co trzeba, łącznie z psem czatującym pod stołem na smaczny kąsek i Bridget bawiącą się na dywanie przed kominkiem.

Bridget była jasnowłosym, cichym, trzyletnim dzieciakiem, spędzającym całe dni na bezustannym układaniu i przekładaniu zabawek.

- Sama nie wiem, czy to dziecko jest niedorozwinięte, czy genialne - powiedziała Laura.

Ale parę sekund uwagi, z jaką Bridget przyjęła przybycie Granta, upewniły go, że żartobliwy spokój Laury jest w tym względzie całkowicie uzasadniony. Dziecko - jak ją nazywał Patrick - było prawidłowo rozwinięte; Pat używał tego epitetu bynajmniej nie w sensie pejoratywnym ani nawet z wyższością, podkreślał tylko w ten sposób własną przynależność do grupy dorosłych, do czego upoważniało go sześćioletnie starszeństwo i własne przekonanie.

Pat miał rude włosy i chłodne, onieśmielające szare oczy. Ubrany był w mocno sfatygowany zielony kilt*, szaro-niebieskie skarpety i pocerowany szary sweter. Przywitał Granta bezceremonialnie i swobodnie. Pat posługiwał się najchętniej językiem, który jego matka określała jako zawieszisty dialekt hrabstwa Perthshire, jako że jego najlepszym kolegą szkolnym był syn pasterza owiec z Killin. Potrafił oczywiście, jeżeli chciał, mówić bezbłędną angielszczyzną, ale był to zawsze zły znak. Jeśli z kimś „nie rozmawiał”, to odbywało się to w doskonałej angielszczyźnie.

* Kilt - szkocka męska spódniczka.

Przy podwieczorku Grant zapytał chłopca, czy już zdecydował, kim będzie, jak dorośnie. Od czwartego roku życia Pat odpowiadał na to pytanie: „Sprawa jest jeszcze otwarta”. Był to zwrot zapożyczony od ojca, który pełnił funkcję sędziego pokoju.

- Tak - odpowiedział Pat obficie smarując dżemem kromkę chleba. - Już się zdecydowałem.
- Znakomicie! No więc, kim będziesz?
- Rewolucjonistą.
- Mam nadzieję, że nie dojdzie nigdy do tego, żebym cię musiał aresztować.
- Nie dasz rady - odpowiedział po prostu Pat.
- Dlaczego?
- Bo ja będę dobry - wyjaśnił Pat sięgając jeszcze raz po słoik z dżemem.
- Chyba właśnie to znaczenie nadawała temu słowu królowa Wiktoria - rzuciła Laura odbierając Patowi dżem.

To w niej najbardziej lubił, ten żartobliwy ton pokrywający macierzyńskie uczucia.

- Mam dla ciebie rybę - powiedział Pat przesuwając cały dżem na jedną połowę kromki, żeby przynajmniej w ten sposób uzyskać odpowiednio grubą warstwę.

Naprawdę to powiedział mamlaciebrybę, ale ponieważ fonetyczny zapis języka Pata nie był wcale miłszy dla oka niż dla ucha, należy raczej pozostawić go wyobraźni. - Pod progiem skalnym w dołku Cuddy. Jak chcesz, to ci pożyczę moją muszkę.

Ponieważ Pat był posiadaczem całego pudełka pełnego najrozmaitszych przynęt, „moja muszka” mogła znaczyć jedynie „muszkę, którą sam wymyśliłem”.

- Jak wygląda muszka Pata? - zapytał Grant, kiedy chłopiec wstał od stołu i wyszedł z pokoju.
- Moim zdaniem jest zaskarżalna - powiedziała Laura. - Przerażający przedmiot.
- Złapał już coś na nią?
- Wyobraź sobie, że złapał - odparł Tommy. - Przypuszczam, że i wśród ryb można natrafić na frajera.

- Biedne stworzenia po prostu rozdziawiają pyski ze zdumienia - powiedziała Laura - a kiedy je zamkną, jest już za późno. Jutro sobota, więc będziesz mógł sam sprawdzić jej działanie. Ale wydaje mi się, że jeżeli stan wody się nie podniesie, to ten sześciofuntowy olbrzym, co siedzi w Cuddy, nie da się znieść na powierzchnię nawet cudakiem Pata.

I oczywiście Laura miała rację. Sobotni ranek był słoneczny i bezdeszczowy, zaś sześciofuntowiec z Cuddy zbyt znękanym przymusową sytuacją i zbyt opętany nieodpartą żądzą wędrówki w górę rzeki, żeby go mogły znieść jakiejkolwiek dystrakcje na powierzchni. Wobec tego padła propozycja, aby Grant z Patem do pomocy wybrał się z wędką na jezioro. Jezioro było położone w odległości jakichś dwu mil. Był to płaski staw pośród ponurego wrzosowiska. Jeśli na Lochan Dhu było wietrznie, to podmuch wyrwał linkę z wody i utrzymywał ją pod kątem prostym do wędkę, i linka była sztywna jak drut telefoniczny. Jeśli było spokojnie, komary żarły człowieka żywcem, a pstrągi wystawiały głowy nad powierzchnię wody i otwarcie kpiły z wędkarza. Ale jeśli pstrąg nie był dla Granta wymarzonym łupem, to niewątpliwie dla Patricka rola pomocnika była szczytem szczęścia. Pat był zdolny do wszystkiego, poczynawszy od jazdy na oklep na czarnym byku do Dalmore, a skończywszy na wyłudzeniu od pani Mair z urzędu pocztowego cukierków za trzy pensy za pomocą jednej półpensówki i perswazji. Jednak radość buszowania łodzią po jeziorze była dla niego niedostępna; łódź na jeziorze była zamknięta na kłódkę.

Tak więc Grant wyruszył piaszczystą ścieżką przez suche wrzosowisko, a Pat posuwał się u jego boku i o krok za nim, jak dobrze wychowany pies myśliwski. Grant idąc zdał sobie sprawę z dziwnego wewnętrznego oporu wobec tej wycieczki i zastanawiał się nad powodem swej niechęci.

Być może pstrąg nie był dla niego ideałem ryby, ale przecież wystarczającą przyjemnością było spędzenie dnia z wędką w ręce, nawet jeśliby nic nie złapał. Był absolutnie szczęśliwy na powietrzu, wolny i swobodny, czuł pod stopami swojską sprężystość torfowiska, a wokół siebie góry. Skąd ta podświadoma niechęć? Dlaczego, zamiast wziąć łódkę i pływać cały dzień po jeziorze, wolałby się kręcić koło domu?

Uszli przeszło milę, zanim wyłuskał powód z zakamarków podświadomości. Chciał zostać w Clune, żeby przejrzeć dzisiejszą gazetę.

Chciał znaleźć wiadomość o B-Siedem.

B-Siedem znikł wraz z całą udręką podróży i uczuciem upokorzenia. Jego świadomość wyłączyła ten temat, od momentu kiedy po przyjeździe rzucił się na łóżko aż do obecnej chwili, w dwadzieścia cztery godziny później. Okazało się jednak, że B-Siedem nadal go nie opuszcza.

- Kiedy wam dostarczają gazety do Clune? - zapytał Pata, który wciąż w tej samej odległości szedł za nim w milczeniu.

- Jak Johnny ma służbę, to o dwunastej, ale jak Kenny, to nieraz aż koło pierwszej. - I dodał zadowolony, że rozmowa także wchodzi w program ekspedycji: - Kenny zbacza z drogi, żeby wstąpić na kieliszek do Dalmore. On się kocha w Kirsty od McFadyeana.

Świat, w którym wiadomości o ogólnonarodowym znaczeniu czekały, aż Kenny wypije szklaneczkę u McFadyeana, jest zaiste wspaniałym światem - pomyślał Grant. W czasach, kiedy nie było radia, musiał być prawie rajem.

„Wzdłuż drogi do rajy”.

Śpiewające piaski.

Tam piaski śpiewają

I chodzą kamienie,

Zwierzęta gadają

I stoją strumienie.

Co to znaczy? Czy to rzeczywiście tylko wytwór imaginacji? Na tle szerokiej przestrzeni, w tym pierwotnym kraju, słowa wiersza nabierały jakiegoś sensu, stawały się mniej dziwne. Tego ranka można było uwierzyć w istnienie miejsc, gdzie kamienie chodzą. Czyż nie bywają, nawet tu, w Szkocji, miejsca, znane miejsca, gdzie w biały letni dzień, samotny człowiek czuje nagle wyraźnie, że podpatrują go jakieś niewidzialne istoty, i zdjęty przerażeniem w panice ucieka? Tak bywa, i to bez uprzednich konsultacji u pana z Wimpole Street. W tych odwiecznych uroczyskach wszystko jest możliwe. Nawet mówiące zwierzęta.

Skąd B-Siedem czerpał swoje dziwne pomysły?

Razem z Patem po drewnianej rynnie ściągnęli łódź na wodę i popłynęli z wiatrem. Było zbyt słonecznie, ale w powietrzu dawał się odczuć lekki powiew, który mógł się rozwinąć w bryzę na tyle mocną, żeby zmarszczyć powierzchnię jeziora. Obserwując, jak Pat montuje wędkę i nakłada przynętę, Grant pomyślał sobie, że jakkolwiek nie jest mu dane szczęście posiadania syna, to jednak ten mały rudowłosy kuzynek znakomicie mu go zastępuje.

- Wręczałeś kiedy bukiet, Alanie? - zapytał Pat zajęty wciąż muszką. Wymawiał to słowo: „bukit”.

- O ile pamiętam, to nie - odparł ostrożnie Grant. - Czemu pytasz?

- Zawzięli się na mnie, żebym na otwarciu Domu Kultury w Dalmore wręczał bukiet jakiejś wicehrabinie.

- Dom Kultury?

- Ten barak na skrzyżowaniu - powiedział z goryczą Pat. Milczał chwilę, wyraźnie przeżuając temat. - To strasznie babska sprawa takie wręczenie bukietu.

- To jest wielki honor - powiedział dyplomatycznie Grant.

- To niech Dziecko ma ten honor.
- Ona jednak jest trochę za mała na takie odpowiedzialne zadanie.
- Jak ona jest za mała na takie odpowiedzialne zadanie, to ja jestem za duży na taką szopę. Niech sobie poszukają innej rodziny. Zresztą to i tak wszystko lipa. Dom jest otwarty od pół roku.

Na tak trzeźwą krytykę hipokryzji dorosłych Grant nie znalazł już odpowiedzi.

Zarzucali wędkę, każdy ze swojej strony łodzi, w miłej, męskiej atmosferze. Grant z leniwą obojętnością, Pat z właściwym swojemu wiekowi optymizmem. Do południa przydryfowali w pobliże małego szalasu: zdecydowali się przybić do brzegu, żeby ugotować na kuchence wodę na herbatę. Wiosłując na ostatnich kilku metrach Grant zauważył, że Pat wpatruje się w coś na brzegu. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co to jest, i ujrzał zbliżającą się postać mizernego człowieka odzianego z dziwaczną fantazją.

- A któż to? - spytał Pata.
- To Mały Archie - powiedział Pat.

Mały Archie dzierżył w ręce pasterską laskę, z którą, jak później zauważył Tommy, żaden szanujący się pasterz nie chciałby umierać, i miał na sobie kilt, w którym żaden Szkot nie chciałby żyć. Laska była o dobre pół metra wyższa od Archiego, a wiszący na wątych biodrach kilt wyglądał jak powyciągana kiecka. Wszystko wskazywało na to, że Archie nie był świadom tych braków. Krzyczące papuzie kolory jego smętnej spódnicy odcinały się ostrą plamą na tle wrzosowiska. Małą jaszczurczą głowę zdobił jasnoniebieski szkocki beret ze wstążką w kratkę, nałożony na bakier tak zawadiacko, że zakrywał całe prawe ucho. Zza wstążki wykwitał duży pęk chwastów. Na patykowatych nogach miał jaskrawoniebieskie i tak

kosmate skarpety, że czyniły wrażenie jakiegoś niesamowitego owłosienia. Snurowadła trzewików zawiązane były z fantazją, której nie dorównałby nawet Malwolio Szekspira.

- Co on tu robi w tych stronach? - zapytał zafascynowany Grant.

- Mieszka w Moymore, w gospodzie.

- Aha. A czym się zajmuje?

- Jest rewolucjonistą.

- Czyżby? Chodzi o tę samą rewolucję, co twoja?

- Skądże - zaprzeczył z niewymowną pogardą Pat. - No, nie powiem, żeby mi nie podsunął takiej myśli, ale kto by tam na takiego zwracał uwagę. On pisze wiersze.

- Zapewne jest raz-urodzony.

- On? Człowieku, on w ogóle nie jest urodzony. To jest, to jest po prostu skrzek.

Grant domyślił się, że słowem, jakiego brakowało Patowi, była „ameba”, ale się zapewne jeszcze o niej nie uczył. Skrzek był najniższą formą życia, jaką chłopiec znał.

„Skrzek” zbliżał się do nich kamienistym brzegiem, radosny i dziarsko zawijający połą nieszczęsnego kiltu, co kontrastowało wyraźnie z utykającym na kamieniach krokiem. Grantowi nasunęło się podejrzenie, że ten człowiek musi mieć odciski. Odciski na wątych różowych stopach ze skłonnością do nadmiernej potliwości. O takich stopach czyta się w poradnikach lekarskich na łamach popularnych tygodników. (Myc codziennie, dokładnie wytrzeć do sucha, zwłaszcza między palcami, zasypać starannie talkiem i codziennie zmieniać skarpetki).

- *Cia mar tha si!* - krzyknął, gdy zbliżyli się już na odległość głosu.

Czy to tylko przypadek - zastanawiał się Grant - że każdy wariat

ma zawsze taki cienki, bezcielesny głos? Albo może cienkie, bezcielesne głosy są wynikiem niepowodzeń i frustracji, a niepowodzenia i frustracje rodzą z kolei skłonności do wyłączania się ze stada?

Od czasów dzieciństwa nie słyszał tego gaelickiego zwrotu, a jego afektowany charakter ostudził życzliwość Granta. Odpowiedział suchym dzień dobry.

- Patrick powinien był panu powiedzieć, że dziś zbyt pogodny dzień na ryby - powiedział Archie zbliżając się do nich. Grant nie mógł się zdecydować, co go bardziej mierzi: obrzydliwa wymowa z Glasgow czy protekcjonalny ton.

Pięgi na twarzy Pata znikły pod falą rumieńca. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Przypuszczam, że nie chciał mnie pozbawić przyjemności - odpowiedział Grant i zauważył, że z twarzy chłopca odplywa rumieniec ustępując z wolna wyrazowi uznania. Pat zrozumiał w tej chwili, że są skuteczniejsze sposoby na głupców niż bezpośredni atak. Myśl była całkiem nowa i chłopiec wyraźnie się w niej rozsmakował.

- Zapewne zesłicie na brzeg, żeby zjeść śniadanie - powiedział promiennie Mały Archie. - Chętnie się przyłączę, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Wobec tego poczęstowali Archiego herbatą, chłodno i uprzejmie. Archie wyciągnął własne kanapki i w czasie jedzenia zrobił im wykład o chwalebnej wspaniałej przeszłości Szkocji i jej błyskotliwej przyszłości. Nie zapytał Granta o nazwisko i błędnie wnioskował z jego wymowy, że ma do czynienia z Anglikiem. Grant słuchał w zdumieniu o niegodziwościach Anglii wobec bezsilnej Szkocji jęczącej w niewoli. (Prawdę mówiąc trudno mu było wyobrazić sobie coś mniej bezbronniejszego i mniej zniewolonego niż Szkocja). Anglia jest, jak się okazuje, krwiopijcą, wampirem, wysysającym szlachetną krew słabej i bezsilnej Szkocji. Szkocja jęczała pod obcym jarzmem

uwiązana do zwycięskiego rydwanu najeźdźcy, płaciła haracz iprostituowała swe talenty na potrzeby tyra. Ale nadchodzi czas zrzucenia jarzma, zerwania pęt; dumny znak Krzyża pojawi się znowu, jak tylko zapłoną wrzosa. Archie nie oszczędził im najbardziej wyświechtanych frazesów.

Grant patrzył na niego z zainteresowaniem jak na jakiś nowy okaz w kolekcji. Doszedł do wniosku, że Archie jest starszy, niż się początkowo wydawał, musi mieć co najmniej czterdzieści pięć lat, prawdopodobnie zbliża się do pięćdziesiątki. Za późno na leczenie. Wszelkie sukcesy przeszły mu koło nosa i nic już mu nie pozostaje prócz tej politowania godnej maskarady i wyświechtanych komunałów.

Rzucił okiem na Pata, żeby zobaczyć, jak działa ów perwersyjny patriotyzm na Młodą Szkocję, i z przyjemnością stwierdził, że Młoda Szkocja siedzi odwrócona w stronę jeziora, jakby nawet sam widok Archiego był trudny do wytrzymania. Pat gryzł coś z obojętną miną, a jego wzrok przypominał Grantowi Flurry Knoxa, bohatera Yeatsa: „Oczy jak kamienny mur najeżony odłamkami szkła”. Rewolucjoniści będą musieli wytoczyć cięższą artylerię niż Mały Archie, żeby poruszyć ziomków.

Grant zastanawiał się, z czego ten człowiek może żyć. „Wirsze” nie dadzą mu chleba, dorywcze dziennikarstwo również, a w każdym razie nie takie, jakiego można się po nim spodziewać. Może wiązał koniec z końcem zajmując się „krytyką”. Pośledniejsi krytycy rekrutują się zwykle spośród niedołęgów życiowych. Istnieje oczywiście możliwość, że ktoś go finansuje, jeśli nie jakiś miejscowy malkontent opanowany żądzą władzy, to obce siły zainteresowane w szerzeniu dywersji. Był dobrze znanym kontrwywiadowi typem wykolejeńca chorego z zapiekłej próżności.

Grant, myślami krążący wciąż wokół południowej gazety, którą

Johnny lub Kenny powinni dostarczyć do Clune, miał ochotę zaproponować Patowi, by zakończyli już dzisiejszą wyprawę i zrezygnowali z dalszego kuszenia ryby, która nie zdradzała ochoty na ich przynętę. Musieliby wtedy jednak wracać w towarzystwie Małego Archiego, a tego wolałby uniknąć. Zaczął się więc przygotowywać do dalszego biczowania wody.

Okazało się jednak, że Arenie miały ochotę przyłączyć się do towarzystwa. Gdyby w łódce znalazło się miejsce na trzecią osobę - powiedział - chętnie skorzysta.

Znów na ustach Pata zawisła odpowiedź.

- Proszę bardzo - odparł Grant. - Z przyjemnością pana weźmiemy. Pomoże nam pan wyczerpywać wodę.

- Wyczerpywać wodę? - powtórzył Zbawca Szkocji błędąc nieco.

- Tak, trochę jest nieszczelna i zabiera mnóstwo wody.

Na to Archie odpowiedział, że po namyśle chyba uda się (Archie nigdy nigdzie nie szedł, zawsze się udawał) w drogę powrotną do Moymore. Spodziewa się poczty, będzie musiał zająć się korespondencją. A następnie, aby nie pomyśleli, że jest niezwykajny łodzi, opowiedział im, jakim jest znakomitym żeglarzem. Tylko dzięki swoim wyjątkowym umiejętnościom w zeszłym roku w lecie dopłynął żywy do brzegu Hebrydów wraz z czterema współtowarzyszami. Mówił z coraz większą werwą, budzącą podejrzenie, że wymyśla historię w miarę opowiadania, a skończywszy, szybko zmienił temat, jakby bojąc się pytań, i zagadnął Granta, czy zna już wyspy.

Grant, zamykając szafas i chowając klucz do kieszeni, odparł, że nie zna. Na to Archie z hojnym gestem właściciela ofiarował mu: śledziową flotyllę z Lewis, skały na Mingulay, pieśni z Barra, góry Harris, polne kwiaty na Banbecula i piaski, nie kończące się, wspa-
niałe białe piaski na Berneray.

- Przypuszczam, że te piaski nie śpiewają - rzucił Grant, kładąc kres przechwałkom. Wsiadł do łodzi i pchnął ją na wodę.
- Nie - odpowiedział Mały Archie. - Śpiewające piaski są na wyspie Cladda.
- Co pan powiedział? - zawołał zaskoczony Grant.
- Śpiewające piaski. No to życzę szczęśliwego połowu, ale niech mi pan wierzy, dziś nie jest dobry dzień na ryby, stanowczo zbyt słoneczny.

Kończąc tym protekcyjnym zdaniem wziął do ręki laskę i ruszył wzdłuż brzegu w kierunku Moymore do swoich listów. Grant stał bez ruchu w łodzi i patrzył za odchodzącym. Nagle, kiedy Archie oddalił się już prawie poza zasięg głosu, zawołał za nim:

- A są na Cladda chodzące kamienie?
- Co? - zapiszczał cienko Arenie.
- Czy są chodzą ce kamienie na Cladda?
- Nie, są na Lewis.

Po czym jego owadzia sylwetka i cienki głosik znikły w brzowej dali.

Rozdział III

Wrócili w porze podwieczorku z pięcioma niepozornymi pstrągami i z wilczym apetytem. Pat tłumaczył się z chudej zdobyczy podkreślając, że w taki dzień jak dzisiaj nie można się było spodziewać nic prócz tych, jak to określił, „śmieci”, bo szanująca się ryba ma dość rozumu, żeby się nie dać złapać w taką pogodę. Ostatnie pół mili do Clune przebyli jak wracające do stajni konie. Pat skakał z kępy na kępę niczym koziołek, rozgadany w tym stopniu, w jakim milczał w drodze nad jezioro. Świat i Londyn wydawały się odległe

o całe lata świetlne i Grant nie zamieniłby się nawet z królem.

Kiedy jednak oskrobywali buty z błota na chodniku przed progiem Clune, Grant uświadomił sobie, że myśli o gazecie z niedorzeczną niecierpliwością. A ponieważ u nikogo nie tolerował nierozsądku, a u siebie wręcz nie znosił, starannie raz jeszcze oczyścił obuwie.

- Człowieku, jakiś ty dokładny - powiedział Pat wycierając byle jak swoje podeszwy.

- Tylko prostak wchodzi do domu w zabłoconym obuwiu.

- Prostak? - powtórzył Pat, który, jak Grant podejrzewał, uważał pewnie czyszczenie butów za „babską” sprawę.

- Tak jest. To świadczy o niechlujstwie i niedojrzałości.

- Hm - mruknął Pat i ukradkiem oczyścił drugi raz buty. - Co za dom! Zaszkozi mu te kilka zabłoconych śladów czy co! - dodał, aby podkreślić swoją niezależność, i wpadł jak burza do mieszkania.

W pokoju przy stole Tommy polewał miodem gorący *scone* *, Laura nalewała herbatę, Bridget układała swoje zabawki, pies zaś krążył dokoła stołu. Z wyjątkiem słońca, które teraz rozświetlało pokój, obrazek był ten sam co wczorajszego wieczoru. Z jedną różnicą: gdzieś w tym pokoju była gazeta, na której mu zależało.

* *Scone*- trójkątny placuszek z jęczmiennej lub pszennej mąki.

Laura zorientowała się, że Grant czegoś szuka, a kiedy dowiedziała się, że chodzi o dzisiejszą gazetę, powiedziała:

- Gazetę wzięła Bella. Kucharka. Jeżeli chcesz przejrzeć, to ją wezmę od niej po podwieczorku.

Zachowanie Laury zirytowało go. Stanowczo była zbyt zadowolona z siebie, zanadto szczęśliwa wśród tych obfitości, zastawionego stołu, z wałeczkami tłuszczu w talii, ze zdrowymi dziećmi, tym

wspaniałym mężem i poczuciem bezpieczeństwa. Dobrze by jej zrobiło, gdyby była czasem zmuszona stawić czoło demonom, gdyby czasem znalazła się zawieszona nad pustą, bezdenną przestrzenią. Ale absurd tych pretensji go otrzeźwił. Zrozumiał, że nie w tym rzecz. Szczęście Laury nie miało w sobie nic z samozadowolenia, a Clune nie było bynajmniej ucieczką od rzeczywistości.

Dwa młode owczarki szkockie Tong i Zang, tworząc kłębowisko skaczących ciał i szalejących ogonów, powitały ich przy bramie.

- Jest naturalnie *Times* - powiedziała Laura. - Ale jak zwykle wczorajszy, więc chyba już czytałeś.

- Kto to jest Mały Archie? - zapytał Grant siadając przy stole.

- Aha, więc już poznałeś Archie Browna? - powiedział Tommy i pochłonął pół scorie a oblizując kąpiący miód.

- Nazywa się Brown?

- Nazywał się. Ale od kiedy ogłosił, że jest bojownikiem o Szkocję, zwie się Gilleasbuig Mac-a'-Bruithainn. Wszyscy hotelarze serdecznie go nie cierpią.

- Dlaczego?

- A tobie by się podobało wpisywanie do książki meldunkowej takiego nazwiska jak Gilleasbuig Mac-a'-Bruithainn?

- Nie życzyłbym sobie w ogóle mieć go pod swoim dachem. Co on robi w tych stronach?

- Jak sam mówi, pisze epicki poemat po gaelicku. Jeszcze dwa lata temu nie znał ani jednego słowa w tym języku, więc nie przypuszczam, żeby mógł stworzyć arcydzieło. Swego czasu był zwolennikiem dialektu dolnoszkockiego, wiesz o co chodzi, trzymał się przez długi czas chłopaków z Niziny Szkockiej, ale nie miał szczególnych osiągnięć w tym dialekcie, za duża konkurencja. Wobec tego uznał, że dolnoszkocki to po prostu bezwartościowa,

zafałszowana angielszczyzna i że nie pozostaje mu nic innego jak powrócić do „starego języka”, do prawdziwej mowy. No więc „brał lekcje” u jakiegoś urzędnika w Glasgow, potem u jakiegoś gościa z Uist i wkuł trochę gaelickiego. Od czasu do czasu zagląda do nas kuchennym wejściem, żeby porozmawiać z Bellą, ale ona powiada, że nie rozumie ani słówka. Uważa, że facetowi brakuje piątej klepki.

- Archie Brown ma wszystkie klepki w porządku - powiedziała zgryźliwie Laura. - Gdyby nie był na tyle sprytny, żeby sobie wymyślić swoją rolę, uczyłby dzieci gdzieś w jakiejś zabitej deskami dziurze i nawet inspektor szkolny nie znalazłby go z nazwiska.

- W każdym razie na tle wrzosowiska rzuca się w oczy - powiedział Grant.

- Na mównicy jest jeszcze gorszy, zupełnie jak te koszarne regionalne lalki w kioskach z pamiątkami, i akurat tak samo szkocki.

- Czyżby nie był Szkotem?

- Nie ma w nim ani kropli szkockiej krwi. Ojciec pochodził z Liverpool, a matka była z domu O'Hanrahan.

- Ciekawe, że najbardziej zażartymi patriotami są obcy - zauważył Grant. - Nie przypuszczam, żeby miał większe szanse wśród takich ksenofobów jak Szkoci.

- On ma jeszcze gorszą wadę - powiedziała Laura.

- Jaką?

- Akcent z Glasgow.

- To prawda, aż uszy więdną.

- Nie o to mi chodzi. Jak tylko Archie zabiera głos, publiczność uzmysławia sobie, że Glasgow mogłoby kiedyś dojść do władzy, a to według nich byłoby gorsze niż śmierć.

- Opowiadał mi o urokach Wysp i wspominał przy tym o jakichś „śpiewających piaskach”. Wiesz coś o tym?

- Zdaje się - odparł Tommy bez zainteresowania. - Gdzieś tam na Barra czy Berneray.
- Powiedział, że na Cladda.
- Możliwe. Jak sądzisz, czy nasza łódka na Lochan Dhu wytrzyma jeszcze ze dwa sezony?
- Czy mogę pójść teraz do Belli po *Clarion*? - zapytał Pat sprzątnąwszy cztery *scone*'y i kromkę ciasta równie szybko i sprawnie jak owczarek, któremu udało się porwać ukradkiem smaczny kąsek.
- Jeżeli już go nie potrzebuje - odparła Laura.
- Ojej, już dawno przeczytała! - zawołał Pat. - Przecie czyta tylko te kawałki o gwiazdach.
- O gwiazdach filmowych? - zapytał Grant, kiedy Pat zniknął za drzwiami.
- Nie - odpowiedziała Laura. - „Wielka Niedźwiedzica i Ska”.
- Aha, dzień pod znakiem Syriusza, Węgi i Jowisza.
- Właśnie. Mówi, że u nich na wyspie Lewis trzeba dopiero czekać, żeby się pojawił jakiś jasnovidz, i że to bardzo wygodna rzecz mieć codziennie w gazecie dokładnie wyłożoną przyszłość.
- A czego Pat szuka w *Clarionie*?
- Komiksów oczywiście. Takiej pary potworków, Tolly'ego i Sniba. Nigdy nie pamiętam, czy to kaczki czy króliki.

Wobec tego Grant musiał odczekać, aż Pat skończy z Tollym i Snibem. Laura wyszła do kuchni, Tommy na podwórze, więc został sam z milczącym dzieckiem, nieustannie przekładającym swe skarby na dywanie. Ceremonialnie przyjął od Pata starannie złożoną gazetę i jak tylko chłopiec wyszedł, rozwinął ją, z trudem opanowując niecierpliwość. Było to regionalne wydanie, wypełnione na ogół bardzo prowincjonalnymi wiadomościami, wśród których jednak nie mógł znaleźć żadnej wzmianki na temat wypadku w pociągu. Przeszukiwał pilnie całą dżungłę nieważnych wiadomości, jak pies buszujący

wśród leśnego poszycia, i wreszcie znalazł: u dołu kolumny pomiędzy wypadkami rowerowymi i stuletnimi jubilatami mała notatka pod niepozornym tytułem „Śmierć w pociągu”.

Dziś rano, po przybyciu do Scoone ekspresu «Latający Szkot», znaleziony został w jednym z wagonów sypialnych nie dający oznak życia młody mężczyzna, obywatel francuski Charles Martin. Wezwany lekarz stwierdził śmierć z przyczyn naturalnych, jednakże ze względu na fakt, że zgon nastąpił na terenie Anglii, ciało denata przewieziono do Londynu celem przeprowadzenia dochodzeń.

- Francuz! - powiedział głośno Grant, aż Bridget podniosła oczy znad zabawek.

Francuz? Niemożliwe. Czyżby niemożliwe?

Twarz - owszem. Może. Twarz, to całkiem prawdopodobne. Ale nie to pismo, to typowo angielskie szkolne pismo.

Czyżby gazeta nie była w ogóle własnością B-Siedem?

Może ją tylko skądś zabrał, na przykład z restauracji dworcowej przed odjazdem. Na krzesłach restauracji dworcowych poniewierają się pozostawione przez podróżnych gazety. Mógł zabrać ją z domu, z hotelu, skądkolwiek. Mogła dostać się w jego ręce w różnych okolicznościach.

Możliwe też, że był Francuzem, który chodził do szkoły w Anglii, i stąd to okrągłe, nieporządne pismo zamiast eleganckiej i delikatnej kaligrafii, typowej dla Francuzów. Nic nie wykluczało, że to ręka B-Siedem pisała te wersy.

Niemniej było to dziwne.

A w wypadku nagłej śmierci każdy drobiazg ma znaczenie. W momencie kiedy Grant zetknął się pierwszy raz z B-Siedem, był tak

daleki od spraw zawodowych, tak oderwany od świata w ogóle, że zareagował jak zwyczajny, otumaniony snem człowiek. B-Siedem był dla niego po prostu młodym mężczyzną, który w przesyconym oparami alkoholu przedziale nagle umarł i którego szarpał zirytowany i zniecierpliwiony konduktor. Teraz jednak sytuacja się zmieniła: B-Siedem stał się Przedmiotem Dochodzenia. A to już sprawa ujęta w ramy regulaminu, sprawa, którą się traktuje poważnie, z zachowaniem należytych form i zgodnie z przepisami. I przyszło mu na myśl, że rozpatrując rzecz formalnie należałoby fakt zabrania przez niego gazety uznać za naruszenie przepisów. Zrobił tu zupełnie bezwiednie, przypadkowo, niemniej, jeżeli uważnie rozważyć sprawę, było to usunięcie dowodu rzeczowego.

Laura wróciła z kuchni i Grant musiał przerwać swe rozważania.

- Alan, mam do ciebie prośbę - powiedziała.

Wzięła koszyczek z robótką i usiadła w fotelu obok niego.

- Jestem do dyspozycji.

- Pat mi się buntuje w pewnej sprawie i chciałabym, abys mu przemówił do rozsądku. Jesteś jego ideałem, więc na pewno cię posłucha.

- Czy chodzi o wręczanie kwiatów?

- Skąd wiesz? Już ci mówił?

- Wspomniał o tym dziś rano na jeziorze.

- Chyba nie przyznałeś mu racji?

- Żeby być przeciw tobie? O, nie. Powiedziałem, że to wielki honor.

- Przekonałeś go?

- Nie. Uważa, że to wszystko jest lipa.

- To prawda. Nieoficjalnie Dom Kultury działa już od kilku tygodni. Ale ludzie włożyli w tę imprezę tyle pracy i pieniędzy, że należy im się za to uroczyste otwarcie.

- Ale czy te kwiaty musi wręczać właśnie Pat?
- Tak, inaczej zrobi to Willy MacFadyeanów.
- Lauro, jestem zgorszony.
- Gdybyś zobaczył Willy'ego, tobyś się nie gorszył. Szczeniak wygląda jak żaba chora na elephantiasis. Poza tym stale opadają mu skarpetki. W zasadzie jest to rola dla dziewczynki, ale w całej okolicy nie ma dziewczynki w odpowiednim wieku. Więc mamy do wyboru albo Pata, albo Willy'ego MacFadyeanów. A niezależnie od lepszej prezencji Pata, wypada, aby to zrobił ktoś z Clune. I nie pytaj, dlaczego, i nie mów, że jesteś zgorszony. Postaraj się tylko jakoś Pata nakłonić.

- Spróbuję - powiedział z uśmiechem Grant. - A co to za wieczerabina, o której mówił Pat?

- Lady Kentallen.
- Ta starsza?
- Wdowa, chcesz powiedzieć. Jak dotychczas, istnieje tylko jedna Lady Kentallen. Jej syn jest jeszcze za młody, żeby mieć żonę.

- Skąd ją wytrzasnąłaś?
- Chodziłyśmy razem do szkoły. Do Św. Ludwiki.
- Aha, szantaż, tyrania.
- Żadna tyrania - odparła Laura. - Chętnie podjęła się tej czarnej roboty. Jest szalenie miła.

- Najlepszy sposób na przekonanie Pata, to jakoś ją uatrakcyjnić w jego oczach.

- Ona jest diabelnie atrakcyjna.
- Nie to mam na myśli. Chodzi o to, żeby mu czymś zaimponowała.

- Jest znakomitą wędkarką - powiedziała Laura z wahaniem w głosie. - Ale nie wiem, czy Pat będzie to uważał za wielką atrakcję. W jego pojęciu ktoś, kto nie umie używać wędki, jest po prostu nienormalny.

- Przypuszczam, że trudno byłoby przypisać jej jakieś rewolucyjne skłonności?

- Rewolucyjne? - roześmiała się Laura. - To jest myśl! Rewolucjonistka! Zdradzała zawsze z lekka lewicowe skłonności, mówiła, że to na złość Milesowi i Georgianie; to jej rodzice. Nigdy nie traktowała polityki poważnie, była za ładna, żeby się chwycić takich sposobów. Tak jest, możemy z niej zrobić rewolucjonistkę.

Do jakich to sztuczek uciekają się kobiety! - pomyślał Grant patrząc, jak błyska igła w rękę Laury cerującej skarpetkę, i wrócił do własnego problemu, o którym nie przestał myśleć nawet potem, kiedy się już znalazł w łóżku. Zanim zasnął, zdecydował, że rano napisze do Bryce'a. Będzie to list niby informujący o przybyciu w te uzdrawiające strony i wyrażający nadzieję, że pobyt w tych okolicach przywróci mu równowagę wcześniej, niż przewidywał lekarz, - a przy okazji, poczuwając się do obowiązku, przekazuje wiadomość o gazecie, gdyby ktoś się tym interesował.

Przespał całą noc głębokim, nieprzerwanym snem po dniu spędzonym na świeżym powietrzu oraz dzięki spokojnemu sumieniu i obudził się wśród niezwykłej ciszy. Cisza panowała nie tylko za oknem, cały dom był pogrążony we śnie. W tej chwili Grant uświadomił sobie, że jest niedziela. A więc nikt nie zabierze dziś poczty z Clune. Żeby nadać list, będzie musiał zrobić długą drogę do Scoone.

Przy śniadaniu zapytał Tommy'ego, czy mógłby pożyczyc samochód na podróż do Scoone z ważnym listem, a wtedy Laura zaproponowała, że go odwiezie. Wobec tego zaraz po śniadaniu wrócił do swego pokoju, żeby napisać list, i w rezultacie bardzo był zadowolony z dzieła. Sprawę B-Siedem wprowadził w treść listu równie zgrabnie, jak w artystycznej cerowni wstawiają niewidoczną łątkę dobraną do deseni tkaniny. Napomknął, że nie mógł tak od razu

odsunąć od siebie spraw zawodowych, ponieważ już na samym początku natknął się w pociągu na nieboszczyka, którego rozeźlony konduktor szarpał brutalnie myśląc, że ma do czynienia z pijanym. Na szczęście nie była to jego, Granta, sprawa. Jego rola w tym incydencie ograniczyła się tylko do machinalnego zabrania gazety z miejsca wypadku. Spostrzegł się dopiero w czasie śniadania i nawet byłby ją uznał za własny egzemplarz, gdyby nie to, że na marginesie zauważył jakieś pośpiesznie zanotowane rymy. Tekst był angielski, a pismo angielskiego typu, więc niewykluczone, że jego autorem nie był denat. Jak się okazuje, dochodzenie ma się odbyć w Londynie. Jeżeli Bryce uzna, że sprawa ma jakiegokolwiek znaczenie, to on, Grant, może przysłać ów dowód rzeczowy.

Kiedy zszedł na dół, niedzielna atmosfera była zrujnowana. Wojna i rebelia wstrząsały domem. Pat odkrył, że ktoś jedzie do Scoone (które w jego oczach nawet w niedzielę było wspaniałą metropolią), i chciał także jechać, tymczasem matka kazała mu, jak zwykle w niedzielę, iść na lekcję religii.

- Zamiast szemrać, powinienes się cieszyć, że cię podwieziemy - mówiła.

Grant uznał, że „szemrać” to bardzo słabe określenie tego zajądłego sprzeciwu, który rozpałał chłopca jak pochodnię. Dygotał buntem od wewnątrz, jak stojący samochód z włączonym silnikiem.

- Gdybyśmy nie jechali do Scoone, musiałbyś jak zwykle iść do kościoła na piechotę - przypomniała mu.

- E tam! Nie zależy mi wcale na podwiezieniu. Z Duggiem to nam się nawet lepiej rozmawia w marszu. - Duggie to był syn pastora. - O to mi chodzi, że muszę marnować czas w kościele, kiedy mógłbym pojechać do Scoone. To niesprawiedliwość.

- Pat, nie będziesz mi tu nazywał lekcji religii stratą czasu.

- W ogóle nic nie będę, jak tak dalej pójdzie. Zmarnieję na śmierć.

- A to z jakiej przyczyny?

- Z braku świeżego powietrza.

Laura wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, Pat, jesteś znakomity! - Ale nie należało śmiać się z Pata. Traktował swoje sprawy ze śmiertelną powagą.

- Dobrze, śmiej się - powiedział z goryczą. - Będziesz potem co niedzielę chodzić do kościoła, żeby położyć wieniec na moim grobie. Nie będziesz jeździć do Scoone.

- Ani mi będzie w głowie taka ekstrawagancja. Parę stokrotek od czasu do czasu, jak będę tamtędy przechodzić, to wszystko, na co możesz liczyć. Idź, włóż szalik.

- Szalik! W marcu!

- Jest zimno. Włóż szalik. Żebyś nie zmarniał.

- Strasznie ci akurat zależy, żebym nie zmarniał. Grantowie zawsze byli sknerami. „Parę stokrotek”. Nędzne skąpiradła. Całe szczęście, że jestem Rankin, bardzo się cieszę, że nie muszę nosić tego wstrętnego czerwonego tartanu*.

*Tartan - tkanina samodziałowa w kratę, w charakterystycznych kolorach poszczególnych klanów.

Wytarty kilt Pata miał zielone kolory rodu MacIntyre, które lepiej pasowały do jego rudych włosów niż wesoły tartan Grantów. Był to samodział utkany przez matkę Tommy'ego, która, jako wierny członek rodu MacIntyre, chętnie widziała wnuka odzianego w „coś przyzwoitego”, jak to określała.

Obrażony chłopiec usiadł na tylnym siedzeniu kipiąc wewnątrz, a pogardzony szalik rzucił niedbale na oparcie siedzenia.

- Poganie nie chodzą do kościoła - zaczął znowu, kiedy zjeżdżali w dół piaszczystą drogą.

- Któż to jest poganinem? - zapytała jego matka zaabsorbowana prowadzeniem wozu.

- Ja. Jestem mahometaninem.

- Wobec tego tym bardziej trzeba cię posłać na naukę do kościoła, żebyś się nawrócił. Otwórz bramę.

- Nie potrzebuję żadnego nawracania. Całkiem mi dobrze tak, jak jest. - Przytrzymał bramę i zamknął ją za samochodem. - Nie uznaję Biblii - dodał wsiadając.

- Wobec tego nie jesteś dobrym mahometaninem.

- A to czemu?

- Bo oni także częściowo uznają Biblię.

- Mogę się założyć, że bez Dawida.

- Nie podoba ci się Dawid? - zapytał Grant.

- Mięczak, co tańczy i śpiewa jak dziewczucha. W całej Biblii nie znajdziesz takiego, co by potrafił sprzedać owce na jarmarku.

Trzymał się sztywno na środku tylnego siedzenia, zanadto zbuntowany, żeby usiąść swobodnie, i z zawziętą furią w oczach patrzył ponuro przed siebie. Grant pomyślał sobie, że kto inny na jego miejscu dąsałby się wciśnięty w kąt, i cieszyło go, że złość kuzynka nie była żalonym jęczeniem, lecz strzelała wysokim płomieniem gwałtownego gniewu.

Obrażony poganin wysiadł przy kościele, wciąż gniewny i sztywny, i nie spojrzawszy nawet za siebie skierował się w stronę grupy dzieci zgromadzonych przy bocznym wejściu.

Gdy Laura znowu uruchomiła silnik, Grant spytał:

- Czy teraz już będzie posłuszny?

- O, tak. Tak naprawdę, to on lubi lekcje religii. No a poza tym jest tam Douglas, jego wierny Jonatan. Dzień bez okazji do komen-derowania Duggiem jest dla Pata stracony. On w gruncie rzeczy od początku wiedział, że mu nie pozwolę jechać do Scoone. To były tylko próby, a nuż się uda.

- Bardzo efektowne, trzeba przyznać.

- O tak. Jest w nim coś z aktora.

Ujechali jeszcze ze dwie mile, nim wyczerpał się temat, i w tym samym momencie Grant uświadomił sobie, że znajduje się w samochodzie, że jest zamknięty w samochodzie.

W jednej chwili przestał być osobą dorosłą, z rozbawieniem obserwującą nierozsądne fanaberie dziecka, i sam stał się dzieckiem, przerażonym i zmartwiałym w obliczu nadciągającej grozy.

Otworzył okno po swojej stronie.

- Powiedz, jeżeli będzie za dużo wiało.
- Siedzisz za długo w Londynie - zauważyła Laura.
- Jak to?
- Tylko ludzie z miasta są maniakami świeżego powietrza.

Ludzie na wsi lubią dla odmiany od czasu do czasu trochę miłego zaduchu...

- Mogę zamknąć, jeżeli sobie życzysz - powiedział, choć zesztywniał cały z wysiłku woli.

- Nie, nie, zostaw - zaprotestowała i zaczęła opowiadać, jaki samochód zamówili niedawno z Tommym.

A więc zaczęła się na nowo stara walka. Stare argumenty, stare sztuczki, stare perswazje, zwracanie uwagi na otwarte okno, przypominanie sobie, że to tylko samochód, który można w każdej chwili zatrzymać, zmuszanie się do myślenia o czymś oderwanym od rzeczywistości, przekonywanie siebie samego, że to i tak szczęście, że w ogóle żyje. Ale fala paniki podnosiła się powoli i nieubłaganie. Ohydna, czarna, spienionat odrażająca fala. Sięgała już piersi, trzymała w uścisku, zapierała dech. Za chwilę chwyci za gardło, zdławi kleszczami tchawicę.

- Lala, zatrzymaj!
- Zatrzymać wóz? - zapytała zdziwiona.
- Tak!

Stanęli. Grant wyszedł na drżących nogach, oparł się o barierę na skraju drogi i wielkimi haustami chwycił czyste powietrze.

- Źle się czujesz? - zaniepokoiła się Laura.
- Nie, po prostu chciałem wysiąść.
- Aha - odetchnęła z ulgą. - Tylko tyle!
- Tylko tyle?
- No tak, klaustrofobia. A ja już myślałam, że jesteś chory.
- Nie nazywasz tego chorobą? - zapytał gorzko.
- Oczywiście że nie. Kiedyś omal nie umarłam, jak zwiedzałam podziemia w Cheddar. Nigdy przedtem nie byłam pod ziemią.

Zgasiła silnik i usiadła na kamieniu przy drodze, obrócona bokiem do Granta.

- Z wyjątkiem tych nor króliczych, któreśmy w dzieciństwie nazywali podziemiami - podsunęła mu papierośnicę - nigdy przedtem nie byłam pod ziemią, i nie czułam żadnych oporów przed zejściem w głąb. Szłam z ochotą i ciekawiło mnie to. Dopiero na jakieś pół mili od wejścia nagle mnie złapało. Byłam cała mokra z przerażenia. Często to miewasz?

- Często.
- Wiesz, że jesteś jedyną osobą, która mnie jeszcze czasem nazywa Lalą? Starzejemy się okropnie.

Grant obrócił ku niej twarz, z której powoli odpływało napięcie.

- Nie przypuszczałem, że się boisz czegoś oprócz szczurów.
- O, mam bardzo urozmaicony zestaw lęków. Myślę, że każdy je ma. Przynajmniej każdy, kto tylko nie jest bezmyślną kukłą. Zachowuję spokój, ponieważ prowadzę spokojne życie. Gdybym pracowała ponad miarę, tak jak ty, zwariowałabym zupełnie. Z pewnością miałabym klaustrofobię połączoną z agorafobią i przesłabym w ten sposób do historii medycyny, co oczywiście stanowiłoby dla

mnie ogromną satysfakcję, bądź co bądź byłabym cytowana w *Lancecie*.

Grant usiadł koło Laury.

- Patrz - pokazał jej papieros drżący w rozdygotanej ręce.
- Biedny Alan.
- Biedny, to prawda - przyznał. - Ale to nie zdarzyło się na skutek przebywania w ciemności i pół mili pod powierzchnią ziemi, tylko w samochodzie z otwartymi oknami, na otwartej przestrzeni, w piękny niedzielny poranek w wolnym kraju.

- Nic podobnego.
- Jak to?
- Powód to cztery lata intensywnej pracy ponad miarę i przesadne poczucie obowiązku. Byłeś zawsze tytanem pracy. Potrafiłeś być zupełnie niezdolny. Co wolisz, trochę klaustrofobii czy paraliż?

- Paraliż?
- Jeżeli zapracowujesz się na śmierć, musisz za to jakoś zapłacić. Wolisz tak zwyczajnie? Wysokim ciśnieniem lub wadą serca? Lepiej bać się zamkniętego samochodu niż poruszać się na wózku inwalidzkim. A nawiasem mówiąc, jeżeli nie masz ochoty na dalszą drogę, to mogę pojechać do Scoone z twoim listem, a ty tu na mnie zaczekasz.

- Och, nie. Pojadę.
- Wydaje się, że lepiej z tym nie walczyć.
- A czy ty wrzeszczałaś, jak byłaś pół mili pod ziemią w Cheddar?

- Nie, ale nie byłam patologicznym okazem cierpiącym z powodu przeciążenia.

Uśmiechnął się nagle.

- To nadzwyczajne, jak krzepiąco działa, kiedy człowieka ktoś nazwie patologicznym okazem albo raczej jak to powie takim tonem.

- A pamiętasz, jak byliśmy w Varese i w deszczowy dzień

poszliśmy do muzeum i oglądaliśmy te okazy w stojach?

- Pamiętam, pojechałaś do rygi zaraz po wyjściu.

- A ty pojechałaś do rygi, jak na obiad były faszerowane serca jagnięce, bo widziałeś, jak je nadziewali w kuchni! - odparowała.

- Lala, kochanie! - zawołał ze śmiechem. - Ani trochę nie wy-doroślałaś!

- W każdym razie miło mi, że jeszcze potrafisz się śmiać, choćby ze mnie - powiedziała, złapana na tym dziecinnym przeko-marzaniu. - Jak będziesz gotów do jazdy, to powiedz.

- Możemy już ruszać.

- Już? Jesteś pewny?

- Najzupełniej. Przekonałem się, że nazwanie mnie patolo-gicznym okazem to znakomita kuracja.

- No więc, następnym razem nie czekaj, aż będziesz bliski uduszenia - powiedziała rzeczowym tonem.

Grant zastanawiał się, co na niego podziało bardziej kojąco: czy to, że Laura wiedziała, o jaki rodzaj duszności chodzi, czy to, że rzeczowo zaakceptowała jego niedorzeczne stany.

Rozdział IV

Jeżeli Grant wyobrażał sobie, że ucieszy szefa perspektywą rychłego powrotu do zdrowia lub swymi skrupułami w kwestii gazety, to się mylił. Bryce był jeszcze ciągle raczej antagonistą niż kolegą, jego odpowiedź zaś była dwuznaczna w typowy dla niego sposób. Czytając ją Grant pomyślał, że tylko Bryce potrafi tak skutecznie zjeść ciastko, a równocześnie je zachować. W pierwszym zdaniu zganił Granta za odstępstwo od podstawowych zasad zawodowych, to znaczy za usunięcie dowodu rzeczowego z miejsca wypadku nagłej

i niewyjaśnionej śmierci. W drugim zdaniu wyrażał zdziwienie, że Grant pozwolił sobie na zawracanie głowy zapracowanemu Wydziałowi tak błahą sprawą jak przywłaszczona gazeta. Czyżby stracił poczucie rozsądku i proporcji w wyniku oderwania się od codziennej atmosfery pracy? Następnym zdań nie było.

Patrząc na dobrze znany cienki arkusz urzędowego papieru, Grant poczuł się nie tyle osadzony na miejscu, ile wyproszony za drzwi. W gruncie rzeczy list znaczył: „Alanie Grant, nie rozumiem, dlaczego zawracasz nam głowę informacjami o sobie i dlaczego interesujesz się naszymi sprawami. Pierwsze nas nie interesuje, a do drugiego się nie mieszaj”. Był outsiderem, odszczepieńcem.

Dopiero teraz, przy tym liście, który zatrzasnął mu drzwi przed nosem, zdał sobie sprawę, że za jego świadomą potrzebą usprawiedliwienia się przed Wydziałem z zabrania gazety kryło się pragnienie utrzymania kontaktu ze sprawą B-Siedem. Jego list był nie tylko usprawiedliwieniem, ale i próbą zasięgnięcia informacji. Nie można było już liczyć na wiadomości z prasy. B-Siedem nie był sensacją. Każdego dnia ludzie umierają w pociągach. Nic w tym fakcie nie budziło zainteresowania reporterów. W oczach prasy B-Siedem umarł dwukrotnie, raz jako człowiek, drugi raz jako temat. Grant jednak chciał dowiedzieć się czegoś bliższego o B-Siedem i podświadomie liczył na to, że któryś z kolegów napisze coś w tej sprawie.

Powinien był znać lepiej Bryce'a - pomyślał drąc list i wrzucając go do kosza. Ale, dzięki Bogu, pozostał jeszcze sierżant Williams, wierny Williams. Zdziwi się może, że ktoś na takim stanowisku i z takim doświadczeniem interesuje się widzianym w przelocie nieznanym nieboszczykiem, ale wy tłumaczy to sobie urlopową nudą. Tak czy owak Williams na pewno nie zbędzie go milczeniem. Wobec tego napisał do Williamsa. Czy sierżant nie zechciałby poszukać

wyników śledztwa w sprawie niejakiego Charlesa Martina, który w ubiegły czwartek zmarł nagle w nocnym ekspresie do Szkocji, oraz dowiedzieć się wszystkiego, co zostało ujawnione w trakcie śledztwa. Ukłony dla pani Williams i pozdrowienia dla Angeli i Leonarda.

Przez dwa dni trwał w radośnie niecierpliwym oczekiwaniu na odpowiedź Williamsa. Przeprowadził dokładną inspekcję bezrybnej Turlie, dołek po dołku, uszczelnił łódź na jeziorze, pochodził po górach w towarzystwie pasterza Grahama, z Tongiem i Zangiem płaczącymi się pod nogami, wysłuchał rozważań Tommy'ego na temat urządzenia własnego dziewięciodołkowego pola golfowego między domem a stokiem góry. Trzeciego dnia w porze doręczania poczty kręcił się koło domu z niecierpliwością, której nie odczuł od czasu, kiedy jako dziewiętnastolatek posyłał do czasopism swoje wiersze. A kiedy poczta nic mu nie przyniosła, jego bezradne niedowierzanie było nie mniej dojmujące niż w owych młodzieńczych latach.

Karcił sam siebie za brak rozsądku. Wydział nie miał ni wspólnego z tym śledztwem. Nie wiadomo było nawet, do którego oddziału trafiła sprawa. Williams musi dopiero zasięgnąć informacji. Williams ma własną robotę, pracuje po 24 godziny na dobę, nie można wymagać, aby rzucił wszystko tylko po to, żeby zaspokoić błahą ciekawość kolegi na urlopie.

Odczekał jeszcze dwa dni i doczekał się.

Williams wyrażał nadzieję, że Grant nie tęskni za pracą. Powinien odpoczywać i oni wszyscy w Wydziale (Nie wszyscy! - pomyślał Grant wspominając Bryce'a.) liczą na to, że odpoczywa i że urlop wychodzi mu na zdrowie. Bardzo im brakuje Granta. Co do Charlesa Martina, to nie ma tu żadnej tajemniczej sprawy - zarówno jeśli chodzi o osobę, jak i przyczynę śmierci. Padając uderzył tyłem głowy o krawędź porcelanowej umywalki i chociaż był jeszcze w stanie

dowlec się na czworakach do łóżka, zmarł w kilka minut później w wyniku wewnętrznego krwotoku. Przyczyną upadku była spora ilość wypitej whisky, za mała, aby wywołać kompletne zamroczenie, ale wystarczająca, aby spowodować oszołomienie. Szarpnięcie wagonu na zwrotnicy dokonało reszty. Nie było również żadnej tajemnicy wokół samej osoby denata. Miał przy sobie typowy zestaw francuskich dokumentów, a jego rodzina żyje nadal w miejscowości w pobliżu Marsylii, gdzie się urodził. Od kilku lat nie pokazywał się w domu, który opuścił po burzliwym incydencie - w ataku zazdrości rzucił się z nożem na dziewczynę - ale rodzice przysłali pieniądze na pogrzeb, aby go nie pochowano we wspólnym grobie.

Wszystkie te wiadomości podnieciły apetyt Granta, zamiast go zaspokoić.

Począł, aż według wszelkiego prawdopodobieństwa Williams usiądzie wygodnie w fotelu z fajką i gazetą, jego żona zabierze się do cerowania skarpetek, a Angela i Leonard do odrabiania lekcji, i zamówił rozmowę telefoniczną. Istniało zawsze ryzyko, że Williams będzie poza domem na tropie zawitych śladów jakiegoś przestępcy, ale była również szansa, że zostanie sierżanta.

Zastał go.

Podziękowawszy za list, Grant zaczął indagować:

- Napisał pan, że rodzina posłała pieniądze na pogrzeb. Czy nikt nie przyjechał go zidentyfikować?

- Nie, zidentyfikowali go na podstawie fotografii.

- Fotografii zrobionej za życia?

- Nie, nie. Fotografii zmarłego.

- Czy nie zgłosił się nikt z Londynu, żeby go zidentyfikować?

- Ani żywa dusza, jak się okazuje.

- To dziwne.

- Nie tak bardzo, jeśli był ciemnym typem. Tacy nie lubią narażać się na kłopoty.
- Czy coś przemawia za tym, że był ciemnym typem?
- Nie, nie wydaje mi się.
- Miał jakiś zawód?
- Mechanik.
- Czy miał paszport?
- Nie, tylko normalne dokumenty. I listy.
- Aha, listy?
- Tak, dwa czy trzy, jak to zwykle bywa. Jeden od dziewczyny... Pisała, że będzie na niego czekać. Poczekaj sobie teraz.
- Czy listy były pisane po francusku?
- Tak.
- Jakie pieniądze miał przy sobie?
- Chwileczkę, poszukam notatek. Hm-hm, dwadzieścia dwa funty i dziesięć szylingów w różnych banknotach, dwadzieścia i pół pensa w srebrze i miedzi.
- Wszystkie angielskie?
- Tak.
- Nie miał paszportu, ale miał angielskie pieniądze... Należy sądzić, że przebywał w Anglii dość długo. Zastanawia mnie, dlaczego nikt się po niego nie zgłosił?
- Mogą jeszcze nie wiedzieć, że zmarł. Sprawa nie nabrała rozgłosu.
- Nie znaleziono przy nim jakiegoś angielskiego adresu?
- Nie. Listy były bez kopert, schowane w portfelu. Na pewno ktoś z przyjaciół jeszcze się ujawni.
- Czy wiadomo gdzie jechał? I po co?
- Nie, chyba nie.
- Jaki miał bagaż?
- Mały neser. Koszula, skarpetki, piżama i pantofle. Żadnych znaków z pralni.

- Co? Dlaczego? Czy to były nowe rzeczy?
- Ach nie, nie. - W głosie Williamsa zabrzmiało rozbawienie wobec tej jawnej podejrzliwości Granta. - Mocno przechodzone.
- Czy był jakiś znak firmowy na pantoflach?
- Nie, to takie skórzane ciżmy ręcznej roboty, jakie się widuje na bazarach północnej Afryki i w portach śródziemnomorskich.
- Co jeszcze?
- W nesecerze? Nowy Testament po francusku i powieść, też francuska. Obie książki były dość sfatygowane.
- Trzy minuty - odezwała się poczta.

Grant zużył dalsze trzy minuty, ale nie posunął się ani o krok dalej w wyjaśnieniu sprawy B-Siedem. Dowiedział się tylko, że Martin nie był notowany w kartotekach policyjnych, ani we Francji, ani w Wielkiej Brytanii, i nic nie było o nim wiadomo. Charakterystyczne dla całej sprawy, że jedyny pozytywnie stwierdzony fakt okazał się faktem negatywnym.

- A propos - powiedział Williams.- Jak pisałem list, zapomniałem zupełnie o pańskim postscriptum.

- Jakim postscriptum? - zdziwił się Grant i dopiero wtedy sobie przypomniał, że po namyśle dopisał: „Jeżeli nie będzie pan miał nic lepszego do roboty, może pan zapytać, czy kontrwywiad nie interesuje się niejakim Archibaldem Brownem, szkockim patriotą. Jak się pan na mnie powoła, to Ted Hanna na pewno udzieli panu informacji”.

- A rzeczywiście. Ten patriota. Miał pan czas na to? To całkiem nieważne.

- Właściwie to nadziałem się na pańskiego przyjaciela przypadkiem przedwczoraj w autobusie. Powiedział, że nie ma nic przeciwko pańskiemu ptaszkowi, ale chętnie by się dowiedział czegoś na temat kruków. Czy to coś panu mówi?

- Chyba tak - odparł Grant ubawiony. - Postaram się dać mu odpowiedź. Może mu pan powiedzieć, że to będzie moje wypracowanie wakacyjne.

- Ja pana bardzo proszę, niech się pan trzyma z daleka od pracy i wydobrzeje, zanim nasza stara buda rozleci się bez pana!

- Buty na nogach jakiej produkcji?

- Na jakich nogach? Aha, rozumiem. Z Karaczi.

- Skąd?

- Z Karaczi.

- Zdawało mi się, że się przesłyszałem! Wygląda na to, że gość się objął po świetle. Może była jakaś dedykacja na książce?

- Nie sądzę. Nie wiem, czy zanotowałem coś na ten temat. Zaraz sprawdzę. A, owszem, zanotowałem. Nie było nic.

- W rejestrze zaginionych nie było nikogo, kto by pasował?

- Nikogo. Nawet w przybliżeniu. Nikomu nie zaginął.

- Bardzo ładnie z pana strony, że zadał pan sobie tyle trudu zamiast z miejsca odesłać mnie do wędki i ryb. Postaram się zrewanżować.

- A jak tam ryby? Biorą?

- Potoki zupełnie wyschły, a ryby siedzą w najgłębszych dołkach, o ile takowe gdzieś zostały. Dlatego zajmuję się sprawami, które nie warte są pięciu minut uwagi tak zapracowanych ludzi jak pan.

Ale wiedział dobrze, że to nieprawda. To nie nudy sprawiły, że zainteresował się pasażerem B-Siedem, że się z nim „związał”. Doznawał dziwnego uczucia identyfikacji z osobą B-Siedem. Nie w sensie tożsamości, ale identyczności zainteresowań, co wobec faktu, że widział go tylko raz i nic o nim nie wiedział, było zupełnie niedorzeczne. Może dlatego, że B-Siedem wyglądał na, takiego, co również walczył z demonami. Może tu właśnie był załazek osobistego

zaangażowania w tę sprawę, solidarności z tym młodzieńcem?

Grant wyobrażał sobie, że B-Siedem szukał swego Raju w oszołomieniu alkoholowym. Podsunał mu tę myśl zapach whisky w przedziale. Ale oto okazuje się, że jednak młodzieniec się nie zapał. Nie był nawet bardzo pijany, był po prostu pod gazem. Padając uderzył tyłem głowy w obłą krawędź umywalki. Jest to wypadek, który mógł się wydarzyć każdemu. Strzeżony przez dziwne stwory Raj nie był więc ucieczką alkoholika.

Oderwały go od tych myśli dalsze słowa Williama.

- Co pan powiedział?!

- Zapomniałem dodać: konduktor jest zdania, że ktoś zęgnął Martina na dworcu.

- Dlaczego pan sobie dopiero teraz o tym przypomniał?

- Chyba dlatego, że z konduktora i tak nie było wiele pociechy. Zachowywał się, jakby tę całą sprawę wymyślono mu specjalnie na złość. Tak mi powiedział sierżant, który tam był.

Cały Jogurt, wypisz-wymaluj.

- Ale co powiedział?

- Powiedział, że kiedy jeszcze na dworcu Euston przechodził korytarzem, ktoś był razem z Martinem w przedziale. Jakiś mężczyzna. Nie widział go dobrze, ponieważ drzwi przedziału były przytknięte, więc tylko tyle wie, że Martin rozmawiał z jakimś mężczyzną. Żartowali jak para przyjaciół. Mówili o obrabowaniu jakiegoś hotelu.

- Co takiego?

- No właśnie. Koroner także zawołał „co takiego”.

Konduktor zeznał, że usłyszał „rabuj Caley”, a ponieważ nie da się obrabować drużyny piłkarskiej, to w grę wchodzi tylko hotel. Podobno każdy hotel w Szkocji nazywa się obowiązkowo „Waverley” albo „Caledonian”, czyli potocznie „Caley”. Dodał, że

nie mówili tego poważnie.

- To wszystko, co konduktor wiedział na temat tego odprowadzającego?

- Tak jest, to wszystko.

- To nie musiał być wcale odprowadzający. Mógł to być znajomy przypadkiem jadący tym samym pociągiem. Zauważył Martina przechodząc przez korytarz albo przeczytał nazwisko na liście pasażerów.

- Możliwe, tylko w takim razie należałoby się spodziewać, że znajomy się rano ujawni.

- Niekoniecznie, zwłaszcza jeżeli miał miejsce daleko od Martina. Zwłoki zostały wyniesione dyskretnie, że wątpię, czy którykolwiek z pasażerów w ogóle się zorientował. Zanim przyjechała karetka, peron był już pusty. Wiem, że już kończyłem śniadanie w hotelu, kiedy się zjawiła.

- Słusznie. Konduktor wyjaśnił zresztą, dlaczego nabrał przekonania, że to był odprowadzający: ponieważ facet był w płaszczu i kapeluszu. Twierdzi, że zwykle pasażer zdejmuje kapelusz, nim zacznie się kręcić tam i z powrotem po korytarzach. Pierwszy od-ruch, jak powiada, to rzucenie kapelusza na półkę. Oczywiście, we własnym przedziale.

- A propos listy pasażerów... Jak została dokonana rezerwacja?

- Telefonicznie, ale bilet odebrano osobiście. W każdym razie zrobił to jakiś szczupły brunet. Rezerwacja na tydzień przed terminem.

- W porządku. Niech pan jeszcze coś powie o Jogurcie.

- O kim?

- O konduktorze.

- Aha. No więc powiedział, że kiedy w jakieś 20 minut po odjeździe z Euston zaczął zbierać bilety od pasażerów, Martin był w

toaletcie, a jego bilety sypialny i kolejowy w jedną stronę leżały na półeczce pod lustrem. Konduktor wziął bilet i odnotował go w swoim diagramie, a przechodząc koło toalety zapukał i zapytał: „Czy pan jest z przedziału B-Siedem?” Martin powiedział, że tak, a konduktor na to: „Pozwoliłem sobie zabrać pana bilet, dziękuję uprzejmie. Czy życzy pan sobie rano herbaty?” Na co Martin odpowiedział: „Nie, dziękuję. Dobranoc”.

- Więc miał bilet powrotny.
- Tak, miał go w portfelu.
- No, rzeczywiście wydaje się, że jest wszystko w porządku.

Nawet fakt, że nikt go nie szukał ani nie zgłosił się po ciało, jest zrozumiały. Przecież nie spodziewano się od niego żadnych wiadomości, ponieważ był w podróży.

- A oprócz tego mały rozgłos sprawy. Przypuszczam, że rodzina nawet nie pomyślała, żeby dać nekrolog w angielskiej prasie, pewnie ograniczyli się do zawiadomienia w jakimś tam swoim lokalnym piśmie, gdzie ludzie znali go.

- Jaki był wynik sekcji?

- Normalny. Lekki posiłek na godzinę przed śmiercią, duża ilość whisky w żołądku i spory procent we krwi. Wystarczająco, żeby być na rauszu.

- Czy coś wskazywało na to, że był alkoholikiem?

- O, nie. Żadnych zmian w organizmie. Uszkodzenie głowy i ramienia w przeszłości, poza tym zdrowy jak rydz, żeby nie powiedzieć jak byk.

- Więc stwierdzono jakieś wcześniejsze obrażenia?

- Tak, ale dawne. Nie miały związku ze śmiercią. Doznał kiedyś pęknięcia czaszki i złamania obojczyka. Czy będę bardzo niewychowany czy niedyskretny, jeżeli zapytam, czemu się pan interesuje tak prostym przypadkiem?

- Ba, żebym to ja sam wiedział. Przypuszczam, że chyba dziecinniej.

- To chyba dlatego, że się pan nudzi - odpowiedział ze zrozumieniem Williams. - Ja się wychowałem na wsi, ale nigdy nie byłem ciekaw, jak trawa rośnie. Wieś to przereklamowane miejsce. Zobacz pan, jak tylko zaczną lać, zapomni pan o Martinie. Tutaj leje jak z cebra, więc pewnie i tam niedługo doczekacie się deszczu.

Deszcz wprawdzie nie spadł tej nocy w dolinie Turlie, ale zdarzyło się co innego. Zimną, klarowną, spokojną pogodę zmącił lekki powiew wiatru, miękki i ciepły. Między jednym a drugim podmuchem powietrze wisiało nieruchome, wilgotne i ciężkie. Ziemia rozmiękła i zrobiła się oślizła, a z gór zaczęły spływać wody topniejących śniegów, wypełniając rzekę po brzegi. I wtedy w wartkim, żółtym nurcie poszła pod prąd ryba, błyskając srebrem w skokach przez progi skalne, przez wąskie pasma spienionej wody rwące pomiędzy głazami. Pat wyjął swą cenną muszkę z pudełka (gdzie miała specjalną przegródkę) i dał Grantowi z ceremonialną łaskawością dyrektora szkoły wręczającego uczniowi świadectwo.

- Będiesz na nią uważał, prawda? - powiedział. - Kosztowała mnie dużo pracy.

Miała rację Laura, był to istotnie groźny przedmiot. Przypominał raczej ozdobę damskiego kapelusza, ale Grant zdawał sobie sprawę, że on jeden spośród wszystkich dostąpił takiego zaszczytu, więc przyjął wyróżnienie z należytą wdzięcznością. Umieścił muszkę w bezpiecznym miejscu w pudełku licząc na to, że Pat nie będzie kontrolował jego wyczynów do tego stopnia, żeby go zmusić do jej użycia. Niemniej, ile razy sięgnął do pudełka, widok straszliwej przynęty rozgrzewał mu serce myślą o uznaniu, jakim malec go darzy.

Grant, lekki i beztroski, całe dni spędzał nad Turlie, nad jej ciemną burzliwą wodą. Woda miała kolor piwa i jak piwo była spieniona. Napętniała uszy muzyką, a czas rozkoszą. Wilgotne miękkie

powietrze osiadało delikatną rosą na wełnie jego ubrania, a z gałęzi leszczyny kapąło mu za kołnierz.

Przez cały prawie tydzień myślał wyłącznie o rybach, mówił o rybach i jadł ryby.

I nagle pewnego popołudnia nad ulubioną głębią pod wiszącym mostkiem zdarzyło się coś, co go wyrwało z tego błogostanu.

Zobaczył w wodzie ludzką twarz.

Zanim serce zdążyło mu mocniej uderzyć, zrozumiał, że ta twarz pojawiła się nie na powierzchni wody, tylko na dnie jego własnych oczu. Była to twarz zmarłego, blada twarz o zuchwałych brwiach.

Zaklął i zarzucił wędkę tak ostro, że aż gwizdnęło. Koniec z B-Siedem. Zainteresował się nim wiedziony mylnymi przypuszczeniami. Myślał, że B-Siedem także był ścigany przez demony. Zbudował sobie kompletnie fałszywy obraz B-Siedem. Pijacki Raj w przedziale sypialnym to tylko wywrócona butelka wódki. Nie interesował go więcej B-Siedem. Okazał się zupełnie zwyczajnym młodym człowiekiem, wręcz nieprzyzwoicie zdrowym okazem, który wypił za dużo w czasie nocnej podróży i dość mamie zakończył życie rozbijając sobie głowę o kant umywalki.

- Ale to on napisał ten wiersz o Raju - odezwał się głos wewnętrzny.

- Wcale nie - odpowiedział głosowi. - Nie ma na to najmniejszego dowodu.

- A jego twarz? To nie była zwyczajna twarz. Właśnie twarz od początku cię zafascynowała, na długo przedtem, nim zacząłeś w ogóle myśleć o jego Raju.

- Nic mnie nie zafascynowało - powiedział. - W moim zawodzie takie zainteresowanie jest odruchowe.

- Tak? To znaczy, że gdyby pasażer tego przesyconego alkoholem przedziału był grubym komiwojazerem

z wąsami jak szczotka i z twarzą jak ugotowany budyń, byłbyś także zainteresowany?

- Być może.

- Ty łągarzu! Stałeś po stronie B-Siedem natychmiast, jak tylko zobaczyłeś jego twarz i spostrzegłeś, jak go Jogurt poniewiera. Wyrwał go z łap Jogurta i poprawił na nim marynarkę jak troskliwa mamusia otulająca dziecko szalikiem.

- Zamknij się.

- Wzbudził twoje zainteresowanie nie dlatego, że jego wypa-dek wydał ci się podejrzany, tylko dlatego, że po prostu chciałeś się czegoś bliższego o nim dowiedzieć. Był młody i martwy, a kiedyś był pełen energii i życia. Chciałeś się czegoś dowiedzieć o jego lekkomyślnym życiu.

- W porządku. Chciałem się czegoś dowiedzieć. Chciałbym także wiedzieć, który koń zwycięży w najbliższych gonitwach, jakie są dzisiejsze notowania giełdowe, jak się uda następny film June Kaye... Ale nie spędza mi to snu z powiek.

- Nie. Ale też nie widzisz na wodzie twarzy June Kaye.

- Nie mam ochoty widzieć niczyjej twarzy na powierzchni wody. Nic mi nie zasłoni widoku rzeki. Przyjechałem tu na ryby i nie dam sobie zepsuć zabawy.

- B-Siedem jechał na północ w jakimś celu. Ciekawe, co to było?

- Skąd mam wiedzieć?

- W każdym razie chyba nie na ryby.

- Dlaczego nie?

- Jeżeli ktoś jedzie całą noc po to, żeby wędkować, nie wybierają się przecież bez żadnego sprzętu. Jeżeli był wędkarzem, to powinien mieć przy sobie przynajmniej swoje ulubione muszki, nawet jeśli przyjmujemy, że miał zamiar posługiwać się pożyczoną wędką.

- To prawda.

- Może jego rajem był Tir nan Og, wiesz, ten celtycki raj. To by się zgadzało.
- W jaki sposób?
- Tir nan Og leży gdzieś daleko na zachodzie, za najdalszymi wyspami. Kraina młodości. Celtycki raj jest krajem wiecznej młodości. A co „czyha wzdłuż drogi”? Chyba wyspy ze śpiewającymi piaskami. Wyspy za skałami, które wyglądają jak maszerujące postacie ludzkie.
- A zwierzęta mówiące? Też je znajdziesz na Dalekich Wyspach?
- Owszem, znajdę.
- Czyżby? Cóż to za zwierzęta?
- Foki.
- Ach, odczep się i daj mi spokój. Jestem zajęty. Łapię ryby.
- Być może, że łapiesz ryby, ale nie złapiesz nawet żaby. Możesz sobie zatknąć swoją muszkę za wstążkę kapelusza. A teraz mnie posłuchaj.
- Nie będę cię słuchał. No, już dobrze, niech będzie. Są śpiewające piaski na wyspie. Dobrze, są gadatliwe foki. Ale to wszystko nic mnie nie obchodzi. A poza tym nie widzę związku z B-Siedem.
- Nie? A po co jechał na północ?
- Żeby pochować ciotkę, żeby się przespać z dziewczyną, żeby łązić po górach. Skąd mam wiedzieć? I co mnie to obchodzi?
- Miał się gdzieś zatrzymać w hotelu „Caledonian”.
- Wcale nie.
- A skąd ty wiesz, gdzie miał się zatrzymać.
- Nie wiem. Nikt nie wie.
- Czemu jeden z nich żartował na temat „rabowania Caley”, jeżeliby miał zamieszkać w „Waverley”?
- Jeżeli się wybierał na Cladda - a idę o zakład, że nie istnieje na tej wyspie żadna gospoda o nazwie tak zalatującej kontynentem

jak „Caledonian” - jeżeli wybierał się na Cladda, jechałby przez Glasgow i Oban.

- Niekoniecznie. Równie szybko i wygodnie jedzie się przez Scoone. Prawdopodobnie nie znosił Glasgow. To się często zdarza. Mógłbyś zadzwonić wieczorem do „Caledonian” w Scoone i dowiedzieć się, czy Charles Martin nie zarezerwował u nich pokoju.

- Nie zrobię nic podobnego.

- Jak będziesz tak chlapał po wodzie, wystraszysz wszystkie ryby z rzeki.

Wrócił do domu na kolację w złym humorze. Nic nie złapał, a stracił spokój ducha.

W sennej ciszy, jaka wypełniała pokój po skończonym dniu, kiedy dzieci poszły spać, złapał się na tym, że wędruje wciąż oczami znad książki do telefonu na drugim końcu pokoju. Telefon stał na biurku Tommy'ego i prowokował nieograniczonymi możliwościami, kusił utajoną obietnicą drzemiącą w jego niemej obecności. Wystarczyło podnieść słuchawkę, żeby połączyć się z kimś na zachodnim wybrzeżu Ameryki, z kimś na środku Atlantyku, z kimś na wysokości dwu mil nad ziemią.

Albo z hotelem „Caledonian” w Scoone.

Przez całą godzinę ze wzrastającym niesmakiem walczył z pokusą. Wreszcie Laura wyszła, żeby przygotować drinka na dobranoc, Tommy poszedł wypuścić psy, a wtedy Grant dopadł telefonu jedynym susem, bardziej stosownym na boisku rugby niż w pokoju.

Podniósł słuchawkę, nim się w ogóle spostrzegł, że nie zna numeru. Odłożył słuchawkę z uczuciem, że jest uratowany. Już zrobił krok w kierunku porzuconej książki, lecz zmienił zamiar i sięgnął po spis telefonów. Wiedział, że nie odzyska spokoju, dopóki nie rozmówi się z hotelem „Caledonian” w Scoone; chyba ta mała słabostka nie była wysoką ceną za spokój ducha.

- Scoone 14-60... Hotel „Caledonian”? Mógłby mnie pan poinformować, czy pan Charles Martin zarezerwował u was pokój w tych dniach?... Tak, dziękuję, poczekam... Nie? Nikogo o tym nazwisku... Aha... Bardzo dziękuję. Przepraszam za kłopot.

No i tyle - pomyślał odkładając słuchawkę. To byłby koniec sprawy B-Siedem, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Wypił swego drinka i poszedł spać. Leżał z otwartymi oczami wpatrzony w sufit. Zgasił światło i zastosował własny środek na bezsenność: starał się nie zasnąć. Wymyślił tę metodę już dawno na prostej zasadzie, że natura ludzka jest przekorna, i jak dotychczas metoda go nie zawiodła. Wystarczyło tylko pomyśleć, że nie wolno mu zasnąć, a już mu się oczy same zamykały. To udawanie obalało od razu najpoważniejszą przeszkodę, jaką stanowi obawa przed bezsennością, i w ten sposób oczyszczało pole działania dla nadchodzącego snu.

Teraz także oczy kleiły mu się jak zwykle, ale po głowie kołowała, jak wiewiórka w klatce, rymowanka:

*Tam piaski śpiewają
I chodzą kamienie,
Zwierzęta gadają
I stoją strumienie...*

Co znaczyły stojące strumienie? Czy istniało coś takiego na Wyspach? W każdym razie nie zamrożone strumienie, na Wyspach zimy są zbyt łagodne. Więc co? Strumienie, które wsiąkały w piasek i w ten sposób przestawały płynąć? Nie. Stojące strumienie. Stojące strumienie?

Może bibliotekarz coś będzie wiedział. Chyba jest jakaś przyzwoita Biblioteka Publiczna w Scoone.

- Zdawało mi się, że cię to już nie interesuje? - odezwał się głos.

- Idź do diabła.

Mechanik. Co by to mogło znaczyć? *Mécanicien*. Kryły się za tym słowem nieograniczone możliwości.

Czymkolwiek się zajmował, powodziło mu się na tyle dobrze, że stać go było na pierwszą klasę brytyjskiego ekspresu, co w obecnych czasach oznacza praktycznie milionera. I w dodatku sądząc po wartości neseseru, wydał takie pieniądze na przelotną wizytę.

Może dziewczyna? Dziewczyna, która obiecała czekać?

Ale ona była Francuzką.

- Kobieta? Dla kobiety żaden Anglik nie zdobędzie się na 500-milową podróż, co innego Francuz. Zwłaszcza Francuz, który rzucił się z nożem na dziewczynę za to, że strzelała na boki oczami.

Zwierzęta gadają

I stoją strumienie

O Boże. Znow to samo. Tańczyły dwa Michały jeden duży drugi mały. Entliczek-pentliczek czerwony stoliczek. Lata ptaszek po ulicy zbiera sobie kłos pszenicy. Trzeba powstrzymać wyobraźnię, nim człowieka ogarnie chęćka przelania na papier płodów swej fantazji. Człowiek obdarzony żywą wyobraźnią może się doprowadzić do takiego stanu, że popada w niewolę idei, która się wówczas przeradza w *idée fixe*. Może się tak zakochać we wdzięcznym zarysie stopni świątyni, że będzie pracować latami, aby zarobić pieniądze i zdobyć czas na podróż do niej. W skrajnych przypadkach idea staje się przymusem i wtedy człowiek rzuca wszystko dla tej jednej jedynej rzeczy: szczytu górskiego, głowy z zielonego kamienia w jakimś muzeum, niezbadanej rzeki, kawałka żaglowego płótna.

W jakim stopniu B-Siedem był pochłonięty swoją wizją? Czy aż

na tyle, aby wyruszyć na jej poszukiwanie? Czy na tyle jedynie, aby ją ująć w słowa?

Bo przecież napisał te słowa.

Oczywiście że je napisał.

Należały do niego jak i jego brwi. Jak to jego chłopiące pismo.

- To angielskie pismo? - podsunął prowokująco głos.
- Tak j e s t, to angielskie pismo.
- Ale on był z Marsylii.
- Mógł chodzić do szkoły w Anglii.
- Niedługo powiesz, że w ogóle nie był Francuzem.
- Być może, że tak powiem.

Ale to już groziło wkroczeniem na drogę fantazji. Tymczasem B-Siedem nie był żadną zagadką. Miał ustaloną tożsamość, dom i rodzinę, dziewczynę, która na niego czekała. Udowodniono, że był Francuzem, a fakt zanotowania angielskich rymów po angielsku był zupełnie nieistotny.

- Prawdopodobnie chodził do szkoły w Clapham - odpowiedział zgryźliwie głosowi i zapadł w sen.

Rozdział V

Rano obudził się z bólem reumatycznym w prawym ramieniu. Leżał rozważając to ze spokojnym uśmiechem. Czego też podświadomość nie potrafi uknuć na spółkę z organizmem człowieka! Na żądanie dostarczy potrzebnego alibi, uczciwego alibi. Znał mężów, którzy dostawali gorączki z objawami grypy, ile razy żona przygotowywała się w odwiedziny do rodziców. Znał kobiety tak twarde, że bez mrugnięcia okiem przyglądały się bójce na brzytwy, a popadały w ciężkie omdlenie wobec kłopotliwego pytania. („Czy prawdą jest,

że oskarżona była tak zmęczona śledztwem, że popadła w omdlenie trwające piętnaście minut?” „Istotnie zemdlą!” „Nie było podejrzenia o symulację, nieprawdaż?” „Lekarz zeznał, że z trudem udało mu się ją ocucić. Zapaść była bezpośrednim skutkiem krzyżowego ognia pytań, które zastosowała wobec niej policja...” itd.) Tak jest. Wspólne sprawki podświadomości i organizmu nie miały granic. Dziś wykombinowały razem pretekst umożliwiający mu zrezygnowanie z wyprawy na ryby. Podświadomie Grant chciał dziś pójść do Scoone i porozmawiać z bibliotekarzem w Bibliotece Publicznej. Jego podświadomość pamiętała ponadto, że był to dzień targowy, a więc Tommy wybierze się samochodem do Scoone. Wobec tego podświadomość zabrała się do dzieła wraz z niezmiennie usłużnym organizmem i wspólnie przekształcili zmęczony mięsień w zupełnie niezdatne do użytku ramię.

Czysta robota.

Grant wstał, ubrał się, posykując za każdym podniesieniem ramienia, i zszedł na dół, aby poprosić Tommy'ego o podwiezienie do Scoone. Tommy był szczerze zmartwiony z powodu bólu, jaki odczuwał Grant, ale ucieszył się, że będą razem. Obaj wpadli w znakomity nastrój, a Grant tak intensywnie odczuwał przyjemność, jaką mu zawsze dawało tropienie informacji, że znaleźli się na ulicach Scoone, zanim w ogóle sobie uzmysłowił, że siedzi w samochodzie.

Sprawiło mu to ogromną satysfakcję.

Umówił się z Tommym na lunch w „Caledonian” i poszedł na poszukiwanie Biblioteki Publicznej. Już po kilku krokach wpadła mu jednak inna myśl do głowy: „Latający Szkot” postukując na szynach dojechał do Scoone zaledwie przed paroma godzinami. Jak rok dłużej, odbywał co 24 godziny tę nocną podróż i dojeżdżał rano do Scoone. Ta sama załoga obsługiwała zwykle trasę tam i z powrotem, istniało więc prawdopodobieństwo, że w obsłudze dzisiejszego

ekspresu znajdzie się Murdo Gallacher.

Grant zmienił kierunek i poszedł na dworzec.

- Czy był pan dziś na peronie w porze, kiedy przyjeżdża londyński ekspres? - zapytał bagażowego.

- Nie, ale Lachie był z pewnością - odpowiedział bagażowy. Rozciągnął wargi w wąską linię, wydał gwizd, jakiego nie powstydziliby się lokomotywa, ruchem głowy przywołał kolegę i wrócił do lektury sportowej szpalty *Clarionu*.

Grant podszedł do zbliżającego się wolnym krokiem Lachie'ego i zadał mu to samo pytanie. Owszem, Lachie był przy ekspresie.

- A może mi pan powiedzieć, czy Murdo Gallacher miał dziś służbę?

Lachie odparł, że owszem, widział Kwaśną Gębę.

Czy Lachie mógłby go poinformować, gdzie można teraz znaleźć Kwaśną Gębę?

Lachie spojrzął na zegar dworcowy. Było po jedenastej.

Owszem, Lachie może powiedzieć, gdzie go można znaleźć. Można go znaleźć w barze „Pod Orłem”, czekającego na to, żeby mu ktoś postawił wódkę.

Wobec tego Grant poszedł do baru „Pod Orłem” obok dworca i stwierdził, że zasadniczo Lachie powiedział prawdę. Jogurt był tam istotnie, smętnie zadumany nad kuflem piwa. Grant zamówił dla siebie whisky i zauważył, że konduktor nadstawił ucha.

- Dzień dobry - zwrócił się do niego uprzejmie Grant. - Złapałem już parę niezgorszych ryb od czasu, kiedyśmy się widzieli.

- Cieszy mnie to, proszę szanownego pana - odpowiedział Jogurt udając, że poznaje Granta. - Na Tay?

- Nie, na Turlie. A propos, na co umarł pański młody pasażer? Ten, którego pan usiłował obudzić?

Wyraz usługowej uprzejmości spłynął momentalnie z twarzy Jogurta.

- Może się pan ze mną napije? - zaproponował Grant. - Szklaneczkę whisky? - Jogurt znów się wypogodził.

Potem poszło już łatwiutko. Jogurt był jeszcze wciąż obrażony z powodu kłopotów, jakich doznał w związku z tą sprawą. Musiał nawet swój wolny czas poświęcić na udział w rozprawie.

Pociągnąć Jogurta za język było dziecinnie łatwo. Wystarczyło popchnąć go leciutko, a już szedł we właściwym kierunku.

Jogurt nie tylko był wściekły na to, że musiał wziąć udział w rozprawie. Był wściekły na samą rozprawę, był wściekły na każdego, kto miał jakikolwiek związek z rozprawą. Z tej wściekłości podlanej dwiema szklaneczkami whisky wynikało szczegółowe sprawozdanie o wszystkim i o wszystkich. Był to w ogóle najlepszy interes, jaki kiedykolwiek zrobił Grant za takie pieniądze. Jogurt był uczestnikiem sprawy od samego początku do samego końca, od chwili pojawienia się B-Siedem na dworcu w Londynie aż do werdyktu sędziego. Jako źródło informacji był absolutnie „pierwszą ręką”, a prócz tego mówił chętnie i dużo.

- Czy spotkał go już pan kiedyś wcześniej w swoim pociągu? - zapytał Grant.

Nie, Jogurt nigdy go przedtem nie widział i cieszy się bardzo, że go już nigdy więcej nie spotka.

W tym momencie zadowolenie Granta przerodziło się w niesmak. Jeszcze pół minuty z Jogurtem, a dostanie mdłości.

Wyszedł z baru i udał się na poszukiwanie Biblioteki Publicznej.

Biblioteka była budynkiem niesłychanie brzydkim, kamiennym gmaszyskiem w kolorze wątrobianym, ale po Jogurcie wydawała się szczytem dobrego smaku. Obsługujące panienki były czarujące,

a bibliotekarz okazał się malutkim człowieczkiem ubranym ze spłowiata elegancją, w krawacie równie wąskim jak wstążka binokli, i stanowił wymarzone antidotum na przedawkowanie Gallacherem.

Malutki pan Tallisker był Szkotem z Orkney - co, jak sam podkreślił, znaczyło, że w ogóle nie był Szkotem - a jego zainteresowanie Wyspami dorównywało jego wiedzy o nich. Wiedział wszystko na temat śpiewających piasków na wyspie Cladda. Istniały też rzekomo inne śpiewające piaski (każda wyspa chciała mieć to, co i sąsiedzi, wszystko jedno, czy chodziło o falochron czy o legendę), ale te na Cladda są autentyczne. Leżą jak większość plaż na wyspach po stronie atlantyckiej, otwarte na szeroki ocean i na Tir nan Og, co, jak może pan Grant wie, jest nazwą celtyckiego nieba. Kraina wiecznej młodości. Interesujące, nieprawdaż, jak to każdy naród stwarza sobie własne wyobrażenie nieba. Jedni widzą je jako raj pełen najpiękniejszych dziewcząt, drudzy jako krainę zapomnienia, inni jako nieustającą muzykę i próżnowanie czy jako krainę łowów. Celtowie stworzyli niebo, zdaniem pana Talliskera: krainę młodości.

- Co to są te śpiewające piaski? - przerwał Grant porównawczą analizę szczęśliwości.

- Jest to sprawa dyskusyjna - odpowiedział pan Tallisker. Faktycznie można rzecz interpretować dowolnie. On sam kiedyś pieszo przemierzył te nie kończące się kilometry czystego, białego piasku wzdłuż migotliwego morza: „śpiewają” pod stopami idącego, ale on nazwałby to raczej skrzypieniem. Ale kiedy wieje mocny, stały wiatr - a takie dni nie są na Wyspach rzadkością - powstaje zjawisko przesuwania cieniutkiej, prawie niezauważalnej warstewki na powierzchni piasku, co istotnie wywołuje wrażenie śpiewu.

Od piasków Grant przeszedł niezauważalnie na temat fok.

(Okazało się, że na Wyspach istnieje mnóstwo legend o fokach przemienionych w ludzi i odwrotnie. Gdyby brać je poważnie, to co najmniej połowa mieszkańców Wysp powinna mieć w sobie trochę foczej krwi). Potem zaczęli mówić o chodzących kamieniach, a pan Tallisker na każdy temat potrafił dostarczyć interesujących informacji. Jednakże wobec strumieni był bezradny. Strumienie były na wyspie Cladda chyba jedynym elementem przyrody zgodnym z normami. Może zbyt chętnie rozlewały się w małe jeziora albo zanikały w bagnie, ale były po prostu strumieniami, wodą dążącą do położenia poziomego.

W pewnym sensie - myślał Grant idąc na spotkanie z Tommym - można się w tym dopatrywać „stania”. Strumień, który się zmienia w stojącą wodę, czyli w bagno. Może w ogóle B-Siedem użył tego słowa tylko dlatego, że mu się dobrze rymowało.

Słuchał jednym uchem rozmowy przyjaciela z dwoma farmerami, których Tommy przyprowadził na lunch, i zazdrościł im niezłomnego spokoju i absolutnej, nieskrępowanej swobody. Nic tych spokojnych ludzi nie prześladowało. Wprawdzie od czasu do czasu ich stada dziesiątkowała jakaś klęska naturalna, obfite śniegi lub gwałtowna zaraza, ale oni sami zachowywali spokój i zdrowie, jak góry, które ich żywiły. Byli to mężczyźni masywnie zbudowani, powolni, lubiący po-żartować i poprzestający na małym. Grant zdawał sobie sprawę, że jego zainteresowanie pasażerem B-Siedem było nierozsądne, nienormalne, że miało związek z jego chorobą, że w normalnym stanie ducha nie pomyślałby dwa razy o B-Siedem. Czuł niechęć do owej obsesji i trzymał się jej zarazem. Była jednocześnie jego zgubą i ratunkiem.

Ale wracał z Tommym do domu w jeszcze lepszym nastroju, niż był rano. Praktycznie wiedział absolutnie wszystko o śledztwie w sprawie śmierci mechanika Charlesa Martina. To już było coś. To

było dużo.

Po kolacji odłożył książkę na temat polityki europejskiej, której lekturę zakłócało mu wczoraj zainteresowanie książką telefoniczną, i zaczął szukać na półkach czegoś na temat Wysp.

- Szukasz czegoś konkretnego, Alan? - zapytała Laura podnosząc oczy znad *Timesa*.

- Szukam czegoś o Wyspach.

- O Hebrydach?

- Tak. Przypuszczam, że musicie mieć jakąś książkę na ten temat.

- Ha! - zawołała Laura z rozbawieniem. - Czy mamy! Całą literaturę, mój kochany. W Szkocji wyjątkiem jest ten, kto nie napisał nic na temat Hebrydów.

- Macie coś z tych rzeczy?

- Praktycznie wszystko. Każdy, kto kiedykolwiek nas odwiedził, zawsze przywoził coś z tej literatury.

- Dlaczego nie zabierał z powrotem?

- Zrozumiesz, jak przejrzysz. Poszukaj. Znajdziesz cały jej rząd na dolnej półce.

Zaczął przeglądać książki szybkim, wprawnym okiem.

- Skąd to nagle zainteresowanie Hebrydami? - zapytała Laura.

- Utkwiły mi w pamięci te śpiewające piaski, o których wspomniał Mały Arenie.

- Chyba pierwszy raz się zdarza, żeby komuś utkwiły w pamięci słowa Małego Archiego.

- Podobno Tir nan Og jest tylko o krok na zachód od śpiewających piasków.

- A także Ameryka - powiedziała Laura - która zresztą jest w oczach tamtejszych ludzi o wiele bliższa wyobrażeniom o raju niż Tir nan Og.

Powtarzając opinię pana Talliskera zauważył, że Celtowie są jedynym narodem wyobrażającym sobie niebo jako krainę młodości,

co jest poniekąd wzruszające.

- Są jedynym znanym narodem, który nie posiada w swym języku słowa „nie” - powiedziała zwięźle Laura. - Jest to cecha o wiele bardziej wymowna niż ich pojęcia o nieśmiertelności.

Grant wrócił do kominka z całym stosom książek i zaczął je leniwie, bez pośpiechu przeglądać.

- Trudno sobie wyobrazić umysłowość, która nie potrafiła wymyślić słowa „nie” - dorzuciła z zastanowieniem Laura i wróciła do czytania *Timesa*.

Grant mógł wybierać wśród książek: od naukowych poczynając, poprzez sentymentalne, do czysto fantastycznych. Tematy były różnorodne, od suszenia torfu do świętych i bohaterów; od obserwacji ptaków do wędrówki dusz. Były wśród nich znakomite, lecz nudne i były też niesamowicie bzdurne. Chyba nikt, kto kiedykolwiek odwiedził Wyspy, nie mógł się powstrzymać od napisania czegoś na ich temat. Bibliografie przy poważniejszych książkach mogłyby obsłużyć historię Imperium Rzymskiego. W jednym punkcie wszakże wszyscy autorzy byli zgodni: Wyspy były pełne uroku. Wyspy były ostatnim bastionem cywilizacji w tym zwariowanym świecie. Wyspy były niewypowiedzianie piękne, okryte kobiercem dzikich kwiatów i oblane wokół morzem rozbijającym swe szafirowe fale na srebrzystych piaskach, były krainą promiennego słońca, pięknych ludzi i chwytającej za serce muzyki, pierwotnej i pięknej, przekazywanej od praczasów, kiedy bogowie byli młodzi. Jeżeli chcesz zwiedzić Wyspy, patrz: rozkład jazdy MacBrayne'a, strona trzecia przepisów.

Książki bawiły Granfa przez cały wieczór. Pijąc drinka na dobranoc powiedział:

- Chciałbym sobie obejrzeć Wyspy.
- Zaplanuj je na przyszły rok - powiedział Tommy. — Na Lewis są niezłe rybne potoki.

- Nie, chciałbym już teraz.
- Teraz! - zawołała Laura. - Nigdy w życiu nie słyszałam nic równie niedorzecznego!
- Dlaczego? Nie mogę chodzić na ryby, dopóki mnie boli ramię, więc tymczasem mogę chyba wybrać się na odkrycie Hebrydów.
- Wyleczę ci to twoje ramię w ciągu dwu dni.
- Jak się można dostać na Cladda?
- Przypuszczam, że z Obanu - powiedział Tommy.
- Alanie, bądź rozsądny. Jeżeli przez dzień czy dwa nie możesz używać wędki, to znajdziesz sobie sto innych zajęć, zamiast tłuc się w marcowe sztormy jakąś łajbą przez Minch.
- Podobno na Wyspach wiosna przychodzi wcześniej.
- Nie w cieśninie, możesz mi wierzyć.
- Oczywiście mógłbyś polecieć samolotem - zauważył Tommy, jak zawsze z trzeźwą życzliwością rozważając sprawę. - Mógłbyś polecieć jednego dnia, a wrócić następnego, gdybyś miał ochotę. Połączenie lotnicze jest zupełnie przyzwoite.

Zapanowało nagle milczenie. Grant wymienił spojrzenie z kuzynką. Ona wiedziała, że samolot był wykluczony, i wiedziała dlaczego.

- Daj sobie spokój, Alan - odezwała się łagodniejszym tonem.
- Naprawdę są przyjemniejsze rozrywki niż huśtawka na środku Minchu w marcu. Jeżeli chcesz po prostu wyjechać z Clune na jakiś czas, to możesz wynająć samochód - jest w Scoone całkiem przyzwoity garaż - i pojeździć sobie jakiś tydzień po stałym lądzie. Teraz, kiedy już pocieplało, na zachodzie będzie całkiem wiosennie.

- Nie chodzi o to, żeby wyjechać z Clune, wprost przeciwnie, gdybym tylko mógł, tobym zabrał ze sobą Clune w całości. Rzecz w tym, że mnie wzięła ta historia z piaskami.

Zauważył, że Laura zaczyna rozważać sprawę z nowego punktu

widzenia, i domyślał się bez trudu toku jej rozumowania. Jeżeli jego chory umysł domagał się takiej podróży, to nie należało się sprzeciwiać. Zainteresowanie nieznaną miejscowością może się okazać idealnym środkiem na dolegliwości psychiczne.

- No to dobrze, wobec tego pewnie potrzebny ci będzie rozkład jazdy. Jest gdzieś w domu, ale używamy go raczej do podpierania drzwi albo jako stopień przy sięganiu na górną półkę. Jak się domyślasz, jest nieco przestarzały.

- Jeżeli chodzi o komunikację z Hebrydami, to data nie gra roli - powiedział Tommy. - Rozkład jazdy MacBrayne'a jest równie niezmienny jak prawa Medów i Persów. Jak to ktoś słusznie zauważył, ma szanse przetrwać dłużej niż czas.

Tak więc Grant wziął ze sobą rozkład jazdy i poszedł spać.

Rano zaś pożyczył od Tommy'ego mały neseser i spakował do niego to, co najkonieczniejsze na tygodniowy wyjazd. Zawsze lubił podróżować z minimalnym bagażem i zawsze wołał samotne wyjazdy niż podróż w towarzystwie nawet najbliższych mu osób (cecha, która w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że trwał wciąż w bezzennym stanie). Złapał się na tym, że pogwizduje w trakcie układania rzeczy w walizce. To mu się nie zdarzyło od czasu, kiedy stał się niewolnikiem swoich obsesji.

Znowu będzie na swobodzie. Na swobodzie. To była piękna myśl.

Laura obiecała odwiedzić go do Scoone, aby mógł złapać pociąg do Obanu, ale Graham, który zabrał samochód do Moymore, spóźnił się tak, że zdążenie na pociąg było kwestią szczęścia. Dopadli dworca na 30 sekund przed odjazdem pociągu. Zdyszana Laura wrzuciła Grantowi plik czasopism przez okno ruszającego pociągu i zawołała, z trudem łapiąc oddech:

- Baw się dobrze, kochanie. Choroba morska świetnie robi na wątrobę.

Siedział sam w pustym przedziale w miłym oszołomieniu i nawet nie zauważył gazet leżących obok.

Patrzył na pusty, nagi krajobraz migający za oknami, zieleniejący w miarę posuwania się na zachód. Nie miał pojęcia, po co jedzie na Cladda. Z całą pewnością nie po to, aby gromadzić fakty, jak się mówi u nich, w policji. Jechał, żeby odnaleźć B-Siedem. To było wszystko, co potrafił wyrazić słowami. Chciał zobaczyć te miejsca tak przypominające krajobraz z wiersza. Ogarnięty senną błogością zastanawiał się, czy B-Siedem zwierzył się komuś ze swego Raju. Przypomniał sobie pismo młodego człowieka i uznał, że raczej nie. Tych wąskich „M” i „N” nie pisał człowiek gadatliwy. Tak czy owak nie miało znaczenia, ile osób wtajemniczył w swoje sprawy, skoro nie istniała możliwość skontaktowania się z nimi. Nie może przecież dać ogłoszenia do gazety: „przeczytaj i zgłoś się, jeśli ci to coś mówi”.

A dlaczego by nie mógł?

Cała senność opuściła go, jak tylko zaczął rozważać rzecz z nowego punktu widzenia.

Myślał o tym przez całą drogę do Obanu.

W Obanie poszukał hotelu, gdzie popijając drinka na własną cześć napisał do wszystkich dzienników londyńskich jednobrzmiący tekst ogłoszenia, załączając czek do każdego listu.

Treść ogłoszenia była następująca:

„Tam piaski śpiewają i chodzą kamienie, zwierzęta gadają i stoją strumienie...” Ktokolwiek rozpozna wiersz, zechce napisać na adres: A. Grant, poste restante, Moy-more, Comríshire.

Pominął jedynie *Clarion* i *Timesa*. Nie chciał, aby w Clune pomyślano, że już całkowicie postradał zmysły.

Idąc przez molo w kierunku łupinki, w której miał się przeprawić przez burzliwy Minch, myślał:

Jeżeli mi ktoś odpowie, że jest to jeden z najbardziej znanych opisów jakiegoś Xanadu Coleridge'a* i nazwie mnie niedouczoneym analfabetą, to dobrze mi tak.

*Xanadu - fantastyczne miasto z poematu S.T. Coleridge'a.

Rozdział VI

Ciężkie róże pnące się po zbyt wątych kratkach na bladym tle deseni były tym bardziej sugestywne, że tapeta nie tylko odstawała od ściany, ale w dodatku poruszała się pod wpływem przeciągu. Nie wiadomo, skąd się brał przeciąg, bo niewielkie okno było szczelnie zamknięte i ponad wszelką wątpliwość nie otwierane od chwili wmontowania go gdzieś na początku tego stulecia. Ruchome lustro nad toaletką częściowo tylko spełniało swą rolę, obracało się bowiem o całe 360 stopni, lecz za to prawie nic nie można było w nim zobaczyć. Zeszłoroczny kalendarz złożony we czworo przeciwdziałał obrotowym skłonnościom lusterka, natomiast niczym niestety nie dało się poprawić jego właściwości zwierciadlanych.

Z czterech szuflad komody otwierały się dwie, trzeciej nie dało się wyciągnąć, ponieważ straciła kiedyś uchwyt, zaś czwartej, ponieważ straciła ochotę na otwieranie. Nad czarnym żelaznym kominem, ozdobionym postrzępioną czerwoną bibułą zrudziałą ze starości, wisiała rycina przedstawiająca na wpół ubraną Wenus ocierającą łzy całkiem nie ubranego Kupidyna. Gdyby zimno nie przeniknęło mnie jeszcze do najgłębszego szpiku kości, to dokonałby tego ów obraz - pomyślał Grant.

Wyrzał przez okienko w kierunku małego portu i grupki łodzi rybackich, na szare morze chlapiące smętnie o falochron, na gęsty deszcz i mokre bruki i westchnął do płonących polan na kominku w Clune. Zastanowił się, czy nie schronić się przed zimnem pod kołdrę, ale jedno spojrzenie na łóżko wystarczyło, aby porzucić tę myśl. Materac był cienki jak naleśnik, a mizerna, biała, ażurowa kapa podkreślała jeszcze wątłość łóżka. W nogach leżała złożona kunsztownie czerwona bawełniana kołderka w sam raz do wózeczka dla lalek. Najbardziej niedobry zestaw mosiężnych gałek, jaki kiedykolwiek zdarzyło się Grantowi spotkać, uzupełniał dekorację łóżka.

Hotel na Cladda. Brama do Tir nan Og.

Zszedł na dół do salonu i zaczął rozgrzebywać dymiący żar na kominku. Ktoś obłożył ogień obierzynami ziemniaczanymi, toteż wysiłki Granta okazały się niezbyt skuteczne. Grant ogarnięty rozpaczliwą złością zaczął z całej siły szarpać dzwonkiem. Gdzieś w ścianie druty zabrzczały we wściekłym tańcu, ale dzwonek się nie odezwał. Grant wyszedł do hallu, w którym słychać było gwizd wiatru w szparach drzwi frontowych, i zawołał. Nigdy, nawet w najlepszej swej formie na boisku, nie użył głosu z taką pasją i determinacją i z takim efektem. Jakaś młoda żeńska istota wyłoniła się z wewnętrznych regionów i wlepiła oczy w Granta. Miała twarz realistycznej Madonny i nieco przykrótkie nogi.

- To pan krzyczał? - zapytała.
- Nie, nie krzyczałem. To, co panienka słyszała, to było szczękanie zębami. W moim kraju ogień na kominku służy do ogrzewania pokoju, a nie do spalania odpadków kuchennych.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, jakby sobie tłumaczyła jego słowa na bardziej zrozumiały język, a następnie podeszła do kominka.

- O, rety - powiedziała. - Nic z tego nie będzie. Niech pan zaczeka, zaraz przyniosę trochę żaru.

Poszła i wróciła za chwilę niosąc na szufelce chyba cały ogień spod kuchni. I zanim Grant zdążył usunąć z paleniska obierzyny, dziewczyna wrzuciła na wierzch całą zawartość szufelki.

- Zrobię panu gorącej herbaty. Pan Todd poszedł do portu zobaczyć, co przywieźli. Zaraz tu będzie.

Powiedziała to tonem pocieszenia, jakby już sama obecność właściciela miała być czymś rozgrzewającym. Grant przyjął jej słowa jako formę przeproszenia za brak oficjalnego przyjęcia ze strony hotelarza.

Usiadł i patrzył, jak kuchenny ogień powoli traci zapal w zętknięciu z obierzynami. Próbował rozgrzebać wilgotną masę spod spodu, żeby podsycić ciąg, ale wkrótce wszystko się zapadło i zmieniło w smętny kopczyk. Patrzył, jak ogień mruga coraz wåtleszy, aż w końcu tylko tłące tu i tam włókienka żarzyły się na zwęglonej powierzchni. Już miał zamiar ubrać się i wyjść na przechadzkę - spacer w deszcz może być też przyjemnością - ale myśl o gorącej herbacie zatrzymała go w hotelu.

Minęła godzina jego czuwania przy kominku, a herbaty wciąż jeszcze nie było. Za to wrócił z portu „N. Todd, właśc.” Zjawił się również chłopiec w granatowym swetrze, pchający przed sobą taczki załadowane tekturowymi pudłami. Właściciel wszedł do salonu i przywitał Granta, tłumacząc się, że o tej porze roku nie zdarza się nigdy żaden klient. Kiedy zobaczył Granta schodzącego ze statku, pomyślał, że przyjechał w odwiedziny do kogoś z miejscowych, do kogoś, kto zbiera pieśni lub coś w tym rodzaju. W tonie, jakim hotelarz powiedział „zbiera pieśni”, była jakaś obojętna nutka z odcieniem kpiny, co upewniło Granta w przypuszczeniu, że hotelarz nie jest człowiekiem miejscowym.

Grant zapytał o to Todda, i okazało się, że rzeczywiście nie

pochodzi stąd. Miał mały hotelik na Nizinie Szkockiej, ale tutaj bardziej mu się podoba. Widząc zdziwienie na twarzy gościa dodał:

- Prawdę mówiąc, panie Grant, miałem już dość stukania w kontuar. Wie pan, są tacy goście, co to nie mają czasu zaczekać chwileczkę. Tutaj nikomu nie przychodzi nawet na myśl stukać w kontuar. Dla tutejszych ludzi dziś, jutro czy za tydzień to wszystko jedno.

Jest to wprawdzie czasem irytujące, kiedy od czasu do czasu trzeba coś naprawdę załatwić, ale W ogólności jest miło i spokojnie. Ciśnienie mi się znakomicie obniżyło. - Spojrzał w kierunku komin-ka. - Widzę, że Katie-Ann marnie napaliła. Niech pan przejdzie do mojego biura i ogrzeje się trochę.

W tym momencie Katie-Ann wyjrzała zza drzwi i powiedziała, że gotowanie wody tak długo trwało, ponieważ ogień pod kuchnią wygasł, i czy pan Grant nie uważa, że mógłby wypić herbatę przy kolacji. Grant uznał to w istocie za dobry pomysł, a kiedy dziewczyna poszła parzyć herbatę, poprosił gospodarza o kieliszek czegoś mocniejszego.

- Władze lokalne odebrały memu poprzednikowi koncesję na wyszynk alkoholu, a ja sam jeszcze się nie wystarałem o nową i dostanę ją dopiero na następnym posiedzeniu komisji. Dlatego nie mogę panu dać whisky, a innego lokalu nie ma na wyspie. Jednakże, jeżeli pan zechce przejść ze mną do mego biura, będzie mi miło poczęstować pana.

Biuro było malutkim pokoikiem ogrzany do tropikalnej temperatury. Grant z wdzięcznością rozkoszował się ciepłem i wypił duszkiem nie rozcieńczoną podłgą whisky, tak jak mu ją podał gospodarz. Usiadł na wskazanym mu krześle i wyciągnął nogi w kierunku ognia.

- Nie jest pan więc zapewne znawcą spraw wyspy - zaczął.

Todd uśmiechnął się.

- W pewnym sensie jestem - powiedział złośliwie. - Ale prawdopodobnie nie w tym, który pan ma na myśli.

- Do kogo mógłbym się zwrócić, żeby się czegoś dowiedzieć na tematy lokalne?

- No więc, są dwa autorytety: ksiądz Heslop i pastor MacKay. Powiedziałbym, że chyba ksiądz Heslop byłby lepszy.

- Ma więcej wiadomości według pana?

- Nie, obydwaj są na tym samym poziomie. Ale dwie trzecie mieszkańców to katolicy. Jeśli pan się zwróci do księdza, będzie pan miał przeciwko sobie tylko jedną trzecią ludności zamiast dwu trzecich. Oczywiście prezbiteriańska część jest dużo twardszym przeciwnikiem, ale jeżeli pan stawia na ilość, lepiej wybrać księdza Heslopa. Niech go pan tak czy owak odwiedzi. Ja osobiście jestem niewierzący, więc nie należę ani do jednej, ani do drugiej owczarni, ale ksiądz jest za koncesją, a pastor przeciwko. - Uśmiechnął się znowu i nalał Grantowi drugą szklankę.

- Przypuszczam, że ksiądz woli, żeby ludzie pili legalnie, a nie pokątnie.

- No właśnie.

- Czy mieszkał kiedyś u pana niejaki Charles Martin?

- Martin? Nie, przynajmniej nie za moich czasów. Ale jeśli pan chce, to proszę przejrzeć rejestr gości, jest w recepcji na stole.

- Jeżeli ktoś przyjezdny nie zatrzyma się u pana w hotelu, to gdzie może zamieszkać? W wynajętym pokoju?

- Nie, nikt na wyspie nie wynajmuje pokoiów. Tutaj domy są za małe. Mieszkałby albo u księdza, albo u pastora.

Kiedy wreszcie Katie-Ann przyszła zameldować, że herbata podana, w przemarzniętym ciele Granta krew zaczęła już krążyć

żywiej, a ponadto poczuł, że jest głodny. Cieszył się na myśl o pierwszym posiłku w tej „małej oazie cywilizacji pośród barbarzyńskiego świata” (patrz: „Wyspy Marzeń” H.G.F. Pynche-Maxwella, wyd. Beai and Batter, cena 15 sz., 5 p.). Miał nadzieję, że nie podadzą ani łososia, ani troci, które jadł bez przerwy w ciągu ostatnich ośmiu czy dziewięciu dni; ostatecznie nie odmówiłby morskiego łososia z rusztu, ze świeżutkim miejscowym masłem, ale liczył na homara - wyspa słynęła z homarów - a jeśli nie, to na filety ze świeżego śledzia, prosto z połowu, panierowane w płatkach owsianych.

Pierwszy posiłek na tej wyspie rozkoszy składał się z dwu jaskrawopomarańczowych piklingów, słabo uwędzonych i mocno ufarbowanych w Aberdeen, chleba z Glasgow, owsianych sucharków z Edynburga, nie opiekanych, z dżemu z Dundee i kanadyjskiego masła. Jedynym miejscowym produktem był kopczyk szarawej masy mięsnej udającej haggis*, który okazał się wtórnym produktem bez smaku i aromatu.

* H a g g i s - szkocka potrawa z owczych podrobów.

W świetle lampy bez abażuru jadalnia była jeszcze mniej apetyczna niż w szarawym świetle popołudnia, więc Grant uciekł do swego lodowatego pokoju. Zażądał dwu flaszek z gorącą wodą i zaproponował Katie-Ann, żeby pościagała kołdry ze wszystkich łóżek w hotelu i oddała do jego dyspozycji, skoro i tak był tu jedynym gościem. Uczyniła to z wrodzoną celtycką gotowością do wszelkich zakazanych rzeczy i pękając ze śmiechu rzuciła na łóżko cały stos kołder.

Grant leżał pod pięcioma mizernymi warstwami kołder, na które narzucił własny płaszcz i trenecz, i wmawiał w siebie, że to porządna angielska pierzyna. Rozgrzewając się stopniowo, zaczął sobie zdawać sprawę z zimnego zaduchu w pokoju. To już był szczyt Wszystkiego. I nagle ogarnął go śmiech. Śmiał się do łez, śmiał się do

kompletnego osłabienia i w końcu leżał wyczerpany, oczyszczony, szczęśliwy pod przedziwną zbieraniną okryć.

Śmiech musi chyba mieć jakieś zbawienne działanie na gruczoły wydzielania wewnętrznego - pomyślał czując, jak przepływa przez niego ożywcza fala zadowolenia. Zwłaszcza jeśli człowiek śmieje się z samego siebie, z cudownej, wspaniałej absurdalności własnego stosunku do świata. Wyruszyć do bram Tir nan Og, a wylądować w Hotelu „Cladda”, to było doprawdy cudownie komiczne. Gdyby Wyspy nie miały mu już nic więcej do zaoferowania, to i tak uważałby się za wystarczająco obdarowanego.

Przeostało go obchodzić, że pokój był nie wietrzony, a przykrycie niewystarczające. Leżąc patrzył na ciężkie od róż tapety i w pewnej chwili pomyślał, że chciałby je pokazać Laurze. Przypomniał sobie przy tym, że nie przeniosła go jeszcze dotychczas do odmalowanego pokoju, w którym zawsze mieszkał. Czyżby Laura spodziewała się innego gościa? Czy przypadkiem nie miała zamiaru umieścić pod tym samym dachem nowej kandydatki na żonę dla niego? Jak dotychczas, był szczęśliwie wolny od kobiecego towarzystwa, wieczory w Clune były rodzinne, spokojne i swojskie. Czyżby Laura się tylko przyczaiła, czekając, aż Grant na tyle powróci do przytomności, że zacznie zwracać uwagę na otoczenie? Laura była podejrzanie zmartwiona, że z powodu wyjazdu nie będzie go na otwarciu Domu Kultury w Moymore, a w normalnych warunkach na pewno nie oczekiwałaby od niego udziału w tej ceremonii. Może spodziewała się gościa w związku z ową imprezą? Pokój z całą pewnością nie był przeznaczony dla Lady Kentallen, ponieważ ona przyjedzie z Angus i wieczorem wróci do domu. Wobec tego, na kogo czekał odmalowany pokój? W trakcie tych rozważań zasnął i dopiero rano zdał sobie sprawę, że zamknięte okno denerwowało go nie dlatego,

że było zamknięte, lecz dlatego, że w pokoju zrobiło się duszno.

Umył się w dwu kwaterkach letniej wody, które mu przyniosła Katie-Ann, i zszedł w świetnym nastroju na dół. Czuł się wspaniale. Jadł chleb z Glasgow, o jeden dzień bardziej czerstwy, edynburskie sucharki, dżem z Dundee i kanadyjskie masło oraz parówki ze środkowej Anglii, i jadł to wszystko ze smakiem. Rezygnując ze spodziewanych uroków prymitywu gotów był pogodzić się z prymitywną egzystencją.

Z zadowoleniem stwierdził, że mimo zimnego wiatru, wilgoci, cienkiej kołdry i twardego łóżka reumatyzm znikł zupełnie, widocznie nie był już potrzebny podświadomości do żadnych sztucznych alibi. Wiatr ciągle jeszcze wył w kominie, grzywiaste bałwany rozbryzgiwały się na falochronie, ale deszcz ustał. Grant włożył płaszcz nieprzemakalny i pokręcił się po porcie nie opodal sklepu. W okolicy portu były tylko dwa lokale użyteczności publicznej: urząd pocztowy i sklep. Wspólnie zaopatrywały wyspę we wszystko, co niezbędne do życia. Urząd pocztowy dostarczał także prasę, a sklep sprzedawał towary spożywcze, żelazne, chemiczne, tekstylne, tytoniowe, obuwie, porcelanę i sprzęt okrętowy. Zwoje wzorzystej bawełny na firanki i sukienki leżały na półkach obok pudeł z herbatnikami, szynki wisały u pułapu wraz z pękami trykotowych ineksprimabli. Tego dnia zaś, jak Grant zauważył, była także duża drewniana taca z bułeczkami po 2 pensy, sprowadzonymi, sądząc po napisie na ich opakowaniu, z Obanu. Były pogniecione i smętne, jakby się długo poniewierały w jednym z owych kartonowych pudeł, nieodłącznych rekwizytów życia na wyspie, i zalatywały z lekka parafiną, ale Grant uznał, że urozmaicą mu trochę jadłospis.

W sklepie robiło sprawunki kilku rybaków z portu i okrągłutki, mały człowieczek w płaszczu nieprzemakalnym, który nie mógł

być nikim innym jak tylko księdzem. Był to szczęśliwy traf. Nawet prezbiteriańska jedna trzecia wyspy nie mogła żywić do Granta prentensji o przypadkowe spotkanie w miejscu publicznym. Przysunął się bliżej księdza i czekał wraz z nim, aż sklepikarz obsłuży rybaków. Potem już poszło gładko. Ksiądz go pierwszy zagadnął, Grant miał na to pięciu świadków. Co więcej, ksiądz Heslop sprawnie wciągnął w rozmowę właściciela sklepu Duncana Tavisha, a ponieważ zwracał się do niego per panie Tavish, a nie po imieniu, Grant wywnioskował, że sklepikarz nie należy do owieczek księdza. W ten sposób Grant przy parafinowych bułkach i margarynie podzielił swe względy między mieszkańców wyspy, dzięki czemu znikła obawa wojny domowej o jego osobę.

Razem z księdzem Heslopem wyszli w wichurę albo raczej razem stawiali opór wichrowi walcząc o każdy krok naprzód i starając się przekrzyczeć ogłuszający łopot własnych płaszczy. Grant miał tę przewagę nad swym towarzyszem, że był bez kapelusza, natomiast ksiądz Heslop był nie tylko niższego wzrostu, a więc bliżej gruntu, ale i figurę miał aerodynamiczną, idealnie dostosowaną do huraganowych wichrów, absolutnie pozbawioną jakichkolwiek krawędzi.

Miło było wprost z lodowatej wichury wejść w ciepło torfowego ognia i w ciszę.

- Morag! - zawołał ksiądz Heslop w głąb mieszkania. - Mam gościa, bądź tak dobra, podaj nam herbatę i może znajdziesz tam jakiś *scone*.

Morag, tak jak i Katie-Ann, nic nie piekła, więc podała herbatniki, nieco rozmiękłe w wilgotnym powietrzu. Ale herbata była znakomita.

Wiedząc, że dla księdza, jak i dla całej wyspy, jest przedmiotem zainteresowania, Grant wyjaśnił, że przyjechał na ryby do krewnych w Szkocji, ale musiał zrobić przerwę z powodu bólu ramienia, a

ponieważ nabił sobie głowę Hebrydami, a zwłaszcza śpiewającymi piaskami na Cladda, postanowił je zobaczyć korzystając z okazji, która może się więcej nie powtórzyć. Przypuszczalnie ksiądz zna dobrze śpiewające piaski? Oczywiście, ksiądz zna je doskonale. Jest tu na wyspie od piętnastu lat. Piaski znajdują się na zachodnim brzegu wyspy od strony Atlantyku, to niedaleko, wystarczy przejść na przelaj przez środek wyspy. Grant może się tam wybrać na piechotę jeszcze dziś po południu.

- Wolałbym raczej poczekać na lepszą pogodę. Przypuszczam, że lepiej się przedstawiają w słoneczny dzień?
- O tej porze roku można czekać tygodniami na słońce.
- Słyszałem, że wiosna przychodzi wcześniej na Wyspach?
- Moim zdaniem tylko w wyobraźni tych, co piszą książki o Hebrydach. To jest moja szesnasta wiosna na Cladda i jeszcze do-tychczas nie widziałem, żeby przyszła przed czasem. Wiosna jest także wyspiarzem - dodał z lekkim uśmiechem.

Rozmawiali o pogodzie, zimowych wichurach (wobec których dzisiejsza, według zdania księdza, była zefirkiem), o przenikliwej wilgoci i o zdarzających się od czasu do czasu idyllicznych letnich dniach.

Grant dziwił się, dlaczego miejscowość o tak niewielu powabach tak bardzo pobudza wyobraźnię ludzką.

Ano pewnie dlatego, że Wyspy odwiedza się tylko w pełni lata, a poza tym nikt nie lubi przyznawać się wobec siebie samego ani wobec przyjaciół do rozczarowania. Szuka się wtedy pocieszenia w fantazji. Ksiądz Heslop miał jednak własną teorię na ten temat. Jego zdaniem przybysze nieświadomie szukają tu ucieczki od życia i znajdują to, czego oczekiwali. W ich oczach Wyspy są piękne.

Grant zastanawiał się nad tym chwilę, a następnie zapytał księdza, czy znał Charlesa Martina, który się interesował śpiewającymi piaskami.

Nie, ksiądz Heslop nie pamięta, aby kiedykolwiek zetknął się z Charlesem Martinem. Czy przyjeżdżał na Cladda?

Tego Grant nie wiedział.

Wyszedł w szalejącą wichurę, która zapędziła go do hotelu niechlubnym truchcikiem, zataczającego się jak stary pijak. W pustym hallu pachniał jakiś nieokreślony ciepły posiłek. Wiatr ze świstem wdierał się do wnętrza przez szparę w drzwiach, ale na kominku w salonie płonął przywoity ogień.

Przy wtórze wiatru gwizdzącego w korytarzu i wiatru wyjącego w kominie Grant jadł wołowinę z Południowej Ameryki, marchewkę z puszki z Lincolnshire, ziemniaki z Moray, mleczny budyń paczkowany w Londynie i kompot z konserwy z Evesham. Teraz, kiedy pozbył się już złudzeń, z przyjemnością jadł, co mu podano. Cladda odmawiała mu wprawdzie duchowych rozkoszy, ale za to obdarzyła go dobrym, zdrowym apetytem.

- Czy nie pieczesz nigdy *scone'ów*, Katie-Ann? - zapytał, kiedy ustalał z dziewczyną porę kolacji.

- Pan chce placków? - zdziwiła się. - No pewnie, upiekę panu. Ale mamy dla pana ciasto z piekarni, herbatniki i anyżki. Woli pan *scone'y*?

Pomny „ciasta z piekarni”, Grant z entuzjazmem potwierdził, że oczywiście woli.

- No to dobrze - powiedziała uprzejmie. - Pewnie, że panu upiekę *scone'y*.

Przez całą godzinę szedł płaską, szarą drogą, przecinającą płaskie, szare pustkowia. Po prawej stronie, w przymglonej dali rysowało się wzgórze, jedyna widoczna wyniosłość. Cały krajobraz miał w sobie tyle uroku, co bagnisko w mokry dzień styczniowy. Od czasu

do czasu nagły podmuch wiatru z lewej strony atakował Granta gwałtownym uderzeniem, tak że na wpół ubawiony, na wpół zirytowany, musiał walczyć, aby się nie dać zepchnąć ze szlaku. W dali widniały rozrzucone samotne domki, przycupnięte jak skorupiaki tuż przy ziemi, ślepe i wymarłe. Kamienie zwisające na sznurach z okapów chroniły dachy przed zerwaniem. Przy żadnym domu nie było płotu ani nawet szopy, ogródka czy krzaczka. Żyło się tam zupełnie pierwotnie, w czterech ścianach, wszystko pod pokładem, luki zamknięte.

I oto Grant poczuł, że wiatr ma smak soli, a po niecałej pół godzinie marszu przez podmokłą zieloną łąkę, w lecie zapewne obsypaną kwiatami, nagle, bez żadnego przygotowania, ujrzał ocean. Zdawało mu się, że szerokie pustkowie nigdy się nie skończy, że tym bezkresnym torfowiskiem można dojść aż do linii horyzontu. Nagłe odkrycie, że horyzont znajduje się gdzieś daleko na pełnym morzu, było kompletnym zaskoczeniem. Przed oczami Granta rozciągał się Atlantyk, jeśli nie piękny, to w każdym razie imponujący prostotą i bezmiarem. Brudna, zielona woda zwałała się na brzeg brudnymi postrzępionymi falami i rozlewała w błyskach złośliwej spienionej bieli. Jak daleko okiem, sięgnąć w lewo i w prawo, widać było tylko długie grzebienie łamiących się fal i jasne wydmy. Wszechświat składał się wyłącznie z zielonej spienionej toni i z piasku.

Stał wpatrzony w ocean i uprzytomnił sobie, że najbliższym lądem przed nim jest Ameryka. Takiego niesamowitego uczucia nicości, zrodzonego z kontaktu z przestrzenią bez granic, nie doznał od chwili, kiedy stał dawno temu na skraju pustyni w północnej Afryce.

Morze pojawiło się tak niespodzianie, a jego ogrom i furia były tak oszałamiające, że minęła długa chwila, nim Grant uzmysłowił sobie, że tu oto są piaski, które go sprowadziły w marcu na zachodni

kraniec świata. To są śpiewające piaski.

Tego dnia nie śpiewało tu nic prócz wiatru i oceanu. Razem tworzyły wagnerowski zgiełk, działający wręcz fizycznie jak wichur i woda. Świat był jedną wielką szaloną kotłowaną burej zieleni, bieli i dzikiego hałasu.

Po białym miążkim piasku zszedł aż na sam brzeg wśród huku żywiołów szalejących wokoło. Z bliska wydało mu się wszystko dziwnie bezsensowne i rozwiewało nieprzyjemne wrażenie własnej nicości, przywracało poczucie człowieczeństwa i wyższości. Obrócił się tyłem do oceanu, niemal pogardliwie, jakby miał do czynienia z rozbrykanym dzieckiem. Ogarnęło go uczucie ciepła i życia, poczuł się istotą władającą sobą i wspaniale rozumną. Ruszył w drogę powrotną, absurdalnie i ekstrawagancko szczęśliwy, że jest człowiekiem i że żyje. Kiedy obrócił się plecami do słonego wiatru, powietrze znad łądu zapachniało łagodnie i ciepło. Było to jakby otwarcie drzwi do domu. Szedł przez porośniętą trawami równinę nawet się nie obejrzawszy. Podmuchy wiatru pędziły go wzdłuż rozległych bagien, ale nie wiały mu już w twarz i nie były słone. Nozdrza miał pełne swojskiego zapachu wilgotnej ziemi, zapachu roślin. Był szczęśliwy.

Kiedy wreszcie zszedł w dół do portu, spojrzął na wzgórze skryte we mgle i postanowił jutro tam się wybrać.

Wrócił do hotelu głodny jak wilk. Na kolację został - uhonorowany ni mniej, ni więcej tylko dwoma daniami lokalnego wyrobu. Jednym był talerz *scone'ów* Katie-Ann, a drugim *sleeshacks*, smakołyk znany z dzieciństwa, czyli smażone plastry ziemniaków, które zdecydowanie poprawiły smak resztek zimnej wołowiny, *pièce de résistance* * kolacji. Jedząc pierwsze danie czuł przez cały czas

* *Pièce de résistance* (franc.) - główne danie.

jakiś zapach, jeszcze bardziej kojarzący się ze wspomnieniami z dzieciństwa spędzonego w Strathspey niż *sleeshacke*, zapach nikły i wyrazisty zarazem, zwodniczo drażniący pokłady pamięci. Dopiero kiedy nadkroił jeden z placków Katie-Ann, zrozumiał: placek był żółty od sody i zupełnie niejadalny. Z odruchem wdzięczności dla Katie-Ann za obudzenie wspomnień (stosy żółtych sodowych placków na stole w czeladnej kuchni na farmie, o, Tir nan Og!) zagrzebał dwa placki w żarzącym się popiele kominka i sięgnął po chleb z Glasgow.

Tej nocy zasnął nie patrząc na tapetę i nie myśląc w ogóle o zamkniętym oknie.

Rozdział VII

Następnego ranka natknął się na poczcie na pastora MacKay'a i stwierdził, że udaje mu się bardzo szczęśliwie rozdzielać względy. Pastor MacKay szedł właśnie do portu, żeby zorientować się, czy załoga szwedzkiego kutra rybackiego, który niedawno przybił, zechce wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie. Był tam także, jak go poinformowano, jakiś holenderski statek, niewykluczone, że również wyznania prezbiteriańskiego. Gdyby byli skłonni przyjść, przygotowałby dla nich kazanie po angielsku. Wyraził Grantowi współczucie z powodu pogody. Pora była trochę za wczesna jak na Wyspy, ale zapewne trzeba brać urlop wtedy, kiedy dają.

- Jest pan pewnie nauczycielem, panie Grant?

- Nie - odpowiedział Grant. - Jestem urzędnikiem państwowym.

Była to jego stała odpowiedź na pytanie dotyczące zawodu. Na ogół ludzie są gotowi uznać urzędnika państwowego za istotę ludzką,

ale policjanta nigdy. Policjant to dwuwymiarowa istota ze srebrnymi guzikami i notesem.

- Jest pan tutaj po raz pierwszy, więc nie uwierzy pan, jak piękne są Hebrydy w czerwcu. Dzień w dzień niebo bez jednej chmurki, powietrze tak rozgrzane, że świat po prostu tańczy przed oczami, a miraż równie przedziwne, jak na pustyni.

- Był pan w północnej Afryce?

- O tak, w szkockiej dywizji. Ale tu, niech mi pan wierzy, widziałem przez okno plebanii więcej dziwnych zjawisk niż tam, między Alamein a Trypolisem. Widziałem tę latarnię morską na cyplu, dosłownie zawieszoną w powietrzu, tak jest, wysoko nad ziemią. Widziałem, jak tamta góra przybiera kształt olbrzymiego grzyba, a już skały nadmorskie, o, te wysokie słupy skalne, potrafią się zrobić tak lekkie i przejrzyste, jakby poruszały się krokiem kontredansa.

Zainteresowany tym, co usłyszał, Grant z roztargnieniem słuchał dalszych wywodów pastora. Kiedy się rozstawali przy „Annie Loefquist” z Gøteborga, pastor wyraził nadzieję, że zobaczy Granta wieczorem na *ceilidh*. Cała wyspa przyjdzie i będzie można posłuchać pięknego śpiewania.

Kiedy Grant zapytał swego gospodarza, na czym polega *ceilidh* i gdzie się odbędzie, pan Todd wyjaśnił, że będzie to jak zazwyczaj mieszanka śpiewów i recytacji, a na zakończenie tańce. Odbywa się to zwykle w jedynym dostosowanym do tych celów lokalu, w Peregrine Hall.

- Dlaczego Peregrine?

- Od nazwiska fundatorki. Pani Peregrine przyjeżdżała tu zawsze na lato, a ponieważ była zapaloną propagatorką przemysłu ludowego wyspy i samowystarczalności mieszkańców, ufundowała wielką, piękną halę z dużymi oknami i górnym światłem, żeby ludzie

mieli gdzie pospołu tkąć samodziały nie niszcząc sobie wzroku nad krosnami w ciemnych komórkach. Tłumaczyła ludziom, że powinni się zjednoczyć i spopularyzować tweedy Cladda, żeby były równie poszukiwane jak na przykład tweedy Harris. Biedaczka, mogła była sobie oszczędzić fatygi i grosza. Żaden mieszkaniec Wyspy nie ruszy się nawet krokiem z domu, choćby miał całkiem oślepnąć w swojej komórce. Niemniej hala okazała się bardzo przydatna na zebrania. Może pan tam zajrzy dziś wieczorem?

Grant obiecał, że przyjdzie, i resztę dnia poświęcił na zdobycie miejscowego samotnego szczytu.

Mgła znikła, choć wiatr był jeszcze bardzo wilgotny. W miarę jak Grant się wspinał, w dole otwierało się przed nim morze poznacone wyspami i smugami odpływu. Tu i ówdzie pojedynczą kreską, nienaturalnie prostą w tym naturalnym krajobrazie, rysował się ślad statku.

Kiedy doszedł do szczytu, cały świat Hebrydów ujrzał u swych stóp. Usiadł i ogarnął wzrokiem tę wodną pustynię. Wydała mu się absolutem beznadziejności, światem na wpół wyłaniającym się z chaosu, bezkształtnym i pustym. Gdy się patrzyło na Cladda z góry, trudno było zgadnąć, czy to ziemia pełna jezior, czy też morze pełne wysp, tak przemieszały się ze sobą ląd i woda. Była to kraina stworzona wyłącznie dla dzikich gęsi i fok.

A jednak było mu dobrze tam, na górze. Obserwował zmienną grę fioletów, szarości i zieleni na powierzchni oceanu, ptaki morskie niespokojnie krążące nad jego głową i siewki trzepocące w gniazdach u podnóża skał. Myślał o mirażach pastora i o tańczących skałach. Myślał o B-Siedem, bo w istocie myśl o nim nie opuszczała go ani na chwilę. Ten oto świat należał do B-Siedem: śpiewające piaski, mówiące zwierzęta, chodzące kamienie, strumienie, które nie płynęły.

Po co B-Siedem się tu wybierał? Po prostu żeby zobaczyć, tak jak Grant?

Krótki wypad z małą walizeczką... W jakim celu? Albo żeby się z k i m s zobaczyć, albo żeby coś zobaczyć. Skoro dotychczas nikt go nie poszukiwał, to ewentualność spotkania odpada. Czyli żejechał tu, aby coś zobaczyć. Można oglądać różne rzeczy, ale jeżeli ktoś pisze wiersz w drodze, to ten wiersz stanowi na pewno jakąś wskazówkę.

Co łączyło B-Siedem z tym ponurym krajem? Czyżby przeczytał zbyt wiele książek H.G.F.Pynche- Maxwella i jemu podobnych? Czy zapomniał, że srebrzyste piaski, polne kwiaty, szafirowe morze były ściśle sezonowym zjawiskiem?

Z jedyne go szczytu na Cladda Grant posłał westchnienie wdzięczności pasażerowi B-Siedem. Gdyby nie on, nie siedziałby tu szczęśliwy jak król, odrodzony i całkowicie panujący nad sobą. Czuł się kimś więcej niż sprzymierzeńcem B-Siedem - czuł się jego dłużnikiem.

Kiedy się podniósł z zacisznego miejsca, jakie sobie znalazł, wiatr szarpnął nim gwałtownie. Schodząc Grant poddawał się - tak, jak to czynił za chłopięcych czasów - stawiającemu opór wichrowi, który go podtrzymywał i prowadził zdumiewająco bezpiecznie w nieprawdopodobnej pozycji.

- Jak długo może trwać taka wichura w tej części świata? - zapytał hotelarza, kiedy wieczorem po kolacji szli razem na *ceildh* walcząc po ciemku z wiatrem.

- Co najmniej trzy dni - powiedział Todd. - Ale na ogół dłużej. Zeszłej zimy dęło przez cały miesiąc bez przerwy. Człowiek tak się przyzwyczaja do wichury, że kiedy czasem przycicha, to się czuje, jakby nagle ogłuchł. Powrotną drogę radziłbym panu odbyć samolotem. Nie próbowałbym na pana miejscu przepływać cieśniny w taką pogodę. Wszyscy teraz przeważnie latają, nawet starzy, którzy nigdy

nie widzieli pociągu. Samoloty uważają za rzecz normalną.

Grant przyznał mu w duchu rację. Gdyby odczekał jeszcze parę dni, zostawił sobie trochę czasu na przyzwyczajenie się do odzyskanej równowagi, mógłby potraktować podróż samolotem jako test. Będzie to bardzo trudny test, najtrudniejszy ze wszystkich. Dla każdego klaustrofoba perspektywa zamknięcia w ciasnym pudle i zawieszenia w powietrzu jest koszmarem. Jeżeli przejdzie tę próbę pomyślnie, będzie się mógł uznać za wyleczonego. Będzie znów człowiekiem. Ale trzeba trochę poczekać, jeszcze za wcześnie na taki trudny sprawdzian.

W chwili gdy doszli do Peregrine Hall, występy trwały już od jakichś dwudziestu minut. Stanęli więc blisko wejścia obok mężczyzn z wyspy. Kobiety i staruszkowie zajmowali miejsca siedzące. Z wyjątkiem pierwszego rzędu, gdzie siedziały Osobistości (Duncan Tavish, kupiec i niekoronowany król Cladda, obydwaj Kościoły i paru pomniejszych notabli), męska połowa ludności podparła ściany i tłoczyła się przy wejściu. Publiczność była niezwykle kosmopolityczna, jak zauważył Grant. Szwedzi i Holendrzy przyszli w komplecie, a słychać też było tu i ówdzie dialekt z Aberdeen.

Jakieś dziewczę śpiewało delikatnym sopranem. Głos miała miły i szczery, ale bez wyrazu, brzmiał trochę jak próbowanie melodii na flecie. Po niej wystąpił bardzo pewny siebie młodzieniec powitany owacją, którą przyjął tak zarozumiale, że aż śmiech brał, i puszył się jak paw. Był zapewne ulubieńcem szkockich wychodźców na stałym lądzie i częściej występował na estradach stałego lądu niż na własnym zaniedbanym podwórku. Zaśpiewał rażną śpiewkę surowym, zdartym tenorem i zebrał ogromne brawa. Grant był nieco zdziwiony, że ów śpiewak nie zdobył się nigdy na szkolenie swojego głosu. Musiał przecież na stałym lądzie zetknąć się z prawdziwymi

śpiewakami umiejącymi operować głosem. I nawet przy jego niezwykłej próżności zadziwiający był brak jakiegokolwiek zainteresowania podstawami sztuki, którą uprawiał.

Potem wystąpiła jeszcze jedna śpiewaczka i wykonała kolejną pieśń bezbarwnym kontraltem, a po niej jakiś mężczyzna wyrecytował humoreskę. Grant nie znał gaelickiego i z wyjątkiem paru słów, których nauczył się w dzieciństwie od starych ludzi w Strathspey, rozumiał nie więcej, niż gdyby słuchał włoskiego lub tamilskiego. Występy ogromnie podobały się publiczności, podczas gdy Grant nudził się. Jeżeli pieśni, których wysłuchał, były „zbierane” przez amatorów sztuki ludowej Hebrydów, to na pewno ten trud się nie opłacił. Nieliczne autentyczne pieśni polecały w świat na własnych skrzydłach jak każdy oryginalny produkt sztuki, zaś te błahe imitacje lepiej niechby pomarły własną śmiercią.

Przez cały czas koncertu w głębi sali trwał bezustanny ruch, mężczyźni wchodzili i wychodzili, a Grant odbierał to, jedynie jako niedostrzegalny akompaniament do chwili, aż ktoś go ujął za ramię i szepnął do ucha: „Może pan też pozwoli na jeden łyżek?” Zrozumiał, że oto wyspa pragnie go poczęstować najtrudniejszym do zdobycia artykułem. Nie sposób było odmówić, podziękował więc swemu dobroczyńcy i wyszedł za nim w ciemność. Po zawietrznej stronie domu reprezentatywna męska mniejszość wyspy stała pod ścianą w błogim milczeniu. Ktoś włożył Grantowi do ręki płaską półlitrowkę.

- *Slainte!* - powiedział i łyknął. Czyjaś ręka odebrała mu butelkę, a głos wyraził mu wzajemne życzenie zdrowia, po czym Grant wraz z nieznanym przyjacielem wrócił do oświetlonej sali. Wkrótce ujrzał, że ktoś ukradkiem trąca Todda że on także wchodzi w ciemność. Coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć nigdzie indziej -

pomyślał Grant. - Chyba w Stanach w czasach prohibicji. Nic dziwnego, że na wzmiankę o whisky Szkot przybiera tę głupawo filuterną i fałszywie nieśmiałą minę. (Z wyjątkiem Strathspey, gdzie się pędzi whisky. Tam stawia się butelkę na środku stołu równie naturalnie jak w Anglii, tyle że może z lekką dumą.) Nic dziwnego, że uważają kieliszek whisky za kawalerski, jeśli nie wręcz zuchwały wyczyn. To zadziwiające, porozumiewawcze przymrużenie oka, z jakim prawie każdy Szkot mówi o whisky, jest wynikiem dziedzicznego obciążenia tradycjami prohibicji, kościelnej lub państwowej.

Rozgrzany łykiem z płaskiej butelki słuchał pobłażliwie rozwlekłej wypowiedzi Duncana Tavisha po gaelicku. Zapowiedział on występ gościa, który przybył z daleka, żeby się z nimi spotkać, gościa, który nie potrzebował żadnej rekomendacji i którego zasługi mówiły same za siebie (mimo to Duncan omówił je bardzo obszernie). Grant nie dosłyszał gaelickiego nazwiska gościa, ale zauważył, że maruderzy zaczęli się tłoczyć do wnętrza usłyszawszy brawa, jakimi nagrodzono perore pana Tavisha. Albo zapowiedziany mówca był główną atrakcją wieczoru, albo też whisky się skończyła.

Grant obserwował z leniwym zainteresowaniem, jak z pierwszego rzędu podnosi się niewielka postać, gramoli się na estradę i staje na środku.

Był to Mały Archie.

Tu, na Cladda, Mały Archie wyglądał jeszcze dziwniej niż na wrzosowisku w Clune, jego postać była tu znacznie bardziej nie na miejscu, a papuzie kolory jeszcze jaskrawsze. Na wyspie nie noszono kiltów. Wśród tych mężczyzn odzianych w ubrania z grubego samodziału w skromnych kolorach Archie przypominał ludową lalkę. Bez zawadiackiego beretu z bukietem zielska zdawał się nie ubrany, jak policjant bez hełmu. Rzadkie włosy cienkimi

pasemkami kunsztownie przykrywały sporą łysinę.

Niemniej publiczność powitała go takim aplauzem, że z wyjątkiem rodziny królewskiej nikt chyba nie mógł liczyć na równie gorące przyjęcie. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę efekty libacji w ciemnościach, był to fakt zadziwiający, zaś po pierwszych słowach od razu zapadło bardzo pochlebne milczenie. Grant byłby się chętnie przypatrzył twarzom słuchaczy. Pamiętał, że Bella, pochodząca z Lewis, nie chciała mieć do czynienia z tym prozelitą wchodzącym kuchennymi drzwiami, a opinia Pata Rankina o nim nie przeszłaby przez cenzurę. Lecz co też myśleli o Archiem ci wyspiarze odcięci od świata - niewinni, zachłanni, nieśmiali i egoistyczni? Nic nie jest w stanie przeciągnąć ich na stronę innej władzy, ponieważ w gruncie rzeczy nikt nimi nigdy naprawdę nie rządził. W ich pojęciu państwo jest po to, aby mieć z niego korzyści i wykpiwać się od obowiązków. Jednakże ich separatyzm łatwo można wykorzystać do propagowania wrogich nastrojów, a ich oportunizm nęcić pokusą korzyści. Mały Archie nie wydawał się tu żalonym zerem, tak jak nad Lochan Dnu. Na Cladda stanowił potencjalną siłę. Na Cladda i sąsiednich wyspach były bazy dla łodzi podwodnych, punkty przerzutowe przemytu, punkty kontaktowe, lotniska, bazy patrolowe. Co wyspiarze sądzili o Gileasbuigu Mac-a'-Bruithainnie i o jego ideach? Grant dałby wiele, aby zobaczyć teraz ich twarze.

Przez całe pół godziny Mały Archie przemawiał cienkim, gniewnym głosem, z pasją i bez przerwy, a publiczność słuchała w milczeniu. Aż w pewnej chwili Grant, rzuciwszy okiem na rzędy krzeseł przed sobą, doznał wrażenia, jakby były mniej wypełnione niż na początku wieczoru, co mu się wydało tak mało prawdopodobne, że przeniósł swą uwagę z Archiego na salę. W przejściu między piątym i szóstym rzędem zauważył dyskretny ruch, a idąc wzrokiem w ślad

za nim doszedł do końca rzędu. Tu ruch się zatrzymał i zmateriałizował w postaci Katie-Ann. Nie wywołując zamieszania i nie spuszczać uważnych oczu z mówcy, Katie-Ann wsiąkła w stojące szeregi mężczyzn i znikła za drzwiami.

Grant obserwował salę w dalszym ciągu i po chwili stwierdził, że proces topienia nie ustawał, obejmując nie tylko siedzącą publiczność, ale i mężczyzn pod ścianami. Widownia rozplywała się niedostrzegalnie pod samym nosem Archiego. To było takie dziwne - wiejska publiczność wytrzymuje zawsze do samego końca, choćby nie wiem jak się nudziła - że Grant zapytał szeptem Todda:

- Dlaczego oni wychodzą?
- Idą na balet.
- Na balet?
- W telewizji. To ich największa frajda. Wszystko inne, co pokazują w telewizji, jest im znane, teatr, śpiew i tak dalej. Ale balet to jest coś, czego jeszcze nigdy nie widzieli. Z tego nie zrezygnują za nic... Co pan w tym widzi zabawnego?

Ale to nie pasja wyspiarzy do baletu wywołała rozweselenie Granta. Ucieszyło go niespodziewane unieszkodliwienie Archiego. Biedny Archie. Biedny, wykiwany Archie, pokonany za sprawą arabski, zwyciężony przez entrechat, pogiębiony przez plié*.

*Arabeska, entrechat, plié - figury baletu klasycznego.

- Już nie wrócą?
- Owszem, wrócą na tańce.

I rzeczywiście, wszyscy co do jednego. Cała wyspa bez wyjątku uczestniczyła w tańcach: starsi siedzieli pod ścianami, młodszy hulali i pokrzykiwali, aż się trząsł cały budynek. Był to taniec mniej skoczny, mniej wdzięczny niż tańce znane Grantowi ze stałego lądu. Do tańców góralskich potrzebny był kilt i miękkie, cicho stąpające

trep, w których tancerz płąsa jak płomień migający wśród mieczów. Tańce wyspiarskie są bardzo podobne do irlandzkich, do ich smutnego bezruchu, z którego wyłączone są jedynie nogi. Nie ma w nich owych spontanicznych wybuchów radości życia, wypełniającej tancerza aż po koniuszki palców podniesionych rąk. Ale jeśli nawet brakowało tym tańcom wdzięku i radości, była w ich figurach i przytupywaniu jakaś zdrowa, szczerza wesołość. W sali mogło się pomieścić równocześnie kilka zespołów po cztery pary i wkrótce wszyscy, łącznie ze Szwedami i Holendrami, zostali wciągnięci w tę orgię piasów. Przydałaby się tu kapela wojskowa - myślał Grant oddając Katie-Ann w ramiona zachwyconego Szweda - brak tu werbla i tej pauzy po nim, może to nie byłoby klasyczne, ale efektowne. Wiatr gwizdał za oknami, tancerze pohukiwali, skrzypce rzępoliły, pianista rąbał w klawiaturę i wszyscy bawili się wspaniale. Łącznie z Alanem Grantem.

W powrotnej drodze walczył z bezlitosną wichurą smagającą lodowatym deszczem, a w domu padł na łóżko pijany ruchem i świeżym powietrzem. Był to cudowny dzień.

Był to także dzień pożyteczny. Odnalazł „kruki” Arenie Browna, będzie miał odpowiedź dla Teda Hanny, jak wróci do Londynu.

Tego wieczora nie odczuł niepokoju na widok zamkniętego okna. W ogóle o nim zapomniał, był po prostu zadowolony, że okno jest zamknięte. Myślał tak, jak wszyscy mieszkańcy wyspy - że okno ma chronić od niepogody.

Zaszył się w swoje pikowane gniazdo, bezpieczne schronienie od wiatru i deszczu, i zapadł w głęboki sen bez marzeń.

Rozdział VIII

Archie wyjechał następnego ranka „pierwszym statkiem”, aby nieść światło w inne ciemne zakątki archipelagu. Okazało się, że korzystał z gościny pastora MacKay. Grant zastanawiał się, co powiedziałby ten nieposzlakowany kapelan szkockiego pułku, gdyby wiedział, kogo przyjmuje pod swoim dachem. Chyba że i wielbny MacKay cierpiał na tę samą chorobę co Archie Brown?

Po zastanowieniu Grant uznał, że chyba jednak nie. Pastor miał wszelką władzę, jaka tylko mogła zamarzyć się śmiertelnikowi. Każdy niedzielny poranek czynił zadość jego próżności; poznał on kawał świata, wiedział, czym jest życie i śmierć, i dusza ludzka w obliczu spraw ostatecznych. Prawdopodobnie obce mu były ciążoty do tajemnych szczytów. Był po prostu gościnnie wobec szkockiej znakomitości. Albowiem w tak małym kraju jak Szkocja Archie zaliczał się do znakomitości i pastor niewątpliwie cieszył się, że może go gościć u siebie.

Tak więc Grant miał wyspę do całkowitej dyspozycji i w towarzystwie szalejącego wichru przemierzał wzdłuż i wszerz swe ponure królestwo. Przypominało to trochę spacer z niesfornym psem, który zbija pana z nóg goniąc za nim po wąskiej ścieżce, wywraca go nieomal skacząc mu na ramiona w ekstazie radości i wciąż sprowadza z obranego kierunku. Wieczory spędzał przy kominku słuchając wspomnień Todda z czasów, kiedy był on właścicielem pubu w Dolnej Szkocji. Miał wilczy apetyt, wyraźnie przybierał na wadze, zasypiał natychmiast, jak tylko przyłożył głowę do poduszki, i nie budził się aż do rana. Pod koniec piątego dnia był raczej gotów stawić czoło stu podróżom samolotowym niż pozostać jeszcze dwanaście godzin na wyspie.

Tak więc szóstego ranka znalazł się na białej plaży i czekał na samolot, który miał go zabrać na swej drodze ze Stornoway. Lekki niepokój gdzieś w głębi serca, miast przejmującego lęku, którego się spodziewał, nie psuł mu nastroju. Wraz z Toddem, walizką stojącą między nimi na piasku i samochodem hotelu na Cladda, pozostawionym wyżej, na łące, gdzie kończyła się droga - jedynym samochodem na wyspie i jedynym w swoim rodzaju na całym świecie - stanowiący cztery drobne ciemne plamki na jasnej przestrzeni.

Grantowi przyszło na myśl, że jego lot na wielkim ptaku, który przypadkowo usiadł na tej plaży na krańcu świata, będzie chyba najbliższy pierwotnemu wyobrażeniu człowieka o lataniu.

Wielki ptak usiadł na piasku i potoczył się w kierunku czekających. Przez chwilę Grant uległ panice. Samolot był bądź co bądź pudłem; ciasnym, zamkniętym pudłem-pułapką. Ale przypadkowość scenerii szybko rozładowała napięcie. W klinicznej czystości portu lotniczego, gdzie człowieka prowadzą i popędzają, panika mogłaby zwyciężyć, ale tutaj otwarta przestrzeń plaży, pilot swobodnie plotkujący na najwyższym stopniu trapu z Toddem, krzyk mew i zapach morza tworzyły razem atmosferę zupełnej swobody pozbawionej jakiegokolwiek przymusu. Toteż kiedy nadszedł moment odlotu, stanął na ostatnim stopniu trapu zaledwie z leciutkim przyśpieszeniem tętna i zanim był w stanie zanalizować swoją reakcję na zamknięcie drzwi, uwagę jego zwróciło coś bardziej interesującego: przed nim, po przeciwnej stronie wejścia, siedział Mały Archie.

Mały Arenie wyglądał, jakby dopiero co wyciągnięto go z łóżka, i to w dużym pośpiechu. Nieład jego stroju jeszcze bardziej podkreślał wrażenie maskarady. Przywitał Granta jak starego przyjaciela, łaskawie z nim porozmawiał na temat jego nieznamości Wysp, polecił mu gaelicki jako język, którego warto się nauczyć, i wreszcie

usadowił się do drzemki. Grant przypatrywał mu się z ukosa.

- Co za kanalia - myślał. - Co za podła, bezczelna kanalia.

Archie spał z otwartymi ustami. Pasma ciemnych włosów nie zakrywały już łysiny, kolana pod włochatymi jaskrawymi skarpetami przypominały anatomiczne preparaty. Nie były to kolana, tylko „stawy kolanowe”. Szczególnie interesujący był zarys kości piszczałowej.

Bezczelny, zarozumiały drań. Miał zawód, który mu dawał chleb, zawód, który mu zapewniał jakąś pozycję, dawał satysfakcję. Ale to było za mało. Potrzebował światła jupiterów. Obojętne, kto za nie płaci, byle tylko mógł się w nim pławić.

Grant wciąż jeszcze rozmyślał nad podstawową rolą próżności jako przyczyny wielu przestępstw, kiedy ukazał się w dole geometryczny wzór, jak japoński kwiat rozwijający się w wodzie. Porzucił dla niego swoje psychologiczne rozważania i wtedy pojął, że samolot zatacza już koło nad lotniskiem na stałym lądzie. Nawet nie zauważył, kiedy upłynęła podróż.

Stanął na płycie lotniska wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby tu w tej chwili odtańczył z radości wojenny taniec. Miał ochotę śpiewać i skakać dookoła lotniska jak dziecko, które dostało pierwszego w życiu konia na biegunach. Po chwili ochłonął, poszedł do kabiny telefonicznej i zadzwonił do Tommy'ego, aby ten przyjechał po niego, jeśli może, za jakieś dwie godziny do hotelu „Caledonian” w Scoone. Tommy odpowiedział, że może i że przyjedzie. Jedzenie w restauracji na lotnisku smakowało mu jak nigdy. Przy sąsiednim stoliku ktoś głośno narzekał na podłgę kuchnię, ale oczywiście ten człowiek nie urodził się po raz drugi po pięciu miesiącach piekła i siedmiu dniach kuchni Katie-Ann.

Kiedy Tommy wszedł do hallu „Caledonian”, jego okrągła mała

twarz zdawała się jeszcze miłsza i okrąglejsza niż zazwyczaj.

Nie było wiatru, nawet najmniejszego powiewu.

Świat był piękny.

Byłoby okropne - pomyślał Grant- gdyby się okazało w samochodzie Tommy'ego, że stare lęki powróciły. Może tylko czekają, oblizując łakomie wargi, żeby się na niego rzucić.

Ale nic podobnego się nie stało. Po prostu on i Tommy jechali sobie samochodem w zwykłej, miłej, swobodnej atmosferze. Krajobraz był dużo bardziej zielony niż przed dziesięcioma dniami, a światło popołudniowego słońca kładło na spokojnych polach swe długie, złote palce.

- Jak wypadła uroczystość w Moymore? - zapytał Grant. - Co z bukietem?

- O Boże! - powiedział Tommy udając, że ociera pot z czoła.

- Czyżby go nie wręczył?

- Jeżeli fakt, że pozwolił jej go mieć, nazwiesz wręczeniem, to technicznie rzecz biorąc można powiedzieć, że wręczył. Podał jej bukiet z małą przemową, którą sam sobie ułożył.

- Co powiedział?

- Myślę, że przygotował sobie ten wykręt od chwili, kiedy udało nam się wmówić w niego, że Zoe Kentallen jest czymś w rodzaju buntowniczką. Co zresztą było pomysłem Laury, nie moim. W każdym razie kiedy pochyliła się, żeby wziąć od niego bukiet goździków - ona jest bardzo wysoka - odsunął bukiet z zasięgu jej ręki i powiedział zdecydowanym tonem: „Daję pani te kwiaty tylko dlatego, że pani także jest rewolucjonistką”. Przyjęła rzecz bez mrugnienia okiem i powiedziała: „Tak, oczywiście, bardzo ci dziękuję”, jakkolwiek nie miała bladego pojęcia, o co chodzi. Nawiasem mówiąc całkowicie zawiądnęła jego sercem.

- Jakim sposobem?
- Starym, niezawodnym, kobiecym. Chłopak padł ofiarą pierwszej miłości.

Grant pomyślał, że warto by zobaczyć ten fenomen.

Clune leżało ciche w swym zielonym gnieździe, a Grant powracał tryumfalnie jak ze zwycięskiej bitwy. Ostatnim razem jechał tą piaszczystą drogą jak niewolnik. Wyjechał na poszukiwanie B-Siedem, a odnalazł siebie.

Laura wyszła na próg domu, żeby ich powitać.

- Alan, czy ty dorabiasz sobie na boku bukmacherstwem? - spytała.

- Nie, dlaczego?
- Nie jesteś autorem poradnika dla zakochanych?
- Nie.
- Bo pani Mair mówiła, że czeka na ciebie cały wór listów.
- Och! Skąd pani Mair wie, że to dla mnie?
- Powiedziała, że jesteś jedynym A. Grantem w całym okręgu. Mam nadzieję, że to nie w związku z ogłoszeniem matrymonialnym?
- Nie, chodzi o pewną drobną informację - wyjaśnił idąc z nią do bawialni.

We wczesnym zmierzchu pokój był pełen blasku ognia i ruchliwych cieni. Grant przekonany, że pokój jest pusty, dopiero po chwili zauważył, że ktoś siedzi w wielkim fotelu przy kominku. Była to kobieta tak smukła i wiotka, że robiła wrażenie równie migotliwe jak cienie. Aż musiał się uważniej przyjrzeć, żeby się upewnić, że wzrok go nie myli.

- To jest Lady Kentallen - usłyszał za sobą głos Laury. - Zoe przyjechała do nas na parę dni na ryby.

Lady Kentallen pochyliła się do przodu podając rękę Grantowi. Wydała mu się młoda dziewczyną.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Laura twierdzi, że pan nie lubi, jak się do pana mówi „inspektorze”.

- Tak, oczywiście. „Inspektor” brzmi ponuro w życiu prywatnym.

- I trochę nierealnie - dodała swym delikatnym głosem. - Jak z powieści kryminalnych.

- Właśnie. Każdy się spodziewa, że zaraz zostanie zapytany, gdzie był w krytycznym czasie wieczorem takiego a takiego dnia.

Jak to możliwe, by to dziewczę mogło być matką trzech synów, z których jeden już kończył szkołę?

- Miała pani już jakieś sukcesy wędkarskie?

- Złapałam dziś ładnego łososia roczniaka. Dostanie go pan na kolację.

Miała ten typ urody, który pozwala czesać włosy gładko z przedziałkiem pośrodku. Mała, ciemna głowa na długiej, uroczej szyi.

Przypomniał mu się nagle świeżo odmalowany pokój. A więc malowano go dla Zoe Kentallen, a nie dla najnowszej kandydatki na jego żonę. Co za ulga! Odbieranie defilady wybranek Laury było wystarczająco kłopotliwe, a gdyby jedna z nich miała zamieszkać pod tym samym dachem to, mówiąc oględnie, byłoby już za dużo szczęścia.

- Pociąg z Obanu widocznie raz wreszcie przyszedł o czasie - powiedziała Laura komentując wczesny powrót Granta.

- Alan wrócił samolotem - powiedział mimochodem Tommy kładąc jeszcze jedno polano do ognia, nieświadomy znaczenia informacji.

Grant rzucił okiem na Laurę i zobaczył, jak twarz jej rozjaśnia się radością. Obróciła głowę w jego kierunku, szukając go wśród cieni, napotkała jego wzrok i uśmiechnęła się. Więc aż tak wzięła to sobie do serca? Kochana Lala. Kochana, dobra i życzliwa Lala.

Zaczęli rozmawiać o Wyspach. Tommy opowiedział anegdotkę o człowieku, któremu wiatr zdmuchnął kapelusz, kiedy wsiadał na statek w Barra, i który znalazł swoje nakrycie głowy czekające już

na niego na moło w Mallaig. Laura żartowała na temat niemożności porozumienia się w języku, w którym żadne słowo nie liczyło mniej niż dwieście lat, i ułożyła sprawozdanie z wypadku drogowego (bla-bla rower bla-bla wiraż bla-bla hamulce bla-bla ciężarówka bla-bla karetka bla-bla nosze bla-bla zastrzyk bla-bla klinika bla-bla termometr bla-bla chryzantemy, frezje, gerbery, narcyzy, goździki...). Zoe spędziła dzieciństwo na Wyspach i umiała ciekawie opowiadać o kłusowniczym łowieniu łososi. Jest to sztuka, której nauczył ją miejscowy talent kłusowniczy pod samym nosem strażnika.

Grant stwierdził z przyjemnością, że obecność gościa w niczym nie zakłóca rodzinnej atmosfery w Clune. Wydawało się, że Zoe jest zupełnie nieświadoma własnej urody i nie oczekuje żadnych hołdów. Grant nie dziwił się zupełnie, że „całkowicie zawładnęła sercem” Pata.

Dopiero kiedy się znalazł w swoim pokoju i zamknął drzwi, przypomniał sobie o worku listów czekających na niego na poczcie w Moymore. Cały worek! Cóż, w końcu nie było w tym nic dziwnego. Dzięki pracy w Kryminalnym Wydziale Śledczym poznał specjalny gatunek ludzi, takich, co wyżywają się całkowicie w pisaniu listów: do gazet, do nieznanym, do pisarzy, do Rady Miejskiej, do policji. Siedem ósmym worka okaże się produktem hobbystów korespondencji.

Ale pozostanie jeszcze jedna ósma.

Co przyniesie?

Nazajutrz rano zobaczył przyjaciółkę Laury, w chwili gdy szykowała swój sprzęt do wyprawy nad rzekę. Kusiło go, aby wybrać się razem z nią. A jednak zwyciężyła ciekawość: co też zawiera worek z listami? Lady Kentallen znikła nie czyniąc zamieszania, spokojna, samodzielna, nie narzucająca się, a Grant patrząc za jej oddalającą się sylwetką pomyślał, że robi raczej wrażenie

dorastającego chłopca niż przyszłej babci. Miała na sobie bardzo eleganckie spodnie i bardzo wyświechtaną starą wiatrówkę. Grant podzielił się z Tommym spostrzeżeniem, że Zoe jest jedną z niewielu kobiet, które naprawdę dobrze wyglądają w spodniach.

- Jest jedyną na świecie kobietą - dodał Tommy - która wygląda ładnie w woderach.

Tak więc Grant udał się na pocztę do Moymore.

Pani Mair wyraziła nadzieję, że Grant ma sekretarkę, i ofiarowała mu nóż do rozcinania kopert. Był to cieniutki srebrny przedmiot, bardzo wytarty, z ametystowym kwiatkiem ostu. Grant wzbraniał się przed przyjęciem noża, twierdził, że nie wypada mu przyjmować prezentów od nieznanymi dam, ale dama powiedziała:

- Proszę pana, mam ten nóż już od dwudziestu pięciu lat. W owych czasach ludzie umieli jeszcze czytać. Dziś tylko patrzą i słuchają. Jest pan pierwszą osobą, jaką spotykam, która potrzebuje noża do rozcinania kopert. Wydaje mi się nawet, że kiedy pan otworzy wszystkie listy z tego worka, będzie panu potrzeba czegoś więcej niż noża do papieru. Tak czy inaczej, pierwszy i ostatni raz trafia mi się cały worek listów adresowanych do jednej osoby i chciałabym jakoś uczcić tę okazję. Niech więc pan przyjmie ten drobiazg.

Przyjął go z wdzięcznością, wrzucił worek do samochodu i ruszył w drogę powrotną do Clune.

- Worek jest własnością poczty! - zawołała za nim pani Mair. - Niech pan nie zapomni go odwiedzić!

Zaniósł worek do swego pokoju i wyczyścił nożyk aż do połysku, potem wysypał zawartość worka na podłogę i wsunął nóż w pierwszą z brzegu kopertę. Autorka pierwszego listu oburzała się, że Grant ośmielił się publikować wyrwane z głębi jej serca wiersze, które ona na wiosnę 1911 roku osobiście napisała, natchniona przez swego ducha-przewodnika, Azula. Widząc swe bezcenne wiersze

tak brutalnie wystawione na widok publiczny, czuje się jak odarta z szat na oczach tłumu. Trzynastu następnych korespondentów przyznawało się do autorstwa już bez natchnienia ducha-przewodnika i zapytywało, ile za to dostaną. Pięć osób przysłało pięć różnych uzupełnień poematu, które coś mówiły o charakterach autorów. Trzy listy oskarżały Granta o bluźnierstwo, a siedem rozpoznało w wierszu plagiat z Apokalipsy. Ktoś napisał: „Stary, dziękuję za umilenie mi wieczoru, jak tam ryby biorą na Turlie w tym roku?” Jeden z korespondentów odesłał go do apokryfów, inni do „Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy”, do Ridera Haggarda, do teozofii, do Wielkiego Kanionu, zaś pięć osób do różnych miejsc w Ameryce Środkowej i Południowej. Otrzymał też dziewięć różnych porad dla alkoholików i dwadzieścia dwie ulotki na temat jakichś tajemnych kultów. Dwaj korespondenci oferowali mu prenumeratę czasopism literackich, a ktoś inny proponował, że udzieli Grantowi lekcji pisania popłatnych wierszy. Ktoś napisał: „Jeśli pan jest tym A. Grantem, z którym przetrwałem porę monsunową w Bishenpur, to podaję swój aktualny adres”. Jakąś pani nie owijała w bawełnę: „Jeżeli jesteś tym A. Grantem, z którym spędziłam noc w motelu w Amalfi, to serdecznie cię pozdrawiam. Chciałabym, żeby mój mąż był równie fajny”. Był także jeden list z informacjami na temat stowarzyszenia Klanu Grantów, dziewięć listów nieprzyzwoitych, trzy nieczytelne. Razem sto siedemnaście listów. Najwięcej przyjemności sprawił mu następujący tekst: „Rozszyfrowałem cię, ty cholerny zdrajco, składam natomiast doniesienie do kontrwywiadu”.

Żaden z tych listów nie miał dla niego wartości.

W gruncie rzeczy był na to przygotowany. Strzelał na oślep.

Przynajmniej miał trochę zabawy. Teraz aż do końca urlopu będzie już mógł spokojnie zająć się wędką. Ciekawe, jak długo Zoe

Kentallen zostanie w Clune.

Zoe wzięła ze sobą kanapki i nie wróciła na lunch, ale po południu Grant poszedł z wędką w dół rzeki. Zoe prawdopodobnie przeszła już całą trasę wzdłuż potoku Clune, ale może nie znała go tak dobrze jak on. Może przyda się jej dyskretna rada. Oczywiście nie wybierał się w dół rzeki wyłącznie po to, aby spotkać Zoe, po prostu chciał trochę połazić z wędką, ale przecież przedtem należałoby się dowiedzieć, które wody Zoe już wyeksploatowała. A skoro już ją spotka, to przecież nie będzie mu wypadało pokiwać jej ręką i pójść dalej.

Oczywiście, nie poszedł dalej. Siedział na brzegu i patrzył, jak Zoe zarzuca następną przynętę na wielkiego łososia, którego od godziny starała się na różne sposoby skusić.

- Po prostu kpi sobie ze mnie - powiedziała. - To już jest osobista sprawa między nami. - Operowała wędką ze swobodą człowieka od dzieciństwa łowiącego ryby, niemal z roztargnieniem, jak Laura. Grant obserwował ją z satysfakcją. W godzinę później ościenniem pomógł jej wyciągnąć rybę. Siedzieli teraz razem na trawie i jedli kanapki. Pytała o jego pracę, nie traktując jej jak czegoś sensacyjnego. Tak samo rozmawiałaby z architektem albo maszynistą kolejowym. Opowiadała o swoich trzech chłopcach i o ich planach na przyszłość. Jej prostota była absolutnie szczerą, a swoboda całkowicie dziecinna.

- Nigel będzie chory z zazdrości, jak się dowie, że byłam na Turle z wędką - powiedziała to tak, jak mówi dziewczynka o swoim bracie. To odzwierciedlało stosunki między nią a synami.

Mieli przed sobą jeszcze kilka dobrych godzin dnia, ale żadne z nich nie interesowało się więcej rybami. Siedzieli, patrzyli w ciemną wodę i rozmawiali. Grant starał się sobie przypomnieć, czy znał kogoś podobnego do Zoe, ale bez skutku. Żadna z pięknych kobiet,

które kiedyś znał, nie miała w sobie nic z zaczarowanej księżniczki, z jej sposobu bycia i wiecznej młodości. Jakby tu zabłądziła z Tirnan Og - pomyślał. Trudno uwierzyć, że musi być chyba w tym samym wieku co Laura.

- Znała pani dobrze Laurę w szkole?
- Nie byłyśmy przyjaciółkami od serca. Miałam przed nią ogromny respekt.
- Respekt? Przed Laurą?
- Tak. Wie pan, ona była bardzo inteligentna, a ja nie potrafiłam zliczyć do trzech.

Ponieważ kontrast pomiędzy powierzchownością wróżki z bajki Andersena a zmysłem praktycznym stanowił w oczach Granta cząstkę uroku Zoe, wywnioskował, że Zoe przesadza.

- Możemy się wszyscy uważać za bardzo szczęśliwych, pan, Laura i ja, że przeżyliśmy dzieciństwo w szkockich górach - powiedziała, kiedy rozmawiali o jej wędkarskich doświadczeniach. - To jest moim zdaniem coś, co należy się każdemu dziecku: piękny kraj lat dziecińczych. Po śmierci Dawida, mego męża, namawiano mnie, żebym sprzedała Kentallen. Nie mieliśmy nigdy zbyt wiele pieniędzy, a podatek spadkowy pochłonął fundusze, które pozwalały jeszcze jako tako ten dom utrzymać. Ale chciałam go zachować przynajmniej tak długo, dopóki Nigel, Timmy i Charles nie dorosną. Ciężko im będzie rozstać się z Kentallen, ale przynajmniej pozostaną im wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa w pięknej Szkocji.

Grant obserwował, jak Zoe ze starannością lubiącego porządek dziecka zgrabnie składa sprzęt, i pomyślał, że powtórne małżeństwo byłoby dla niej na pewno dobrym rozwiązaniem. Już choćby West End, tak dobrze mu znany, roił się przecież od eleganckich mężczyzn w lśniących samochodach, dla których utrzymanie Kentallen byłoby równie łatwe jak pielęgnowanie japońskiego ogródka w

jednym z pokoi swego mieszkania. Trudność leżała zapewne w tym, że w świecie Zoe Kentallen pieniądź nie był ani rekomendacją, ani rozgrzeszeniem.

Wiosenne słońce zachodziło. Niebo zrobiło się przejrzyste. Góry odeszły i położyły się spać, jak kiedyś powiedziała Laura jeszcze jako dziecko, ujmując w kilku prostych słowach całą atmosferę pogodnego wieczoru, wróżącego, że jutro będzie równie wspaniały dzień.

- Trzeba już chyba iść - odezwała się Zoe.

Zbierając swój i jej sprzęt Grant pomyślał, że w dzisiejszym popołudniu nad Turlie było więcej czaru i magii niż na wszystkich tak szeroko reklamowanych wyspach Atlantyku.

- Lubi pan swoją pracę, prawda? - zapytała, kiedy szli pod górę ku Clune. - Laura mi mówiła, że gdyby pan chciał, mógłby pan już dawno iść na emeryturę.

- Tak - odparł nieco zaskoczony. - Chyba mógłbym rzeczywiście. Siostra mojej matki zostawiła mi spadek. Wyszła za mąż za kogoś, kto się dorobił w Australii, a nie miała własnych dzieci.

- Czym by się pan zajął, gdyby pan poszedł na emeryturę?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Rozdział IX

A jednak, kiedy kładł się spać tej nocy, zastanowił się nad tym. Nie rozważał tej myśli poważnie, jedynie dla zabawy. Jak by to było: przejść na emeryturę? Przejść na emeryturę, będąc jednocześnie dostatecznie młodym, by zacząć coś nowego. A jeżeli coś nowego, to na przykład co? Może założyć fermę owczą, jak Tommy? To byłoby niezłe. Jednakże czy całkowicie wiejska egzystencja dałaby

mu zadowolenie? Wątpliwe. A jeżeli nie, to czym jeszcze mógłby się zająć?

Bawił się tą przyjemne myślą jak nową zabawką, dopóki nie zasnął, a następnego dnia rano zabrał ją ze sobą nad rzekę. Największe zadowolenie w tej zabawie sprawiała mu myśl o minie Bryce'a czytającego jego rezygnację. Jak zareagowałby na wiadomość, że na dobre utracił swego najlepszego pracownika? To była znakomita myśl.

Łowił w swoim ulubionym miejscu, poniżej wiszącego mostku, i prowadził rozmowę z Brycem. Bo, oczywiście, to byłaby rozmowa. Nie odmówiłby sobie tej niewymownej przyjemności położenia pisemnej rezygnacji na biurku, przed samym nosem Bryce'a; położyłby ją sam, własnoręcznie. Później zaczęłaby się pogawędka, dająca doprawdy wiele satysfakcji, i wreszcie wyszedłby na ulicę jako wolny człowiek. Wolny... i co potem?

Potem być sobą, nie wyczekiwać na niczyje skinienie ani zawołanie; robić rzeczy, które zawsze chciał robić, ale nie miał na nie czasu. Na przykład mógłby pożegłować gdzieś w dal.

A może ożenić się? Miałby dość czasu, by dzielić z kimś życie. By kochać i być kochanym.

W błogim nastroju rozmyślał nad tym przez następną godzinę.

Około południa doznał uczucia, że nie jest sam. Podniósł wzrok i dojrzał, że na moście stoi mężczyzna i obserwuje go. Stał o kilka jardów od brzegu i ponieważ most nie poruszał się, musiał tam już tkwić od jakiegoś czasu. Most był upleciony z lin i wyłożony drewnianymi deszczułkami; był tak lekki, że nawet wiatr mógł go poruszyć. Grant był wdzięczny przybyszowi za to, że nie wszedł na środek mostu i nie huśtał nim płosząc wszystkie ryby w sąsiedztwie.

Z aprobatą skinął mężczyźnie głową.

- Pana nazwisko Grant? - zapytał mężczyzna.

Po niejasnych wypowiedziach ludzi o umysłowości tak skomplikowanej, że nie mieli w swym języku słowa „nie”, przyjemnie było usłyszeć bezpośrednie pytanie wypowiedziane prostym językiem.

- Tak - odrzekł i zawahał się chwilę.

Mężczyzna sprawiał wrażenie Amerykanina.

- To pan jest tym facetem, który dał ogłoszenie do gazety?

Teraz nie było już wątpliwości, skąd pochodzi przybysz.

- Tak.

Mężczyzna przesunął kapelusz na tył głowy i powiedział z rezygnacją w głosie:

- No, dobra. Myślę, że też jestem stuknięty, bo inaczej by mnie tu nie było.

Grant zaczął zwijać wędkę.

- Zechciałby pan zejść tu, na dół, panie?...

Mężczyzna zszedł z mostu i kierował się w jego stronę wzdłuż brzegu. Był raczej młody, dobrze ubrany i nieźle się prezentował.

- Nazywam się Cullen - powiedział. - Tad Cullen. Jestem pilotem. Latem z frachtem w OCAL-u. Wie pan: Oriental Commercial Airlines Limited.

Mówią, że do tego, aby latać w OCAL-u, wystarcza świadectwo urodzenia i brak śladów trądu. Ale to przesada. W istocie jest to kłamstwo. Trzeba być dobrym pilotem, aby latać w OCAL-u. Kiedy pracownik wielkich linii lotniczych popełnia błąd, dostaje wymówienie. Gdy popełnia błąd w OCAL-u, wylatuje na bruk. OCAL ma nieograniczone źródła naboru personelu. OCAL nie dba o wykształcenie, kolor skóry, pochodzenie, maniery, narodowość czy prezentację, byle tylko umiało się latać. Musi się umieć latać. Grant spojrzął na Cullena z podwójnym zainteresowaniem.

- Proszę posłuchać, panie Grant. Wiem, że te tam słowa w gazecie... wiem, że one są po prostu jakimś cytatem, który pan chce,

rozpoznać, czy coś w tym rodzaju. I oczywiście ja tego nie mogę zrobić. Nigdy nie byłem mocny w literaturze. Ja się panu do niczego nie przydam. Myślę, że wręcz przeciwnie. Jestem jednak mocno zaniepokojony. Pomyślałem, że nawet taki strzał w ciemno jest wart spróbowania. Widzi pan, takich właśnie słów użył pewnej nocy Bill, gdy był nieco pod gazem - Bill to mój kumpel - i pomyślałem, że to, być może, chodzi o jakieś miejsce. To znaczy, że ten opis to jakieś miejsce. Nawet jeśli to jest cytat. Boję się, że nie wyrażam się jasno...

Grant uśmiechnął się i powiedział, że rzeczywiście, jak dotąd nie bardzo, ale może usiądą razem i wszystko to sobie wyjaśnią.

- Czy mam rozumieć, że przyjechał pan tu mnie szukać?

- Tak. Przyjechałem wczoraj wieczorem. Ale poczta w Moy-more była już zamknięta, więc poszedłem spać do gospody. A dziś rano udałem się na pocztę i zapytałem, gdzie mógłbym znaleźć tego pana A. Granta, który dostał mnóstwo listów. Widzi pan, byłem pewien, że dostał pan masę listów po tym ogłoszeniu. Odpowiedzieli: o tak, jeśli o tego pana Granta mi chodzi, to znajdę go gdzieś nad rzeką. No to przyszedłem popatrzeć, a ponieważ nad rzeką jest tu jeszcze tylko jakaś dama, domyśliłem się, że to musi być pan. Widzi pan, nie było sensu pisać, bo naprawdę nie mam nic takiego, co byłoby warte przelania na papier. To znaczy, kieruje mną coś w rodzaju głupiej nadziei. A w każdym razie naraziłbym pana na kłopot odpowiadania na list, nawet gdyby on pana zupełnie nie dotyczył - w tym rzecz. - Zamilkł na moment, po czym dodał tonem, w którym na poły brzmiała nadzieja, na poły beztroška: - To nie jest nocny lokal, prawda?

- Co nie jest? - zapytał zdumiony Grant.

- Tamto miejsce z gadającymi zwierzętami przy wejściu. I ta

dziwna sceneria. Coś jak lunapark. Wie pan, takie miejsce, gdzie płynie się łodzią w ciemności przez tunele i nieoczekiwanie widzi się śmieszne i przerażające rzeczy. Ale Bill nie interesował się czymś takim. Więc pomyślałem o nocnym lokalu. Wie pan, jednym z tych, które są pełne udziwnień mających zrobić na gościach wrażenie. To by bardziej pasowało do Billa. Zwłaszcza w Paryżu. Bo to właśnie w Paryżu miałem się z nim spotkać.

Po raz pierwszy pojawił się promyk światła.

- Chce pan powiedzieć, że był pan umówiony z tym Billem? I on nie przybył na spotkanie?

- W ogóle się nie pokazał. I to jest bardzo niepodobne do Billa. Jak Bill powie, że coś zrobi albo że gdzieś będzie, albo że będzie o czymś pamiętał, to proszę mi wierzyć, że tego dotrzyma. Dlatego jestem taki niespokojny. I nawet słowa wyjaśnienia. Żadnej wiadomości w hotelu ani nic. Oczywiście, wiadomość mogli zgubić, jak to w hotelach bywa. Ale nawet gdyby zagubili, coś by się wydarzyło. To znaczy, gdybym się nie odezwał, Bill znów zatelefonowałby i powiedział; „Gdzie ty się podziewasz, ty taki-owaki, nie dostałeś ode mnie wiadomości?” Ale nic takiego się nie zdarzyło. Dziwne, prawda, że zarezerwował pokój i potem nie zjawił się ani nie przysłał słowa wyjaśnienia?

- Rzeczywiście bardzo dziwne. Zwłaszcza, jeśli pan mówi, że przyjaciel jest solidny. Ale dlaczego zainteresował się pan moim ogłoszeniem? To znaczy; jaki ma to związek z Billem? Billem... Jak on się nazywa, nawiasem mówiąc?

- Bill Kenrick. Jest pilotem jak ja. W OCAL-u. Przyjaźnimy się już rok czy dwa. Powiem wprost; najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. Wie pan, to było tak: kiedy on się nie pojawił i nie wyglądało na to, aby ktokolwiek coś o nim wiedział lub z nim rozmawiał - a on nie miał w Anglii nikogo, do kogo mógłbym

napisać - pomyślałem sobie o innych sposobach porozumiewania się. Innych niż telefony, listy i telegramy czy coś takiego. I pomyślałem o drobnych ogłoszeniach. Wie pan, w gazetach. Wzięłem więc paryskie wydanie *Clarionu*, cały rocznik, i przejrzałem go, ale tam nic nie znalazłem. No to spróbowałem z *Timesem* i tam też nic nie było. To już było oczywiście po jakimś czasie, więc musiałem cofnąć się do starszych numerów, ale nic z tego. Miałem zamiar zrezygnować, bo myślałem, że to już wszystkie angielskie gazety, które mają stałe wydanie paryskie. Ktoś mi jednak powiedział, żeby spróbować w *Morning News*. No więc poszedłem, ale nic tam nie wyglądało na wiadomość od Billa. Znalazłem jednak to pana ogłoszenie, które obudziło moje skojarzenia. Gdyby Bill nie był zniknął, nie przypuszczam, żebym się nad tym w ogóle zastanawiał. Ponieważ jednak Bill kiedyś wygadał się z czymś w rodzaju tego wiersza, zauważyłem go i zainteresowałem się nim. Chwyta pan? - jak mówi Bill.

- Całkowicie. Niech pan mówi dalej. Kiedy i w jakich okolicznościach Bill mówił o tym dziwnym krajobrazie?

- W ogóle o nim nie mówił. Po prostu coś bredził pewnej nocy, gdy byliśmy trochę pijani. Bill nie pije, panie Grant. Chciałbym, aby pan to właściwie zrozumiał. To znaczy: nie ma zwyczaju pić. Niektórzy chłopcy u nas piją - to przyznaję - ale tacy nie utrzymują się długo w OCAL-u. Oni w ogóle długo nie ciągną. Dlatego OCAL się ich pozbywa. Nie chodzi o to, że się ludzie zabijają, tylko że rosną koszty. Co jakiś czas mamy wolny wieczór, tak jak inni ludzie. I to właśnie w jeden z tych wolnych wieczorów Bill się rozkręcił. Wszyscy byliśmy trochę wstawieni, więc nie pamiętam żadnych szczegółów. Wiem, że już traciliśmy wątek. I wymyśliliśmy po kolei jakieś niecodzienne toasty. Wie pan, coś jak: „za trzecią córkę burmistrza Bagdadu” albo „za mały paluszek lewej nogi June Kaye”.

A Bill powiedział: „za raj!” i potem wymamrotał ten kawałek o mówiących zwierzętach, śpiewających piaskach i czymś tam jeszcze.

- Czy nikt nie zapytał o ten jego raj?

- Nie! Następny tylko czekał, by dojść do słowa. Nikt na nic nie zwracał uwagi. Oni po prostu uważali, że toast Billa jest okropnie nudny. Ja sam bym go sobie nie przypomniał, gdyby nie to, że myśląc o Billu natknąłem się na te słowa w gazecie.

- I on już nigdy o tym nie wspomniał? Nigdy o niczym takim nie mówił na trzeźwo?

- Nie. Bill nigdy nie był gawędziarzem.

- A jak pan myśli? Gdyby go coś bardzo interesowało, to zatrzymałby to dla siebie?

- O, tak, on się tak zachowuje, tak jest. Nie jest skryty, wie pan, tylko troszkę zamknięty w sobie. Na swój sposób jest najbardziej otwartym facetem, jakiego można sobie wyobrazić. Ma hojną rękę i nie dba o siebie. Lecz w pewnych sprawach... w sprawach osobistych, jeśli wie pan, co mam na myśli, on się po prostu zamyka.

- Czy miał dziewczynę?

- Tak jak każdy. Ale coś w tym jest. Wszyscy, gdy mamy wolne, to podrywamy jak leci. Tylko Bill potrafi się wybrać sam do innej dzielnicy miasta i znaleźć coś bardziej w swoim guście.

- Jakiego miasta?

- Obojętne jakiego, zależy gdzie akurat trafimy. Kuwejt, Maska, Qatif, Mukalla. Gdziekolwiek pomiędzy Adenem a Karaczi, jeśli o to chodzi. Przeważnie latamy na stałych liniach, lecz niektórzy na trampowych.

- Gdzie latał... lata Bill?

- Wszędzie. Ale ostatnio pomiędzy Zatoką Perską a Wybrzeżem Południowym.

- To znaczy nad Arabią.
- Tak. To jest cholernie nudna trasa, ale Bill ją lubił. Co do mnie, to uważam, że był na niej za długo. Jak się jest za długo na jednej trasie, to człowieka ogarnia znużenie.
- Dlaczego uważa pan, że był na niej za długo? Czy się jakoś zmienił?

Cullen zawahał się.

- Nie całkiem. Był po prostu tym samym starym Billem, bezpośrednim i miłym. Ale zrobił się taki, że nie potrafił się od tego oderwać.

- Ma pan na myśli: oderwać się od pracy?
- Tak. Większość z nas... właściwie my wszyscy zapominamy o robocie, gdy oddajemy pudło obsłudze naziemnej. I nie pamiętamy o niej, dopóki nie powiemy „serwus” dyżurnemu mechanikowi następnego dnia rano. Lecz z Billem coś takiego się zrobiło, że ślęczał nad mapami trasy, jakby nigdy tamtędy nie latał.

- Skąd to zainteresowanie trasą, jak pan myśli?

- Myślałem, że on szuka sposobu omijania rejonów złej pogody. To zainteresowanie mapami zaczęło się pewnego razu... Wrócił wtedy bardzo późno, bo zniósł go z trasy jeden z tych potwornych huraganów, które w tej krainie przychodzą nie wiadomo skąd. Wówczas już prawie położyliśmy na nim krzyżyk.

- Czy nie lata się ponad burzami?
- Na długiej trasie oczywiście tak. Ale gdy leci się z frachtem, trzeba schodzić w dół w najdziwniejszych miejscach. A więc zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, jest się na łasce pogody.

- Rozumiem. I pan myśli, że Bill zmienił się po tamtym zdarzeniu?

- No, myślę, że zostawiło to na nim jakiś ślad. Byłem tam, kiedy przybył. To znaczy wylądował. Czekałem na niego na płycie. Wydał mi się trochę wstrząśnięty, o ile pan to chwytą.

- Doznał szoku.
- Tak. Ciągłe tam był, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli. Nie słuchał, co się do niego mówi.
- I to wtedy właśnie zaczął studiować mapy. Aby planować trasę...
- Tak. Począwszy od tego momentu nosił to w sobie, zamiast zapomnieć o tym zaraz po zrzuconiu kombinezonu. Nawet nabrał zwyczaju spóźniania się. Tak jakby zbaczał z drogi, by szukać łatwiejszej trasy. - Cullen zrobił pauzę i potem dodał pośpiesznie, zaniepokojonym tonem: - Proszę zrozumieć, panie Grant, ja nie mówię, że Bill stracił opanowanie.
- Nie, oczywiście że nie.
- Jak się straci opanowanie, to nie wygląda to w ten sposób, proszę mi wierzyć. Wtedy człowiek w ogóle nie chce myśleć o lataniu. Staje się niecierpliwy, pije za dużo i o zbyt wczesnej porze. Próbuje wydłubać krótkie trasy. Czuje się chory, chociaż nic mu nie jest. My wiemy, jak to wygląda, gdy się traci opanowanie, panie Grant. Taki przypadek rozpoznaje się natychmiast, jak firmową nazwę na sklepowej zastłonie. Nic takiego z Billem się nie działo... i nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek mogło się dziać. Tyle tylko, że nie potrafił się od tego oderwać.
- Stało się to jego obsesją.
- Coś w tym rodzaju, jak przypuszczam.
- Czy miał jakieś inne zainteresowania?
- Czytał książki - powiedział Cullen ze skruchą, jak ktoś, kto zdradza dziwactwo przyjaciela. - Nawet tutaj to się ujawniało.
- Jak to ujawniało? ,
- Zamiast zwykłych książek z opowiadkami, miał chyba tylko książki o Arabii.
- Tak? - powiedział Grant w zadumie. Od chwili gdy nieznamy po raz pierwszy wspomniał Arabię, Grant z całą uwagą wszystko „chwytal”. Arabia znaczyła dla całego świata jedno: piasek.

I co więcej, uświadomił sobie, że kiedy tamtego ranka w hotelu w Scoone miał uczucie, że śpiewające piaski w istocie gdzieś istnieją, powinien je być sobie skojarzyć właśnie z Arabią. Gdzieś w Arabii były piaski, które być może śpiewały.

- Byłem więc zadowolony, gdy Bill wziął wolne dni wcześniej niż zamierzał - mówił Tad Cullen. - Planowaliśmy pojechać razem na urlop do Paryża. Ale on się rozmyślił i powiedział, że chciałby wpierv na tydzień lub dwa skoczyć do Londynu. Bo on jest Anglikiem, wie pan. Więc umówiliśmy się na spotkanie w hotelu „St. Jacques” w Paryżu. Miał tam się ze mną spotkać czwartego marca.

- Kiedy?- zapytał Grant i momentalnie zamilkł. Znieruchomiał jak myśliwy mający ptaka w polu widzenia, jak ktoś, kto ujrzał cel.

- Czwartego marca. A o co chodzi?

Śpiewające piaski mogły interesować każdego. Takich, co latają w OCAL-u, jest na pęczki. Lecz rozwlekła, mglista historia Bilia Kenricka, który obsesyjnie interesował się południową Arabią i nie stawiał się na spotkanie w Paryżu, zawężyła się nagle do jednego punktu: daty!

Właśnie 4 marca, gdy Bill Kenrick powinien był pokazać się w Paryżu, londyński ekspres przybył do Scoone wioząc martwe ciało młodego mężczyzny, który interesował się śpiewającymi piaskami. Młodego mężczyzny o zuchwałych brwiach. Młodego mężczyzny, który z wyglądu sądząc mógł być lotnikiem. Grant pamiętał, że próbował go sobie wyobrazić na mostku statku, gdzieś na bezkresnym morzu. Pasował do tego doskonale. Ale równie dobrze wyglądałby przy sterach samolotu.

- Dlaczego Bill wybrał Paryż?
- A dlaczego się wybiera Paryż?
- Czy nie dlatego, że Bill jest Francuzem?

- Bill? Nie, Bill jest Anglikiem. Stuprocentowym Anglikiem.
- Czy widział pan kiedy jego paszport?
- Być może, ale nie przypominam sobie. A o co chodzi?
- Nie myśli pan, że mógł być Francuzem z pochodzenia?

To i tak by nie pasowało. Ten Francuz nazywał się Martin. Chyba że tak uległ wpływowi angielskiego wychowania, że zapragnął przyjąć także angielskie nazwisko?

- Nie ma pan czasem fotografii przyjaciela?

Ale uwaga Cullena zwrócona była na coś innego. Grant obejrzał się i spostrzegł, że brzegiem rzeki idzie w ich kierunku Zoe. Spojrzał na zegarek.

- Do diabła - powiedział - a ja przyrzekłem, że będę miał rozpaloną kuchenkę.

Otworzył torbę i wyszarpnął z niej prymus.

- Pańska żona? - zagadnął Cullen z odświeżającą szczerością. Na wyspach dopiero po pięciu minutach rozmowy wydostano by od niego tę informację.

- Nie, to Lady Kentallen.

- Lady? To tytuł?

- Tak - odrzekł Grant zajęty kuchenką. - Jest wicehrabiną Kentallen.

Cullen przez chwilę rozważał coś w milczeniu.

- Pomyślałem sobie, że to jakaś podupadła hrabina.

- Nie, wprost przeciwnie. Właściwie to jest markiza. Niech pan posłucha, panie Cullen, odłóżmy na chwilę sprawę pana przyjaciela. Jest to temat, który interesuje mnie bardziej, niż mogę to wyrazić, ale...

- Tak, oczywiście, już idę. Kiedy będę mógł z panem znów o tym porozmawiać?

- Oczywiście nigdzie pan nie pójdzie. Zostanie pan i zje coś z nami.

- Mam poznać tę markizę, tę, jak-jej-tam wicehrabinę?
 - Czemu nie? To bardzo miła osoba. Jedna z najmilszych, jakie znam.
 - Tak? - Cullen spojrział z zainteresowaniem na zbliżającą się Zoe. - W każdym razie przyjemnie na nią popatrzeć. Nie wiedziałem, że one są takie. Wyobrażałem sobie, że wszyscy arystokraci mają haczykowate nosy.
 - Przystosowane specjalnie do zarozumiiałego spoglądania z góry, jak sądzę.
 - Coś w tym rodzaju.
 - Nie wiem, jak daleko trzeba by się cofnąć w głąb historii Anglii, aby znaleźć zarozumiąły arystokratyczny nos. Wątpię, czy w ogóle by się taki znalazł. Może jeszcze na przedmieściach, w kręgach zwanych drobnomieszczkańskimi.
- Cullen wyglądał na zdezorientowanego.
- Ale arystokraci trzymają ze sobą i z góry patrzą na innych, czy nie tak?
 - W Anglii nigdy żadna klasa nie była w stanie trzymać ze sobą, jak pan to nazywa. Klasy krzyżowały się między sobą na wszystkich poziomach przez dwa tysiące lat. Chyba nigdy nie było klasy arystokratów w tym sensie, jaki ma pan na myśli.
 - Przypuszczam, że to obecnie podziały klasowe zacierają się - zasugerował Cullen z lekkim niedowierzaniem.
 - Ależ nie. One zawsze były niewyraźne. Weźmy choćby rodzinę królewską. Elżbieta I była prawniczką burmistrza. I przekonałby się pan, że bliscy przyjaciele rodziny królewskiej nie mają w ogóle tytułów - mam na myśli ludzi, którzy bywają w Pałacu Buckingham. Może się natomiast okazać, że jakiś łysy ponury baron, który usiadł koło pana w wykwintnej restauracji, zaczynał jako mechanik na kolei. Nikt w Anglii z nikim specjalnie nie trzyma,

jeżeli chodzi o klasy. To jest niemożliwe. To jest możliwe tylko dla pani Jones, która zadziera nosa wobec swojej sąsiadki, pani Smith, bo pan Jones zarabia tygodniowo dwa funty więcej niż pan Smith.

Odwrócił się od skołowanego Amerykanina, aby pozdrowić Zoe.

- Strasznie przepraszam. Rozpałem kuchenkę za późno i nie jestem jeszcze gotowy. Prowadziliśmy bardzo ciekawą rozmowę. To jest pan Cullen, który lata z frachtem w OCAL-u.

Zoe podała mu rękę i zapytała, na jakiego typu samolotach. Z tonu głosu, jakim Cullen jej odpowiadał, Grant wywnioskował, że Cullen podejrzewa Zoe jedynie o łaskawe zainteresowanie. Łaskawość - oto czego mógł się spodziewać po „arystokratce”.

- Ciężko je prowadzić, prawda? - zauważyła Zoe ze zrozumieniem. - Mój brat zwykle latał na takich, gdy pracował w linii australijskiej. I ciągle klął z ich powodu.

Zaczęła rozpakowywać prowianty.

- Ale teraz, od kiedy pracuje w biurze w Sydney, ma swój własny mały samolot - „Beamish Osiem”. Coś wspaniałego. Latałam na nim, gdy go kupił - zanim jeszcze zabrał go do Australii. Mój mąż i ja marzyliśmy również o takim, ale nigdy nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

- Ależ „Beamish Osiem” kosztuje tylko cztery setki - wyrwał się Cullen.

Zoe oblizała palce, lepkie od rozgniecionego placka z jabłkiem, i powiedziała:

- Tak, wiem, ale nigdy nie mieliśmy zbędnych czterech setek.

Cullen, czując się jak wyrzucony za burtę, szukał jakiegoś gruntu pod nogami.

- Nie powinienem tak państwa objadać - rzekł. - Nakarmię

mnie w hotelu, kiedy tam wrócę. Naprawdę powinienem wracać.

- Ach, niech pan nie idzie - powiedziała Zoe z prostotą tak naturalną, że sforsowała siły obronne Cullena. - Starczy dla całego plutonu.

Tak więc, ku radości Granta z więcej niż jednego powodu, Cullen został. A Zoe, nieświadoma, że dostarcza Stanom Zjednoczonym nowego poglądu na arystokrację angielską jako gatunek, jadła jak głodny uczeń i swoim łagodnym głosem rozmawiała z nieznanym tak, jakby go znała całe swoje życie. Na etapie placka z jabłkiem Cullen przestał się pilnować. W chwili gdy dzielili się czekoladą Laury, poddał się całkowicie.

Siedzieli razem w wiosennym słońcu, syci i zadowoleni. Zoe opierała się plecami o trawiasty brzeg. Wystawiała twarz na słońce; Grant myślał o B-Siedem i analizował informacje, których mu dostarczył Tad Cullen. Cullen zaś usiadł na skale i spoglądał w dół rzeki, w stronę zielonej, zamieszkałej doliny, gdzie kończyły się wrzosowiska, a zaczynały pola.

- Jaki to przyjemny kraj - powiedział. - Podoba mi się. Jeżeli kiedykolwiek zdecydujecie się walczyć o wyzwolenie, to weźcie mnie pod uwagę.

- O wyzwolenie? - powiedziała Zoe, otwierając szeroko oczy. - Wyzwolenie od kogo czy od czego?

- Od Anglii oczywiście.

Zoe miała bezradną minę, lecz Grant zaczął się śmiać.

- Pewnie miał pan okazję rozmawiać z małym czarnym człowiekiem w szkockim kilcie.

- Owszem, był w kilcie, ale to nie był kolorowy - odrzekł Cullen.

- Nie, miałem na myśli: czarnowłosey. Pan rozmawiał z Archie Brownem.

- Kto to jest Archie Brown? - zapytała Zoe.

- To samozwańczy zbawiciel Celtów i nasz przyszły Monarcha, Komisarz, Prezydent czy kim tam będzie, gdy Szkocja wyzwoli się spod morderczego jarzma angielskiej niewoli.

- Ach, tak. To ten - powiedziała Zoe łagodnie, identyfikując w myślach Archiego. - Chyba jest trochę stuknięty, prawda? Czy on tu gdzieś mieszka?

- Zatrzymał się w hotelu w Moymore, jak sądzę. I chyba próbował nawracać pana Cullena.

- Otóż właśnie! - Cullen uśmiechnął się nieco zbity z tropu. - Zastanawiałem się, czy on trochę nie przesadza. Znałem paru Szkotów i nie wydaje mi się, żeby mogli znosić traktowanie opisywane przez pana Browna. Pan wybaczy, panie Grant, moim zdaniem oni zawsze wyglądali na takich, którzy potrafią wygrać dla siebie to, co najlepsze.

- Czy słyszałaś kiedy lepszą definicję Unii? - zwrócił się Grant do Zoe.,

- Nigdy nic nie wiedziałam o Unii - powiedziała Zoe bez skrępowania - poza tym, że zawarto ją w 1707 roku.

- Była wtedy bitwa? - zapytał Cullen.

- Nie - powiedział Grant. - Szkocja z wdzięcznością przystąpiła do Unii z Anglią i przypadły jej w udziale wszystkie stąd płynące korzyści. Kolonie, Szekspir, mydło, wypłacalność i tak dalej.

- Mam nadzieję, że pan Brown nie jeździ z odczytami po Stanach - powiedziała Zoe sennie.

Mniejszości jeżdżą z odczytami po Stanach.

- To im da niewłaściwe pojęcie, nieprawdaż? - powiedziała Zoe łagodnie. Grant pomyślał o tym, jak zawile wyraziłaby tę sarnę myśl Laura. - Oni mają przedziwne poglądy. Gdy byliśmy tam z Dawidem, na rok przed tym, jak zginął, ciągle nas pytano, dlaczego nie przestaliśmy pobierać podatków od Kanady. Kiedy powiedzieliśmy, że nigdy

nie pobieraliśmy podatków od Kanady, patrzyli na nas tak, jakbyśmy kłamali. I to głupio kłamali.

Z wyrazu twarzy Cullena Grant wywnioskował, że ten też ma „przedziwne poglądy” na temat opodatkowania Kanady, ale oczy Zoe były zamknięte. Grant był ciekaw, czy Cullen zdaje sobie sprawę z tego, że Zoe jest całkowicie nieświadoma jego amerykańskiego pochodzenia; że nie przyszło jej do głowy zastanawiać się nad jego akcentem, narodowością ani cechami osobistymi. Był po prostu lotnikiem jak jej brat. Był kimś, kto akurat zjawił się, by uczestniczyć w ich pikniku; kimś, kto jest miły i interesujący w rozmowie. Nie usiłowała go zakwalifikować do jakiejś określonej kategorii. Jeżeli dotarłyby do jej świadomości wszystkie jego ścięzione „a”, z pewnością wzięłaby go za wieśniaka z północy.

Spojrzał na nią, wpółspięcą na słońcu, i zdumiał się, jak jest piękna. Spojrzał w drugą stronę, na Cullena, i zauważył, że tamten też patrzy na Zoe Kentallen i myśli o tym, jak jest piękna. Ich spojrzenia spotkały się i uciekły od siebie.

Lecz Grant, który ostatniej nocy nie mógł sobie wyobrazić większego szczęścia niż możliwość patrzenia na Zoe Kentallen, uzmysłowił sobie jakieś zniecierpliwienie z nią związane i tak to nim wstrząsnęło, że w swój autoanalizujący sposób zaczął to zjawisko badać. Jakaż skaza mogła się pojawić w tym bóstwie? Jakaż niedoskonałość w tej księżniczce z bajki?

- Doskonale wiesz, co się stało - powiedział w nim ten pozbawiony szacunku głos. - Chcesz, żeby do diabła się stąd wyniosła, abyś mógł rozwiązywać sprawę B-Siedem.

Tym razem nie próbował nawet zaprzeczyć głosowi. Był to brutalny fakt. Chciał, aby Zoe „do diabła się stąd wyniosła”. Ta Zoe, której obecność stworzyła magię wczorajszego popołudnia, była teraz przeszkodą. Uroczą, prostolinijną, boską Zoe, rusz się. Przedmocie moich zachwyków i księżniczko mych snów, odejdz.

W myślach szukał już słów, mających poprzedzić jego odejście, gdy ona nagle po dziecięcemu na wpół westchnęła, na wpół ziewnęła i powiedziała:

- No, w rozlewisku koło Cuddy jest siedmiofuntowiec, który bardzo musi nudzić się beze mnie.

A potem, jak zwykle bez zamieszania i gadania, wzięła swoje rzeczy i odeszła w wiosenne popołudnie.

Cullen patrzył za nią z aprobatą i Grant czekał na komentarz. Ale, jak się wydawało, Cullen też czekał na odejście swojej „podupadłej hrabini”. Gdy się oddaliła poza granicę słyszalności, natychmiast powiedział:

- Panie Grant, dlaczego pytał pan, czy mam fotografię Billa? Czy to znaczy, że pan może go znać?

- Nie, nie. Ale to pomoże nam wyeliminować tych, którzy nie mogą nim być.

- Ach tak. Więc nie mam fotografii przy sobie, ale mam ją w walizce w hotelu. Nie jest dobra, ale da panu jakieś ogólne pojęcie. Czy mogę ją panu potem przynieść?

- Nie, pójdę teraz z panem do Moymore.

- Naprawdę? To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Grant. Myśli pan, że złapał pan jakiś trop? Nie powiedział mi pan, co to były za słowa. Ten cytat czy jak to nazwać. O to właśnie chciałem pana zapytać. Na przykład ten kawałek z gadającymi zwierzętami? Jeśli to jest miejsce, którym się interesował, to wie pan co? On mógł tam pojechać. Wobec tego mógłbym teraz tam skoczyć i w ten sposób wpaść na jego ślad.

- Pan bardzo lubi tego Billa, prawda?

- No... trzymamy się razem już dosyć długo i chociaż różnimy się w większości spraw, rozumiemy się świetnie. Po prostu świetnie. Nie chciałbym, aby Billowi coś się stało.

Grant zmienił temat i sprowokował Cullena do opowiedzenia

własnych dziejów. Kiedy szli wzdłuż doliny do Moymore, wysłuchał historii o czystym małym miasteczku daleko w Stanach i o tym, jak nudnym miejscem wydawało się ono dla chłopca, który mógł latać, i jak wspaniały wydawał się Wschód z daleka, a jak mało ekscytujący z bliska.

- Po prostu główna ulica, a poza tym rudery - powiedział Cul-len.

- Co pan robił w Paryżu w czasie tego długiego oczekiwania na Billa?

- Ach, nic. Wałęsałem się trochę. To wcale nie było zabawne bez Billa. Spotkałem dwóch kumpli, których znałem z Indii, i łączyliśmy się razem, ale wciąż wypatrywałem Billa. Wkrótce zostawiłem ich i zacząłem zwiedzać te miejsca z folderów turystycznych. Niektóre z tych starych budowli są całkiem ładne. Jeden taki zamek był zbudowany wprost nad wodą na kamiennych łukach, tak że pod spodem płynęła rzeka. To było świetne. W sam raz dla hrabiny. Czy ona w czymś takim mieszka?

- Nie - powiedział Grant myśląc o różnicy pomiędzy Chenonceaux i Kentallen. - Ona mieszka w ponurym, najzwyczajszym domu z małymi oknami. Pokoje są nędzne, schody wąskie, a frontowe drzwi równie zachęcające jak wylot zsypu na brudną bieliznę. Ten dom ma też dwie małe wieżyczki na poziomie trzeciego piętra, i w Szkocji to czyni z niego zamek.

- Wygląda to na więzienie! Dlaczego ona tam mieszka?

- Więzienie! Żaden zarząd więzienia nie chciałby tego domu. W parlamencie natychmiast zgłoszono by interpelację z powodu braku światła, ogrzewania, instalacji sanitarnych, właściwej kolorystyki, estetyki, przestrzeni i tak dalej. Ona tam mieszka, bo ona to miejsce kocha. Jednakże wątpię, czy będzie mogła mieszkać tam dłużej. Podatek spadkowy jest tak duży, że będzie musiała sprzedać dom.

- Ale czy ktoś to kupi?
- Nie po to, by mieszkać. Może go kupić jakiś spekulant. Wytnie drzewa i zdemuje dach. Pewnie jest coś wart. Dach będą musieli zdjąć tak czy inaczej, by uniknąć płacenia podatków za dom.
- Ha, wszystko w rozkurz - zauważył Cullen. - Czy tam nie ma przypadkiem fosy?
- Nie. A dlaczego?
- Muszę zobaczyć fosę, zanim wrócę do OCAL-u. - Po chwili przerwy dodał: - Ja naprawdę bardzo niepokoję się o Billa, panie Grant.
- Tak, rozumiem pana.
- To było bardzo miłe z pana strony - powiedział nieoczekiwanie Cullen.
- Co mianowicie?
- Że nie powiedział pan: „nie martw się, on się znajdzie cały i zdrowy”. Aż mnie ręce swędzą, gdy ktoś mówi: „nie martw się, on się znajdzie”. Mógłbym takiego zadusić.

Hotel w Moymore był miniaturową wersją Kentallen, ale bez wieżyczek. Był jednak czysty aż do białości i wesoły, a na drzewach, które rosły za nim, pokazywały się liście. W małym, wyłożonym kamieniami hallu wejściowym Cullen zawahał się.

- Zauważyłem, że w Wielkiej Brytanii ludzie nie zapraszają gości na górę, do swoich pokoi. Może zechciałby pan poczekać w salonie?
- Ach nie. Pójdę na górę. Ten zwyczaj bierze się po prostu stąd, że salony w naszych hotelach są tak blisko pokoi, że nie ma potrzeby chodzić na górę.

Cullen miał pokój od frontu, z widokiem na pola, rzekę i wzgórza za nimi. Z zawodową bystrością Grant zauważył ułożone w gotowości na kominku polana oraz żonkile w oknie. Tak, Moymore miało ten standard. Ale poza tym umysł Granta całkowicie był zaprzątnięty

Cullenem. Chłopak przerwał swój urlop i przybył w ostępy Kaledonii, by odszukać przyjaciela, który tyle dla niego znaczył. Złe przeżycie, z którego Grant nie mógł się otrząsnąć, rosło w nim z każdym krokiem w drodze do Moymore i teraz wypełniało go aż do obrzydzenia.

Cullen wyciągnął z walizki szkatułkę na listy, postawił ją na toalecie i otworzył. Zawierała wszystko z wyjątkiem tego, co potrzebne jest do pisania listów. Wśród sterty papierów, map i folderów biur podróży znajdowały się dwa skórzane przedmioty: notatnik z adresami i portfel. Z tego portfela wyjął fotografie i zaczął przerzucać uśmiechnięte podobizny kobiet, dopóki nie znalazł tego, czego szukał.

- O, proszę. Obawiam się, że nie jest dobre. Wie pan, to po prostu amatorskie zdjęcie. Zrobione, kiedy byliśmy całym tłumem na plaży.

Grant wziął fotografię prawie z niechęcią.

- To jest... - zaczął Tad Cullen wskazując ręką.

- Nie, chwileczkę! - powiedział Grant powstrzymując go. - Pozwoli pan, może kogoś rozpoznam.

Przyjrzał się uważnie tuzinowi młodych mężczyzn, sfotografowanych na werandzie jakiegoś plażowego pawilonu. Stali stłoczeni wokół schodów za zdezelowaną drewnianą poręczą w różnych stadiach dezabilu. Grant omiółł szybkim spojrzeniem ich roześmiane twarze i poczuł wielką ulgę. Nikogo z nich nigdy...

I wtedy zobaczył mężczyznę na najniższym stopniu.

Siedział z nogami wyciągniętymi na piasku, z zamkniętymi oczami zwróconymi do słońca i z podbródkiem nieco cofniętym, jak gdyby właśnie odwracał się do kolegi, by mu coś powiedzieć. Tak samo wyglądał z głową na poduszce w przedziale B-Siedem rankiem 4 marca.

- Więc?

- Czy to jest pana przyjaciel? - zapytał Grant, wskazując na mężczyznę na najniższym stopniu.

- Tak, to Bill. Skąd pan wie? Spotkał więc go pan gdzieś?

- Hm... Ja... Wydaje mi się, że tak. Ale oczywiście na podstawie tej fotografii nie mógłbym przysiąc.

- Nie chcę od pana żadnych przysiąg. Niech mi pan powie z grubsza, kiedy i gdzie pan go widział, a ja go już wytropię, może pan być o to spokojny. Czy pan pamięta, gdzie go pan spotkał?

- O, tak. Pamiętam. Widziałem go w przedziale sypialnym londyńskiego ekspresu, który wjeżdżał na stację w Scoone wczesnym rankiem czwartego marca. To był pociąg, którym przybyłem tu na północ.

- Chce pan powiedzieć, że Bill tu przyjechał? Do Szkocji? Po co?

- Nie wiem.

- Nie powiedział panu? Czy nie rozmawiał pan z nim?

- Nie, nie mogłem.

- Dlaczego?

Grant wyciągnął ręce i lekko pchnął Cullena do tyłu, tak że ten usiadł na krześle, które znajdowało się za nim.

- Nie mogłem, bo on już nie żył.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jest mi naprawdę przykro, panie Cullen. Chciałbym przed panem udawać, że to może nie był Bill, ale wyłączając zeznawanie pod przysięgą, gotów jestem twierdzić, że to był on.

Po dłuższej chwili milczenia Cullen zapytał:

- Dlaczego umarł? Co mu się stało?

- Przedtem wypił sporą porcję whisky i upadł do tyłu na masywną porcelanową umywalkę. Roztrzaskał sobie o nią czaszkę.

- Kto to wszystko stwierdził?

- Takie było orzeczenie koronera. W Londynie.
- W Londynie? Dlaczego w Londynie?
- Zgodnie z wynikiem sekcji zwłok zmarł on wkrótce po opuszczeniu stacji Euston. A prawo angielskie wymaga, aby nagła śmierć była zbadana przez koronera i sąd.
 - Ależ to wszystko to... po prostu przypuszczenia - powiedział ze złością Cullen, wracając do równowagi. - Jeżeli był sam, to w jaki sposób ktoś może powiedzieć, co mu się przydarzyło?
 - Bo angielska policja to osobnicy zarówno najbardziej staranni, jak i najbardziej podejrzliwi.
 - Policja? Była w to zamieszana policja?
 - No oczywiście. Policja przeprowadza dochodzenie i przedstawia je publicznie koronerowi w sądzie. W tym wypadku dochodzenie było szczególnie drobiazgowe. W końcu wiedziano z dokładnością prawie do jednego łyku, ile wypił czystej whisky i na ile godzin przed... śmiercią.
 - A ten upadek do tyłu... Skąd mogli to wiedzieć?
 - Z badań mikroskopowych. Na brzegu umywalki pozostały ślady tłuszczu i resztki włosów. Rodzaj rany w czasie również na to wskazywał.
- Cullen ucichł, lecz wyglądał na zdezorientowanego.
- Skąd pan to wszystko wie? - zapytał niepewnie, a później z rosnącą podejrzliwością: - A w każdym razie, dlaczego pan był u niego?
 - Gdy wychodziłem z wagonu, natknąłem się na konduktora, który usiłował go obudzić. Myślał, że pasażer po prostu śpi po libacji, bo butelka po whisky poniewierała się na podłodze, a przedział cuchnął tak, jakby pasażer zabawiał się do rana.
- To nie zadowolilo Cullena.
- To znaczy, że widział go pan przez krótką chwilę ten jeden jedyny raz? Widział go pan leżącego... martwego... I może go pan

rozpoznać parę tygodni później na tym przypadkowym nie najlepszym zdjęciu?

- Tak. Byłem pod wrażeniem jego twarzy. Twarze to mój zawód, w pewnym sensie i moje hobby. Zainteresował mnie fakt, że ukośna linia brwi nadaje twarzy wyraz zuchwałości, nawet... nawet w takim nienaturalnym stanie. Potem to zainteresowanie spotęgowało się w sposób zupełnie przypadkowy.

- To znaczy? - Cullen nadal nie ustępował.

- Kiedy jadłem śniadanie w „Hotelu Dworcowym” w Scoone, zobaczyłem gazetę... Była to gazeta, którą przypadkiem podniosłem z podłogi przedziału, kiedy konduktor próbował obudzić pasażera. I oto na jej marginesie przeczytałem parę wersów, które ktoś napisał: „Tam piaski śpiewają i chodzą kamienie, zwierzęta gadają i stoją strumienie...” Potem dwie puste linijki i: „czyhając na śmiałka wzdłuż drogi do raju”.

- To, co było w pana ogłoszeniu - powiedział Cullen i jego twarz gwałtownie pociemniała. - Jakie to miało dla pana znaczenie? Dlaczego zadał pan sobie trud, dając ogłoszenie?

- Chciałem wiedzieć, skąd pochodzą te strofy, o ile były cytowane. A jeżeli to miał być początek jakiegoś wiersza, chciałem wiedzieć, o czym mówią.

- Dlaczego? Co to mogło pana obchodzić?

- To było silniejsze ode mnie. Te słowa wciąż tkwiły mi w głowie. Czy zna pan kogoś, kto się nazywa Charles Martin?

- Nie, nie znam. I proszę nie zmieniać tematu.

- Niech pan sobie wyobrazi, że wcale nie zmieniam. Proszę zrobić mi tę uprzejmość i pomyśleć przez chwilę... Czy nie słyszał pan lub nie znał kiedykolwiek Charlesa Martina?

- Powiedziałem już panu, że nie! Nie muszę myśleć. I oczywiście pan zmienia temat! Co ma z tym wspólnego Charles Martin?

- Zgodnie z wersją policji zmarły mężczyzna z przedziału B-Siedem był Francuzem, mechanikiem. Nazywał się Charles Martin.

Po chwili Cullen powiedział:

- Niech pan posłucha, panie Grant. Być może nic jestem dość bystry, ale to wszystko nie ma sensu. Wpierw pan mówi, że widział pan Billa Kenricka martwego, leżącego w przedziale. Ale oto teraz okazuje się, że to nie był Bill Kenrick, tylko facet o nazwisku Martin.

- Nie, to policja twierdzi, że zmarły nazywał się Martin.

- Więc przypuszczam, że oni mają podstawy, by tak twierdzić.

- Doskonale podstawy. On miał przy sobie listy i dowody tożsamości. Nawet więcej, rodzina go zidentyfikowała.

- Coś takiego! Więc dlaczego pan mnie nabija w butelkę? Nic nie świadczy o tym, że to był Bill! Jeżeli policja jest usatysfakcjonowana tym, że to był Francuz o nazwisku Martin, to dlaczego, do pioruna, ma pan decydować, że to nie był Martin, tylko Bill Kenrick!

- Bo jestem jedyną osobą na świecie, która widziała zarówno mężczyznę w B-Siedem, jak i to zdjęcie - Grant wskazał ruchem głowy fotografię leżącą na toalecie.

Cullen zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział:

- Ale to jest słaba fotografia. Ktoś, kto nie widział Billa, może się mylić.

- To może być słaba fotografia w tym sensie, że jest miernym zdjęciem amatorskim, ale podobieństwo jest jednak bardzo duże.

- Tak - powiedział powoli Cullen. - Owszem.

- Proszę rozważyć trzy rzeczy. Trzy fakty. Pierwszy: rodzina Charlesa Martina nie widziała go od lat, a potem pokazano im tylko martwą twarz na zdjęciu. Jak się komuś powie, że umarł jego syn,

i nikt nie poda w wątpliwość jego tożsamości, to ten ktoś zobaczy na zdjęciu twarz, której się spodziewał. Drugi fakt: mężczyzna zidentyfikowany jako Charles Martin zostaje znaleziony martwy w pociągu tego samego dnia, w którym Bill Kenrick miał się z panem spotkać w Paryżu. Trzeci: w jego przedziale znajdował się ten wiersz o gadających zwierzętach i śpiewających piaskach, czyli wiersz na temat, który, jak sam pan twierdzi, interesował Billa Kenricka.

- Czy powiedział pan policji o tej gazecie?
 - Próbowałem. Nie interesowało ich to. Wie pan, nie było żadnych niejasności. Wiedzieli, kto był tym mężczyzną i jak umarł, i nic poza tym ich nie obchodziło.
 - Mogłoby ich zainteresować, że pisał wiersz po angielsku.
 - O, nie. Nie ma dowodu na to, że cokolwiek pisał czy że gazeta w ogóle do niego należała. Mógł ją skądś wziąć.
 - To wszystko jest obłądne - rzekł Cullen zły i zdezorientowany.
 - To jest niesamowite. Lecz w samym centrum tego wirującego absurdu znajduje się jeden stały punkt.
 - Czyżby?
 - Tak. Jest taki jeden stały punkt, w którym można stanąć i rozpoznać się w sytuacji.
 - To znaczy?
 - Pana przyjaciel Bill Kenrick zniknął. A z tłumu obcych twarzy wybrałem właśnie Billa Kenricka. Wybrałem kogoś, kogo wiedziałem martwego w przedziale sypialnym w Scoone rano 4 marca.
- Cullen przemysłał to.
- Tak - powiedział posępnie. - To nie jest bez sensu. Przypuszczam, że to musiał być Bill. Mam wrażenie, że wiedziałem cały czas, że coś... coś strasznego się stało. On nigdy nie opuściłby mnie bez

słowa. Napisałby czy zatelefonowałby, czy cokolwiek, aby powiedzieć, dlaczego nie zjawił się w umówionym miejscu. Ale co on robił w pociągu do Szkocji? I w ogóle co robił w pociągu?

- Jak to: w ogóle?
- Gdyby Bill zechciał się gdzieś dostać, poleciałby samolotem.

Nie jechałby pociągiem.

- Mnóstwo ludzi korzysta z nocnego pociągu, bo w ten sposób oszczędza się czas. Śpi się i jedzie jednocześnie. Pytanie tylko: dlaczego jako Charles Martin?

- Myślę, że jest to sprawa dla Scotland Yardu.
- Nie uważam, aby Scotland Yard nam za nią podziękował.
- Ja nie czekam na ich podziękowania - powiedział Cullen zgrzyliwie. - Ja im polecam wykryć, co się wydarzyło mojemu kumpłowi.

- Ja uważam, że oni nie będą tym zainteresowani.
- Lepiej niech będą!
- Nie ma pan żadnego dowodu na to, że Bill Kenrick nie dał nurka rozmyślnie, że świetnie się teraz bawi samotnie, zanim nie nastąpi pora, aby wracać do OCAL-u.

- Ależ pan go znalazł martwego w przedziale kolejowym! - ryknął Cullen ogłuszająco.

- Ach nie. To był Charles Martin. Co do tego nie ma żadnych niejasności.

- Ale pan może zidentyfikować Martina jako Kenricka!
- Oczywiście. Mogę powiedzieć, że moim zdaniem twarz na fotografii jest twarzą, którą widziałem w przedziale B-Siedem raniem 4 marca. W Scotland Yardzie powiedzą, że mam prawo tak uważać, ale niewątpliwie zmyliło mnie podobieństwo, gdyż człowiek z przedziału B-Siedem to Charles Martin, mechanik, urodzony w Marsylii, tam na przedmieściach mieszkają nadal jego rodzice.

- Pan czuje się swobodnie w roli detektywa Scotland Yardu,

prawda? Wszystko jedno...

- Oczywiście. Pracuję tam dłużej, niż sam mam odwagę o tym pomyśleć. Wracam tam od poniedziałku za tydzień, jak tylko skończy się mój urlop.
- To znaczy, że pan to Scotland Yard?
- Nie cały Scotland Yard. Jestem jedną z jego cegiełek. Nie mam przy sobie legitymacji, ale jeżeli pójdzie pan ze mną do domu mojego gospodarza, on poświadczy moją tożsamość.
- O, nie, nie. Ja oczywiście wierzę panu, panie...
- Inspektorze. Ale zostaniemy przy „panu”, skoro nie jestem na służbie.
- Przepraszam, jeżeli byłem zbyt zuchwały. Nie przyszło mi po prostu do głowy... Wie pan, nikt się nie spodziewa spotkać człowieka ze Scotland Yardu w życiu codziennym. Nie spodziewa się, że oni... oni...
- Chodzą na ryby.
- Właśnie. Tak zdarza się tylko w książkach.
- No to, skoro wierzy pan, że mówię prawdę i że moja wersja o reakcji Scotland Yardu jest nie tylko dokładna, ale też z pierwszej ręki, co w takim razie robimy dalej?

Rozdział X

Gdy Laura usłyszała następnego ranka, że Grant zamiast spędzić dzień nad rzeką, zamierza jechać do Scoone, była oburzona.

- Ależ ja właśnie przygotowałam wspaiały lunch dla ciebie i dla Zoe - powiedziała.

Grantowi wydawało się, że jej niezadowolenie ma inne źródło, że nie chodzi o lunch, lecz jego umysł był zbyt zajęty ważnymi sprawami, aby analizować błahostki.

- W Moymore mieszka młody Amerykanin, który przybył prosić mnie o pomoc w pewnej sprawie. Pomyślałem, że mógłby zająć moje miejsce nad rzeką, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu. Mówił mi, że sporo wędkował. Może Pat objaśniłby mu arkana sztuki.

Pat przyszedł na śniadanie tak rozpromieniony, że promieniowanie to można było bez trudu wyczuć przez stół. Był pierwszy dzień ferii wielkanocnych. Z zainteresowaniem podniósł głowę, gdy usłyszał propozycję kuzyna. Niewiele było rzeczy w życiu, które podobają mu się bardziej niż objaśnianie czegoś komuś.

- Jak się nazywa? - zapytał.
- Tad Cullen.
- Co to za imię „Tad”?
- Nie wiem. Być może zdrobnienie od Teodora.
- M... m... m - bąknął Pat z powątpiewaniem.
- Jest lotnikiem.
- Oho - powiedział Pat rozchmurzając się. - Po nazwisku sądziłem, że to może profesor.
- Nie. On lata tam i z powrotem nad Arabią.
- Nad Arabią! - powiedział Pat, wymawiając „r” z warkotem takim, że ogromny szkocki stół ze śniadaniem roziskrzył się refleksami przepysznego Wschodu. Tak, Pat z przyjemnością mu „objaśni”.
- Oczywiście Zoe pierwsza wybiera miejsce do łowienia - powiedział Pat.

Jeśli Grant wyobrażał sobie, że namiętność Pata objawi się nagłymi rumieńcami i cielęcą adoracją, to się mylił. Jediną oznaką miłości Pata było nieustanne wtrącanie do każdej wypowiedzi „ja i Zoe”. Można też było zauważyć, że zaimek osobowy ciągle występował na pierwszym miejscu.

Grant wypożyczył po śniadaniu samochód i pojechał do Moymore powiedzieć Cullenowi, że mały rudowłosy chłopiec w zielonym kilcie będzie na niego czekał ze wszystkimi akcesoriami” i odpowiednim

obuwiem koło wiszącego mostu nad Turlie. On sam ma nadzieję, że szybko wróci ze Scoone i zdąży przyjść do nich nad rzekę po południu.

- Chciałbym pojechać z panem, panie Grant - powiedział Cullen. - Czy ma pan już jakiś pomysł? Czy to dlatego jedzie pan z rana do Scoone?

- Nie. Jadę dopiero szukać pomysłu. Dla pana nie ma w tej chwili nic do roboty, więc równie dobrze może pan spędzić dzień nad rzeką.

- W porządku, panie Grant. Pan jest szefem. Jak się nazywa ten pana mały przyjaciel?

- Pat Rankin - odpowiedział Grant, po czym odjechał do Scoone.

Większą część ostatniej nocy spędził leżąc bezsennie z oczami wlepionymi w sufit. Biernie kontemlował obrazy, które pojawiały się w jego umyśle, wirowały i zacierały się jak w filmie z trikowymi zdjęciami. Leżał na wznak i pozwalał im na ten powolny taniec. Nie brał w tym żadnego udziału. Myślami był od nich daleko, jak gdyby to była zorza polarna. W ten sposób jego umysł pracował najlepiej.

Ciągle nie pojmował, dlaczego Bill Kenrick pojechał na północ Szkocji, podczas gdy powinien był jechać do Paryża, aby spotkać się z przyjacielem. I dlaczego podróżował on z cudzymi dokumentami. Powoli zaczynał się domyślać, dlaczego Bill Kenrick tak nagle zainteresował się Arabią. Cullen, typowy lotnik, myślał, że jego przyjaciel interesuje się po prostu powietrznymi szlakami. Lecz Grant był pewien, że to zainteresowanie miało inne źródło. Z relacji samego Cullena wynikało, że Kenrick nie wykazywał objawów nerwowości. Było mało prawdopodobne, żeby obsesja na punkcie trasy, którą latał, miała cokolwiek wspólnego z pogodą. Gdzieś, kiedyś, w czasie jednego z lotów na tej „cholernie nudnej trasie” Kenrick znalazł coś, co go interesowało. To zainteresowanie zrodziło się wtedy, kiedy

został zepchnięty z kursu przez jedną z burz piaskowych, które nawiedzają Arabię. Po tym przeżyciu wrócił „wstrząśnięty”. „Nie słuchał, co się do niego mówi”. „Ciągle tam był”.

Tego ranka Grant jechał więc do Scoone, aby dowiedzieć się, co też mogło zainteresować Billa Kenricka w głębi tego niegościnnego, pustynnego bezkresu, jakim jest Arabia. I z tym oczywiście szedł do pana Talliskera. Do pana Talliskera szło się ze wszystkimi zawiłymi sprawami, w których chciało się być oświeconym; czy to chodziło o wartość domku podlegającą opodatkowaniu, czy też o skład lawy wulkanicznej.

Biblioteka Publiczna w Scoone była o tak ранней godzinie wyludniona i Grant zastał pana Talliskera nad filiżanką kawy z pączkiem. Grant uznał pączek za rozczulające dziecinne szaleństwo, bo pan Tallisker wyglądał, jak gdyby żywił się tylko goframi i chińską herbatą z cytryną. Tallisker był zachwycony, że widzi Granta. Zapytał, jak postępują jego studia nad Hebrydami, wysłuchał z zainteresowaniem heretyckiego podsumowania Granta na temat tego raję i był gotów pomóc mu w nowych poszukiwaniach. Arabia? O tak, mają całą półkę książek o tej krainie. Prawie równie wiele ludzi napisało książki o Arabii, co o Hebrydach. Tu także, jeżeli wolno panu Talliskerowi powiedzieć, występuje ta sama tendencja do idealizowania tematu przez jego entuzjastów.

- Uważa pan, że sprowadzając sprawę do prostych faktów, jedno i drugie to tylko wietrzne pustkowia.

- O, nie. Nie tylko. To by było nieco... zbyt ogólnikowe. - Pan Tallisker zasnął wiele szczęścia i piękna na Hebrydach. Lecz tendencja do przeceniania prostych ludzi jest być może taka sama w obu przypadkach. A oto jest półka z książkami na ten temat. On teraz zostawi pana Granta, by mógł sobie bez pośpiechu wszystko przestudiować.

Drzwi zamknęły się w ciszy i Grant pozostał sam na sam ze swym tematem. W pokoju księgozbioru podręcznego nie było żadnego innego czytelnika. Przeglądał książki, lustrując je doświadczoneym okiem, podobnie jak robił to w bawialni w Clune z książkami o Hebrydach. Skala rozpiętości tematów była taka jak w tamtych. Jediną różnicą było to, że niektóre książki należały do klasyki, jako że temat był klasyczny.

Jeśli Grant miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, czy mężczyzna z B-Siedem był Billem Kenrickiem, to opuściły go one, gdy odkrył, że pustynna południowo-wschodnia część Półwyspu Arabskiego, zwana była Rub al-Chali.

Oto czym było owo „rabuj Caley”!

Od tej chwili poświęcił swój czas Pustyni Rub al-Chali; brał po kolei książki z półki, kartkował rozdział o tym jednym rejonie i kładł książkę z powrotem, by przejść do następnej. Niebawem jego oczy zatrzymały się na pewnym zdaniu. „Zamieszkały przez małpy”.

- Małpy - powtórzył mechanicznie. Gadające zwierzęta.

Cofnął się o jedną stronicę, by zobaczyć, czego dotyczył ten fragment.

Dotyczył Wabaru.

Wabar był niejako Atlantydą Półwyspu Arabskiego. Legendarne miasto Ad ibn Kinada. Kiedyś dawno temu zostało ono za swoje grzechy zniszczone przez ogień. Było bowiem bogate i grzeszne w sposób niemożliwy do opisanía. W jego pałacach żyły najpiękniejsze nałożnice, a w jego stajniach - najdoskonalsze konie na świecie. Leżało w kraju tak żyznym, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by zerwać owoc. Ludzie mieli tu dość wolnego czasu, aby popełniać stare grzechy i wymyślać nowe. Więc na miasto przyszło zniszczenie. Przyszło w nocy, wraz z oczyszczającym ogniem. A teraz legendarne miasto Wabar było garstką ruin, strzeżoną przez ruchome piaski,

przez zręby skał, które ciągle zmieniały swe miejsce i kształt. Zamieszkałe były przez mały i złe duchy. Nikt nie miał dostępu do tego miejsca, bo duchy dmuchały burzami piaskowymi w twarze tych, którzy go poszukiwali.

To był Wabar.

I jak należy sądzić, nikt nie odnalazł tych ruin, chociaż wszyscy badacze Arabii szukali ich, jawnie lub skrycie. W istocie nie było takich dwóch badaczy, którzy zgadzaliby się ze sobą co do tego, której części półwyspu dotyczy legenda. Grant przejrzał ponownie różne tomy, używając magicznego klucza: słowa Wabar. I odkrył, że każdy autorytet ma swoją własną ulubioną teorię. Różne domniemane położenia tego miasta były od siebie tak odległe jak Oman od Jemenu. Zauważył, że nikt z autorów nie próbował zlekceważyć tej legendy lub jej zaprzeczyć, aby usprawiedliwić własne niepowodzenie. Ta legenda była na Półwyspie Arabskim powszechna i niezmienna w swej postaci. Zarówno sentymentalisci, jak i naukowcy wierzyli, że miała swe źródło w faktach. Marzeniem każdego badacza było zostać odkrywcą Wabaru, ale piaski, duchy i miraże dobrze go strzegły.

„Jest wielce prawdopodobne - pisał jeden z najznakomitszych autorów - że kiedy legendarne miasto zostanie w końcu odkryte, to stanie się to nie dzięki czymś wysiłkom, lecz przez przypadek”.

Przez przypadek.

Odkryje je lotnik, którego zepchnie z kursu burza piaskowa?

Co Bill zobaczył, gdy wydostał się z wielkiej brązowej chmury piasku? Puste pałace na pustyni? Czego szukał nakładając drogi, gdy „nabrał zwyczaju spóźniania się”?

Nie powiedział nic po pierwszym odkryciu. Bo jeżeli to, co widział, było miastem na piaskach, to zrozumiałe, dlaczego milczał.

Naśmiewano by się z niego. Dokuczano by z powodu miraży, mówiono by, że mu brak piątej klepki. Nawet jeśli któryś z pracowników OCAL-u kiedykolwiek słyszał o tej legendzie - a było to mało prawdopodobne w tak niespokojnym i nie zagrzewającym miejsca gronie - to i tak dokuczano by mu z powodu jakichś urojonych pomysłów. Więc Bill, który pisał zwarte „M” i „N” i był „troszkę zamknięty w sobie”, nie powiedział nic, tylko wrócił spojrzeć jeszcze raz. Wracał wciąż na nowo. Albo dlatego, że chciał znaleźć miejsce, które raz zobaczył, albo - jeśli już określił jego położenie - aby znów na nie popatrzeć.

Studiował mapy. Czytał książki o Arabii. A później?...

Później postanowił pojechać do Anglii.

Zorganizował podróż do Paryża z Tadem Cullenem. I naraz zmienił zamiar, postanowił spędzić nieco czasu samotnie w Anglii. W Anglii nie miał krewnych. Nie był w Anglii od lat i zgodnie z relacją Cullena nigdy nie odczuwał nostalgii ani nie utrzymywał tam z nikim regularnej korespondencji. Po śmierci rodziców wychowała go ciotka i ona teraz też już nie żyła. A jednak zapragnął wrócić do Anglii.

Grant usiadł i zatonął w ciszy. Nieomal słyszał opadający kurz. Rok za rokiem opadający w spokoju kurz. Jak w Wabarze.

Bill Kenrick przyjechał do Anglii. A trzy tygodnie później, kiedy miał spotkać się ze swym przyjacielem w Paryżu, pojawia się w Szkocji jako Charles Martin.

Grant był w stanie zrozumieć, dlaczego Kenrick chciał przyjechać do Anglii, ale po co cała ta maskarada? I ta nagła wizyta na północy?

Kogo miał zamiar odwiedzić jako Charles Martin?

Zresztą mógł tego kogoś odwiedzić i później spotkać się z przyjacielem w Paryżu umówionego dnia, jeśli by nie wydarzył się ten wypadek po pijanemu. Mógł zobaczyć się z kimś w Szkocji, a potem

odlecieć ze Scoone wprost na kolację z przyjacielem w hotelu „St Jacques”.

Ale dlaczego jako Charles Martin?

Grant odłożył książki na półkę, poklepując je na odchodnym z aprobatą, czego nie czynił z książkami o Hebrydach, i poszedł odwiedzić pana Talliskera w jego małym biurze. Miał już przynajmniej jakiś pomysł w sprawie Kenricka. Wiedział, gdzie szukać jego tropu.

- Kto według pana jest obecnie w Anglii największym autorytetem w sprawach Arabii? - zapytał pana Talliskera.

Pan Tallisker pogardliwie machnął binoklami. Spadkobierców Thomasa i Philbyego jest całe mrowie, ale on przypuszcza, że tylko Heron Lloyd jest naprawdę wielkim autorytetem. Możliwe, że on, pan Tallisker, jest przychylnie nastawiony do Lloyd'a, bo Lloyd jest jedynym z całego tłumu, który potrafi pisać jak literat, lecz prawdą też jest, że niezależnie od swoich talentów pisarskich, jest człowiekiem wielkiego kalibru, człowiekiem prawnym i o znakomitej reputacji. O jego wyprawach dużo się mówiło, Lloyd cieszy się szacunkiem również u Arabów.

Grant podziękował panu Talliskerowi i poszedł zająrzeć jeszcze do „Who's Who”. Szukał adresu Herona Lloyd'a.

Potem wyszedł na miasto. I zamiast udać się do wytwornej restauracji „Caledonian”, usłuchał niezrozumiałego impulsu i poszedł na drugi koniec miasta posilić się tam, gdzie jadł śniadanie z cieniem B-Siedem w mroczny poranek zaledwie parę tygodni temu.

Dzisiaj sala nie była pogrążona w mroku. Wszystko było wykrochmalone i błyszczące: srebra, szkło i len. Była także Mary - cicha, łagodna i pulchna. Taka jak tamtego ranka. Pamiętał, że wówczas potrzebował ukojenia, przywrócenia wiary w siebie, i ledwo

mógł wierzyć, że to on był tamtą wyczerpaną nerwowo istotą.

Usiadł przy tym samym stole koło luster, naprzeciwko drzwi dla obsługi. Mary podeszła, by przyjąć zamówienie, i zapytała, jak się udały połowy nad Turlie.

- Skąd pani wie, że łowiłem ryby nad Turlie?
- Był pan z panem Rankinem na śniadaniu. Przyszedł pan prosto z pociągu.

Tak, wysiadł z pociągu po nocy szamotania się i cierpień. To była obrzydliwa noc. Wyszedł z pociągu żegnając w nim B-Siedem przypadkowym rzutem oka i przelotną chwilą żalu. Lecz B-Siedem stokrotnie spłacił tę chwilę łatwego współczucia. Od tego momentu bowiem towarzyszył mu i w końcu go wyleczył. To przecież właśnie B-Siedem posłał go na Hebrydy, na te obłądne, zimne i wietrzne bezowocne poszukiwania. W tej niesamowitej otchłani absurdu Grant robił to wszystko, czego w innych okolicznościach by nie robił: śmiał się do łez, tańczył, pozwalał wichrowi ciskać sobą jak listkiem, śpiewał, a także siedział w milczeniu i patrzył. Później wrócił stamtąd jako normalny człowiek. Zawdzięczał pasażerowi z B-Siedem więcej, niż był w stanie mu spłacić.

W czasie lunchu myślał o Kenricku. Młody człowiek, który nie miał rodziny. Czy czuł się samotny, czy po prostu wolny? A jeżeli wolny, to czy była to wolność jaskółki czy orła? Prześlizgiwanie się w poszukiwaniu słońca, czy unoszące się wysoko dostojeństwo?

Kenrick miał przynajmniej jeden rys, który we wszystkich krajach i czasach był tyleż rzadki, co jednający przychyłność. Był człowiekiem czynu, a jednocześnie miał intuicję poety. Tym oto różnił się od grona niefrasobliwych pracowników OCAL-u, którzy przemierzali równie bezmyślnie jak moskity wspaniałe szlaki nad kontynentami. Tym oto różnił się od stłoczonego tłumu o piątej po południu na londyńskiej stacji kolejowej, dla którego przygodą był

przejazd za pół korony. Jeżeli martwy chłopak z B-Siedem nie był Sidneyem ani Grenfellem*, to przynajmniej miał wspólne z nimi cechy. I za to Grant go kochał.

* Lord Filip Sidney (1554-1586) - mąż stanu, uczonec, poeta i pisarz z okresu angielskiego Renesansu; George Grenfell (1849-1906) - angielski misjonarz i badacz obszarów Konga i Kamerunu.

- Jeżeli nie będziesz ostrożny, wkrótce zbudujesz sobie całą filozofię na temat Billa Kenricka - odezwał się głos rozsądku.

- Już to zrobiłem - powiedział wesoło i głos, pokonany, wycofał się w ciszę.

Zostawił Mary duży napiwek i poszedł zarezerwować dwa bilety na poranny samolot do Londynu. Miał wciąż jeszcze ponad tydzień urlopu przed sobą i Turlie obfitującą w ryby, ale od wczorajszego popołudnia interesowała go tylko jedna sprawa: Bill Kenrick.

Kupił dla Pata słodyczy tyle, że chłopak mógłby chorować po nich trzy miesiące, i zawrócił w stronę wzgórz. Obawiał się, że słodycze są trochę zbyt wykwintne, aby całkowicie udobruchać Patriczkę, bo przecież, jak się sam przyznał, jego ulubionymi przysmakami były jakieś „Oczy OGO-POGO” z wystawy pani Mair. W każdym razie Laura z pewnością będzie mu wydzielać te słodycze.

Zatrzymał samochód nad rzeką, w pół drogi pomiędzy Moymore i Scoone, i poszedł przez wrzosowisko na poszukiwanie Tada Cullena. Było wczesne popołudnie i Cullen na pewno jeszcze nie zakończył drugiej tury wędkowania.

Okazało się, że Cullen nawet nie zaczął. Gdy Grant doszedł na skraj wrzosowiska i spojrzął z urwiska w dolinę rzeki, ujrzał poniżej grupkę trojga osób, nieruchomych, odpoczywających na brzegu. Zoe, w swej ulubionej pozycji, opierała się o skałę, a po obu jej

stronach, wpatrzeni w nią z uwagą, siedzieli pozostali kompani: Pat Rankin i Tad Cullen. Obserwując ich, zadowolonych i uległych, Grant uświadomił sobie, że Bill Kenrick wyświadczył mu jeszcze jedną przysługę, na którą Grant sobie nie zasłużył. Bill Kenrick uratował go od zakochania się w Zoe Kentallen.

Jeszcze kilka godzin spędzonych w jej towarzystwie i byłby uwikłany raz na zawsze. Bill Kenrick zainterweniował w samą porę.

Pierwszy zobaczył go Pat. Wyszedł mu na spotkanie i poprowadził do reszty towarzystwa, tak jak to robią dzieci i psy w stosunku do ludzi, których poważają. Zoe odwróciła głowę, by mu się przyrzec, i powiedziała:

- Niczego nie straciłeś, Alanie. Nikomu z nas cały dzień nie brała ryba. Może zechciałbyś wziąć moją wędkę na chwilę? A nuż chwyci?

Grant odrzekł, że chętnie to zrobi, bowiem jego czas wędkowania dobiega końca.

- Masz jeszcze tydzień na wyłapanie wszystkiego, co jest w rzece - powiedziała.

Grant ciekaw był, skąd ona to wie.

- Niestety, wracam do Londynu jutro rano - sprostował.

Natychmiastowy żal na jej twarzy był tak wyraźny jak u Pata. Ale w przeciwieństwie do Pata, Zoe zaraz się opanowała. Swym uprzejmym, łagodnym głosem powiedziała, że z tego powodu jest jej przykro, ale jej twarz nie wyrażała już żadnych emocji. Była to znów jej twarz z ilustracji do bajek Hansa Andersena.

Zanim zdążył rozważyć ten fenomen, Tad Cullen wtrącił:

- Czy mogę, wrócić z panem, panie Grant? Do Londynu.

- Już o tym pomyślałem. Zarezerwowałem dwa bilety na poranny samolot.

Grant wziął wędkę, której używał Tad Cullen, i teraz , mogli pójść gdzieś razem wzdłuż rzeki i porozmawiać.

- Mam już dość - powiedziała Zoe rozmontowując swoją wędkę - wrócę chyba do Clune i napiszę parę listów.

Pat stał niezdecydowany, jak pies, który chce być wierny dwóm panom naraz, aż wreszcie powiedział:

- Wracam z Zoe.

Powiedział to tak, jak gdyby wycofywał się w- tej chwili z jakiegoś posunięcia nielojalnego względem Zoe. Ale ponieważ nikt nawet nie ośmieliłby się być nielojalny w stosunku do Zoe, jego demonstracja była zupełnie niepotrzebna.

Ze skały, na której usiadł z Cullenem, aby przekazać mu nowiny, Grant obserwował dwie figurki malejące daleko na wrzosowisku i zastanawiał się, jakie były powody gwałtownego odwrotu Zoe i jej przygnębienia. Wyglądała jak zniechęcone dziecko, które zmęczyło się i nieoczekiwanie chce wrócić do domu. Może to wspomnienia o mężu tak na nią podziały. Tak to bywa ze smutkiem: opuszcza na całe miesiące, a potem bez ostrzeżenia spada na człowieka.

- Ale to byłoby trochę za mało, aby się tak przejmować, nieprawdaż? - mówił Tad Cullen.

- Czym mianowicie?

- No tym starożytnym miastem, o którym pan mówi. Czy ktokolwiek tak by się tym podniecał? To znaczy, tą garstką ruin. Ruiny są dzisiaj w świecie nic nie warte.

- Nie te. Te są warte - powiedział Grant zapominając o Zoe. - Człowiek, który odkryje Wabar, przejdzie do historii.

- Kiedy pan powiedział, że on znalazł coś ważnego, myślałem, że może fabrykę broni na pustyni czy coś takiego.

- No, to dopiero jest nic nie warte!

- Co?

- Tajne fabryki broni. Nikt, kto by coś takiego odkrył, nie stałby się sławny.

Tad nastawił uszu.

- Sławny? Ma pan na myśli, że człowiek, który odkryje to miejsce, będzie sławny?

- Już to powiedziałem.

- Nie. Pan powiedział, że on przejdzie do historii.

- Racja. Słuszna racja - rzekł Grant. - Te pojęcia już nie są synonimami. Tak, będzie sławny. Grobowiec Tutenchamona stanie się niczym.

- I pan sądzi, że Bill poszedł do tego faceta, tego Lloyda?

- Jeżeli nie do tego, to do kogoś innego z tej branży. Chciał rozmawiać z kimś, kto wzięłyby poważnie to, co miał do powiedzenia, kto by go nie wyśmiał. Chciał spotkać kogoś, kto byłby osobiście zainteresowany jego wiadomościami. W tej sytuacji musiał zrobić to właśnie, co ja zrobiłem. Iść do muzeum, do biblioteki czy może nawet do działu informacji w którymś z dużych domów towarowych i dowiedzieć się, kto jest najbardziej znanym angielskim badaczem Arabii. Prawdopodobnie dano mu pewien wybór, ponieważ bibliotekarze i kustosze są pedantami, a działy informacji mogą narazić się na proces o zniesławienie. Jednak Lloyd przerasta innych o głowę, jest bowiem równie- dobrym pisarzem jak i badaczem. Mówiąc krótko, jest najbardziej popularny. No i prawie na pewno Bill wybrał Lloyda.

- Dowiemy się więc, kiedy i gdzie spotkał się z Lloydem, i od tego miejsca podejmiemy ślad.

- Tak. Dowiemy się także, czy odwiedził Lloyda jako Charles Martin czy pod swoim własnym nazwiskiem.

- Dlaczego miałby do niego pójść jako Charles Martin?

- Kto to wie? Powiedział pan, że był trochę zamknięty w sobie. Może chciał ukryć swoje powiązania z OCAL-em? Czy w

OCAL-u dokładnie przestrzegają tras i harmonogramów? Może po prostu o to chodzi.

Cullen siedział przez chwilę bez słowa, rysując na ziemi jakąś figurę końcem wędki. Potem powiedział:

- Panie Grant, proszę nie myśleć, że ja dramatyzuję czy... ulegam sensacjom albo jestem głupi, ale czy nie uważa pan, że Bill mógł zostać sprzątnięty?

- Oczywiście że tak. Morderstwa się zdarzają. Sprytnie morderstwa też. Jednak zbyt wiele świadczy, że tak nie było.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim przeprowadzono policyjne śledztwo. Na przekór wszystkim powieściom kryminalnym, Kryminalny Wydział Śledczy ma niezaprzeczone osiągnięcia. Jest najbardziej efektywnie działającą instytucją, jaka istnieje obecnie w kraju, a nawet jeżeli zaakceptuje pan moją nieco stronniczą opinię, w jakimkolwiek innym kraju.

- Ależ policja pomyliła się już w jednej rzeczy.

- Ma pan na myśli tożsamość. Tak, ale chyba nie można ich za to winić.

- Dlatego, że wszystko było idealnie zgrane? Coś jeszcze, o czym nie wiemy, również może być idealnie zgrane.

- Oczywiście. Tak jak mówię, zdarzają się sprytnie morderstwa. Lecz dużo prościej jest sfałszować tożsamość niż dać sobie radę z morderstwem. Jak pan sobie wyobraża samo dokonanie zbrodni? Ktoś wszedł i rąbnął go, gdy pociąg wyjechał z Euston, a potem zaaranżował wszystko tak, żeby wyglądało na upadek?

- Tak.

- Ale nikt nie odwiedzał B-Siedem po odjeździe pociągu z Euston. Pasażerka z B-Osiem słyszała, jak wrócił wkrótce po obchodzie konduktora i później zamknął drzwi. Potem nie było żadnych rozmów.

- Do tego, aby rąbnąć kogoś w tył głowy, rozmowa nie jest potrzebna.

- Nie, ale potrzebna jest okazja. Szansa na to, aby otworzyć drzwi i zastać pasażera ustawionego we właściwej pozycji do uderzenia, jest znikoma. Przedział sypialny nie jest dogodnym miejscem do dokonywania zamachów, nawet jeżeli wybierze się stosowną chwilę. Ktoś, kto miałby mordercze zamiary, musiałby wpierw wejść do przedziału, bo nie mógł przecież dokonać mordu z korytarza. Nie mógł również tego zrobić, gdy ofiara była w łóżku, ani wtedy, gdy stała z mordercą twarzą w twarz. Z kolei ofiara nie odwracałaby się tyłem, mając świadomość, że ktoś jest w przedziale. A więc jasne, że tego można było dokonać jedynie po odbyciu wstępnej rozmowy. Jednocześnie B-Osiem mówi, że w B-Siedem nikt nie rozmawiał ani nikt tam nie wchodził. B-Osiem należy do tych kobiet, które „nie mogą spać w pociągu”. Przeszkadza jej każdy, nawet słaby odgłos, zgrzyt lub stuk. Około pół do trzeciej zwykle śpi jak susel i chrapie. Ale Bill Kenrick był już martwy na długo przedtem.

- Czy słyszała, jak upadł?

- Słyszała „łomot” i pomyślała, że zdejmuje walizkę. Oczywiście on nie miał żadnej walizki, niczego, co mogłoby wywołać łomot. A propos, czy Bill mówił po francusku?

- Tyle, by sobie dawać radę.

- *Avec moi.*

- Tak, coś w tym rodzaju. A dlaczego pan pyta?

- Po prostu byłem ciekaw. Wydaje się, że zamierzał spędzić gdzieś noc.

- Myśli pan, że w Szkocji?

- Tak. Nowy Testament i francuska powieść. A przecież nie znał francuskiego.

- Pewnie jego szkockie towarzystwo też nie znało.

- Racja. Szkockie towarzystwo zwykle nie zna francuskiego.

Ale jeśli zamierzał gdzieś spędzić noc, nie mógłby spotkać się z panem tamtego dnia w Paryżu.

- Ach, Bill nie przejąłby się jednym dniem spóźnienia. Mógł mi posłać telegram 4 marca.

- No tak... Chciałbym odkryć powody, dla których on się tak gruntownie zamaskował.

- Zamaskował się?

- Oczywiście, dobierając tak starannie szczegóły. Dlaczego chciał uchodzić za Francuza?

- Nie przychodzi mi do głowy, dlaczego ktoś mógłby chcieć uchodzić za Francuza - powiedział Cullen. - Czego spodziewa się pan po tym Lloydzie?

- Spodziewam się, że to Lloyd odprowadzał go do Euston. Rozmawiali o Rub al-Chali, proszę o tym pamiętać. W uszach starego Jogurta zabrzmiało jako: „rabuj Caley”.

- Czy ten Lloyd mieszka w Londynie?

- Tak, w Chelsea.

- Mam nadzieję, że jest w domu.

- Ja też mam nadzieję. Teraz chciałbym spędzić ostatnią godzinę z rzeką Turlie, a później, jeżeli ma pan cierpliwość posiedzieć tu chwilę i pomyśleć nad naszą sprawą, moglibyśmy pójść na kolację do Clune. Poznałby pan rodzinę Rankinów.

- Wspaniale - powiedział Tad. - Nie pożegnałem się jeszcze z hrabiną. Jestem nawrócony, jeśli chodzi o hrabiny. Panie Grant, czy pana zdaniem hrabina jest kimś typowym dla waszej arystokracji?

- Jest typowa w tym sensie, że posiada wszelkie zalety tego gatunku - powiedział Grant kierując się z brzegu w stronę wody.

Łowił, dopóki ukośne oświetlenie nie uprzytomniło mu, że jest wieczór. Nic jednak nie złapał. Ten wynik ani go nie zdziwił, ani nie rozczarował. Myślami był gdzie indziej. Już nie widział martwej

twarży Billa Kenricka w wirującej wodzie. Teraz osobowość Billa Kenricka zawładnęła jego umysłem.

Po raz ostatni zwinął wędkę i westchnął, ale nie z powodu rozstania z Turlie, tylko dlatego, że nadal nie wiedział, dlaczego Bill Kenrick tak się zamaskował.

- Cieszę się, że miałem okazję zobaczyć tę wyspę - powiedział Tad, gdy szli do Clune. - Jest zupełnie inna niż sobie wyobrażałem.

Z tonu jego głosu Grant wydedukował, że Cullen wyobrażał ją sobie jak coś w rodzaju Wabaru: zamieszkałą przez mały i duchy.

- Wolałbym, aby odwiedził ją pan w szczęśliwszych okolicznościach - powiedział. - Musi pan tu kiedyś przyjechać specjalnie na ryby.

Tad uśmiechnął się z zakłopotaniem i przejechał ręką po zwizchrzonych włosach.

- Zawsze pewnie będę wołał Paryż albo Wiedeń. Gdy spędza się życie w beznadziejnych małych dziurach, z utęsknieniem wypatrzuje się wielkich światła.

- W Londynie też mamy wielkie światła.

- No tak. Może następnym razem przyjadę do Londynu. Jeśli chodzi o Londyn, nie mam nic przeciwko niemu.

Przybyli do Clune i natknęli się wprost na Laurę; stała w drzwiach.

- Alan, co to ma znaczyć... - zaczęła. I wtem zauważyła jego towarzysza. - Ach, pan to na pewno Tad, Pat mówi, że pan nie wierzy w istnienie ryb w Turlie. Witam pana. Tak mi miło, że pan wpadł. Proszę wejść. Pat pokaże panu, gdzie można się umyć, a potem proszę do nas przyjść i napić się czegoś przed kolacją.

Przywołała Pata, który się gdzieś wałęsał, i przekazała mu gościa pod opiekę, zagradzając jednocześnie skutecznie drogę swemu kuzynowi. Gdy pozbyła się Cullena, odwróciła się znów do Granta.

- Alan, ty nie wracasz jutro do domu?

- Ależ ja jestem wyleczony, Lala - powiedział sądząc, że to właśnie ją zaniepokoiło.

- No i cóż z tego? Masz wciąż jeszcze ponad tydzień urlopu i Turlie jest pełna ryb. Nie możesz zrezygnować po to tylko, aby wyciągnąć jakiegoś młodego człowieka z dołka, do którego sam wpadł.

- Tad Cullen nie jest w żadnym dołku. Nie popadam też w donki-szoterię, jeśli to masz na myśli. Wyjeżdżam jutro, bo chcę się tym zająć.

Chciał dodać: „I po prostu nie mogę się doczekać, kiedy wyjadę”, ale słowa te mogły doprowadzić do nieporozumienia nawet z osobą tak bliską jak Laura.

- Wielka szkoda. Wszyscy jesteśmy tacy szczęśliwi i wszystko jest tak... - nagle przerwała. - Oj, dobrze. Cokolwiek powiem, nie zmieni to twojego postanowienia. Powinnam to wiedzieć. Nic nigdy jeszcze nie sprawiło, abyś choć na włos zszedł z linii, którą raz sobie nakreśliłeś. Zawsze byłeś cholernym Juggernautem*.

* Juggernaut (Jagannath) - przydomek indyjskiego boga Wisznu.

- Piekielnie zawiła metafora - odrzekł. - Czy nie mogłabyś mnie zwymyślać lub zrobić coś równie niezawodnego, lecz mniej destruktywnego?

Wzięła go pod rękę, przyjaźnie i z lekkim rozbawieniem.

- Ależ ty sam jesteś destruktywny, kochanie. - A kiedy zaczął protestować, dokończyła: - I jest to w tobie szalenie miłe, a zarazem zabójcze. Chodź się czegoś napić. Wyglądasz, jakbyś miał na to ochotę.

Rozdział XI

Nawet niezawodny Grant miał swoje chwile niepewności.

- Ty głupcze! - odezwał się wewnętrzny głos, gdy Grant wchodził

do londyńskiego samolotu w Scoone. - Nie do wiary, żeby tracić choć jeden dzień bezcennego urlopu na gonitwę za jakimś widmem.

- Nie gonię za żadnym widmem. Chcę tylko wiedzieć, co przytrafiło się Billowi Kenrickowi.

- Kim jest dla ciebie Bill Kenrick, że marnujesz dla niego choćby godzinę cennego czasu?

- Interesuje mnie. Jeśli chcesz wiedzieć, to ja go lubię.

- Nic o nim nie wiesz. Zrobiłeś sobie z niego boga na swoje podobieństwo i teraz musisz go wielbić.

- Wiem o nim dostatecznie dużo. Cullen mi o nim opowiedział.

- Stronniczy świadek.

- Miły chłopak, a to ważniejsze. Cullen miał duży wybór przyjaciół w instytucji takiej jak OCAL, a wybrał Billa Kenricka.

- Mnóstwo miłych chłopców wybierało sobie kryminalistów na przyjaciół.

- Jeśli już o to chodzi, to znałem również paru miłych kryminalistów.

- Ach tak? Jak wielu? I ile minut swojego urlopu poświęciłbyś dla kryminalisty?

- Nie poświęciłbym nawet trzydziestu sekund. Ale Kenrick nie jest kryminalistą.

- Cudze dokumenty, które znaleziono w jego kieszeni, nie świadczą o nim najlepiej.

- Wkrótce dowiem się czegoś więcej. Tymczasem zamknij się i zostaw mnie w spokoju.

- Aha! Nie wiesz, co powiedzieć, prawda?

- Wynoś się.

- W twoim wieku nadstawiać karku dla nieznanego chłopaka!
- Kto nadstawia karku?
- Nie musiałeś wcale odbywać samolotem tej podróży. Mogłeś wrócić pociągiem lub samochodem. Ale nie, ty się tak urządziłeś, że zostaniesz zamknięty w pudle. W pudle bez okien i drzwi, które by się otwierały. W pudle, z którego nie będziesz mógł uciec. W ciastym, głuchym, zamkniętym, szczelnym...
- Zamknij się!
- Aha! Już masz krótki oddech. Za jakieś dziesięć minut na pewno cię to złapie. Powinieneś być poddać badaniom swoją głowę, Alanie Grant, koniecznie powinieneś być dąć się zbadać.
- Jest takie urządzenie w mojej czaszce, które wciąż wspaniale funkcjonuje.
- Co mianowicie?
- Moje zęby.
- Czy masz zamiar coś żuć?
- Nie. Mam zamiar nimi zgrzytać.

Czy to dlatego, że zagrał szatanowi na nosie, czy też Bill Kenrick stał przy nim przez całą drogę, dość że Grant odbył tę podróż w spokoju. Tad Cullen opadł na fotel przed nim i natychmiast zasnął. Grant zamknął oczy i pozwolił swemu umysłowi na swobodne tworzenie obrazów, które potem rozmazywały się, bładły i znów powstawały na nowo.

Dlaczego Bill Kenrick tak gruntownie się zamaskował?

Kogo próbował okpić?

Dlaczego musiał kogoś okpić?

Gdy podchodzili do lądowania, Tad obudził się i nie spoglądając w okno zabrał się do poprawiania krawata i przyglądania włosów. Niezawodnie jest w mózgu lotnika jakiś dodatkowy zmysł, który prowadzi zapis prędkości, odległości i położenia, nawet jeśli człowiek nie czuwa.

- No - powiedział Tad. - Z powrotem w świątłach Londynu i w poczciwym hotelu „Westmorland”.

- Nie musi pan wracać do swojego hotelu - rzekł Grant. - Może pan spać u mnie.

- To bardzo miło z pana strony, panie Grant. Jestem panu bardzo wdzięczny, ale nie chciałbym sprawiać pana żonie... czy komukolwiek...

- Mojej gospodyni...

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu pana gospodyni. - Poklepał się po kieszeni. - Jestem nadziany.

- Nawet po... dwóch tygodniach w Paryżu? Gratuluję panu.

- E tam. Uważam, że Paryż już nie jest tym, czym był. A może po prostu tęskniłem za Billem. Nie muszę w każdym razie nikomu zawracać głowy ścieleniem mi łóżka. Niemniej jednak bardzo dziękuję. Poza tym będzie pan zajęty, i lepiej chyba, żebym się po domu nie kręcił. Ale nie odsunie mnie pan od tej sprawy, prawda? Chciałbym to wszystko chwytać, jak mówi Bill. To znaczy, mówił.

- Oczywiście, że nie odsunę, Tad. W hotelu w Obanie założyłem muszkę na wędkę i wyłowiłem pana z całej białej populacji globu. Na pewno nie zamierzam wrzucić pana z powrotem do wody.

Tad uśmiechnął się.

- Chyba rozumiem, co ma pan na myśli. Kiedy pan pójdzie do tego Lloyd'a?

- Dzisiaj wieczorem, jeśli będzie w domu. Z badaczami nigdy nic nie wiadomo. Jeśli nie prowadzą badań, to wygłaszają odczyty. Może więc być gdzieś między Chinami a Peru. Czego się pan przestraszył?

- Skąd pan wie, że się przestraszyłem.

- Mój drogi, pana żywe i otwarte oblicze nie jest stworzone ani do pokera, ani do dyplomacji.

- To dlatego, że wybrał pan te dwa miejsca, które zawsze wybierał Bill. On tak często mawiał: Od Chin do Peru.
- Naprawdę? Wygląda na to, że znał Johnsona.
- Johnsona?
- Tak. Samuela Johnsona. To jest cytat.
- Ach tak. Rozumiem - Tad był lekko skonsternowany.
- Jeżeli pan wciąż ma wątpliwości, panie Cullen, to niech pan lepiej pójdzie ze mną na Embankment i pozwoli moim kolegom, by za mnie poręczyli.

Jasna cera Cullena zrobiła się ciemnoczerwona.

- Przepraszam. Ja tylko przez moment... To zabrzmiało tak, jakby pan znał Bilia. Musi mi pan wybaczyć moją podejrzliwość, panie Grant. Wie pan, jestem jak rozbitek na morzu. Nie znam w tym kraju żywej duszy. Muszę po prostu brać ludzi takimi, jakimi ich widzę. Oceniać ich z wyrazu twarzy. Oczywiście nie mam wątpliwości co do pana. Jestem panu zbyt wdzięczny, aby móc to wyrazić słowami. Musi mi pan uwierzyć.

- Oczywiście że wierzę. Żartowałem tylko z pana, a nie miałem do tego prawa. To byłoby nierozsądne z pana strony - nie być podejrzliwym. Oto mój adres i telefon. Zadzwoń do pana, jak tylko zobaczę się z Lloydem.

- Nie uważa pan, że może ja powinienem też tam pójść?
- Nie. Myślę, że delegacja dwuosobowa to byłoby za wiele jak na tak drobną sprawę. O której będzie pan dziś wieczorem w „Westmorlandzie”, żeby odebrać telefon?
- Panie Grant, będę siedział z ręką na telefonie, dopóki pan nie zadzwoni.
- Lepiej niech pan coś zje w tym czasie. Zadzwoń do pana o pół do dziewiątej.

- Okay, pół do dziewiątej.

Londyn był mgliście-szary z akcentami czerwieni i Grant patrzył na niego z miłością. W mundurze sanitariuszek wojskowych też występowało to zestawienie: szarość i czerwień. Połączenie gracji i siły, godności i dobroci ukrytych pod pozorną obojętnością. Popatrzył na czerwone autobusy, które czyniły szary dzień pięknym, i pobłogosławił je. Jakże były wspaniałe. W Szkocji autobusy pomalowane były na najżałośniejszy ze wszystkich kolorów: niebieski. Kolor tak smętny, że jest prawie synonimem depresji. Lecz Anglicy, niech ich Bóg ma w swej opiece, mieli weselsze pomysły.

Zastał panią Tinker przy generalnym sprzątanu pokoju gościnnego. Nie było wprawdzie ku temu najmniejszych powodów, ale pani Tinker znajdowała Widać tyle samo przyjemności w generalnych porządkach, co inni w skomponowaniu symfonii, wygraniu turnieju w golfa czy przepłynięciu kanału LaManche. Należała do tych kobiet, o których Laura mówiła, że „myją próg przed drzwiami codziennie, a własną głowę co sześć tygodni”.

Na odgłos otwieranych drzwi stanęła na progu pokoju gościnnego i powiedziała:

- Coś podobnego! A w domu ani kęsa! Dlaczego nie zawiadomił mnie pan, że wraca z zagranic przed czasem?

- Nic nie szkodzi, Tink. Nie będę nic jadł. Wpadłem tylko, żeby zostawić bagaż. Kup coś i zostaw w kuchni, żebym miał coś do jedzenia dziś wieczorem.

Pani Tinker co wieczór szła do domu, częściowo dlatego, że musiała zjeść kolację z kimś, kogo nazywała „Tinker”, a częściowo dlatego, że Grant lubił wieczorami mieć mieszkanie dla siebie. Grant nigdy nie widział Tinkera, a to, co z nim wiązało panią Tinker, wydawało się sprawą kolacji i jakichś powiązań małżeńskich. Jej

prawdziwe życie i zainteresowania koncentrowały się na Tenby Court, S.W.1.

- Czy były jakieś telefony? - zapytał Grant kartkując notatnik telefoniczny.

- Panna Hallard dzwoniła powiedzieć panu, niech do niej zadzwoni i umówi się na obiad, jak tylko wróci.

- Aha. Czy nowa sztuka dobrze wypadła? Jakie były recenzje?

- Paskudne.

- Wszystkie?

- No wszystkie, jakie widziałam.

W czasach swej wolności, jeszcze przed Tinkerem, pani Tinker była garderobianą w teatrze. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie ten rytuał wieczornego posiłku, prawdopodobnie nadal ubierałaby kogoś co wieczór w W.1 albo W.C.2 zamiast robić generalne sprzątanie pokoi gościnnych w S.W.1*. Jej zainteresowanie teatrem było przeto równie żywe jak u nowicjusza.

* W.1, W.C.2, S.W.1 - oznaczenia dzielnic Londynu.

- Widziałaś tę sztukę?

- Ja nie. To jedna z tych sztuk, które znaczą coś innego, wie pan. Ona trzyma porcelanowego psa na kominku, ale to wcale nie jest pies z porcelany, to jest jej były mąż, on tłucze tego psa, znaczy ten jej nowy przyjaciel to robi, i ona szaleje. Wie pan, nie dostaje obłędu, tylko szaleje. Ale ja myślę, że jak się chce być damą, to trzeba grać intelektualne sztuki. Co pan sobie umyślił na kolację?

- Nic nie umyśliłem.

- Mogłabym zostawić na parze ładny kawałek gotowanej ryby.

- Tylko nie rybę, jak mnie lubisz. Zjadłem tyle ryb w tym miesiącu, że mi starczy na całe życie.

- Hmm, za późno jest, aby dostać nerki u pani Bridges, ale

zobaczę, co się da zrobić. Miał pan dobry urlop?

- Cudowny, cudowny urlop.

- To dobrze. Miło widzieć, że przybrał pan trochę na wadze. I nie musi się pan też klepać po brzuchu z powątpiewaniem. Trochę tuszy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Nie musi pan być cienki jak szyna kolejowa. Ma pan teraz te rezerwy.

Podczas gdy Grant przebierał się w swoje najlepsze miejskie ubranie, kręciła się po domu i opowiadała plotki i historie, które akurat przychodziły jej do głowy. Wreszcie popędził ją do jej ulubionej czynności - sprzątania, a sam zajął się drobnymi sprawami, które nagromadziły się w czasie jego nieobecności. Potem wyszedł w ciszę wczesnego kwietniowego wieczoru. Zaszedł do garażu, odpowiedział na parę pytań dotyczących urlopu, wysłuchał trzech historii wędkarskich, które już słyszał miesiąc temu przed wyjazdem do Szkocji, i w końcu odzyskał swój mały dwuosobowy samochód, którego używał w prywatnych sprawach.

Znalezienie numeru 5 przy Britt Lane wymagało małych poszukiwań. Znajdował się on w grupie starych domów, które stale ulegały jakimś adaptacjom i przeróbkom. Stajnie zamieniały się w domki, kuchenne skrzydła - w wille, a strychy - w mieszkania. Numer 5 przy Britt Lane zdawał się być jedynie cyfrą na furtce. Furtka była umieszczona w ceglany murze i jej nabijane żelazem, dębowe drewno wydało się Grantowi nieco pretensjonalne w oprawie tak prostej jak londyńska cegła. Furtka była jednak solidna i łatwo się otwierała za naciśnięciem ręki. Wchodziło się przez nią do czegoś, co było kiedyś kuchennym podwórzem, gdy numer 5 był zaledwie oficyną domu stojącego przy następnej ulicy. Teraz podwórze było małym, wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcem z fontanną pośrodku, a dawna oficyna - małym, dwupiętrowym domem o płaskim dachu, ozdobionym sztukateriami i pomalowanym na kremowo.

Przechodząc przez dziedziniec Grant zauważył, że niektóre z kamiennych płyt są wiekowe i bardzo piękne. W myślach przykładał też temu, że Heron Lloyd nie zastąpił zwykłego londyńskiego elektrycznego dzwonka jakimś bardziej wymyślnym urządzeniem. Wróżyło to dobry gust, od którego odstępstwem była jedynie ta pretensjonalna dębowa furka.

Wnętrze domu także odznaczało się arabską surowością i dostatkami przestrzeni, lecz nie stwarzało wrażenia, że choćby kawałek Wschodu został przetransportowany do Londynu. Za plecami służącego, który otworzył drzwi, Grant zobaczył gładkie ściany i bogaty dywan - element zaadaptowany, a nie przywieziony okaz. Jego uznanie dla Herona Lloyda wzrosło.

Służący okazał się Arabem, Arabem z miasta, grubawym, o żywych oczach i nienagannych manierach. Wysłuchał Granta i zapytał łagodnie, przesadnie poprawną angielszczyzną, czy jest umówiony. Grant odrzekł, że nie, ale nie będzie niepokoił pana Lloyda dłużej niż przez chwilę. Pan Lloyd okazałby mu wielką pomoc, udzielając pewnych informacji związanych z Arabią.

- Jeśli zechce pan łaskawie wejść i poczekać przez chwilę, to się zapytam.

Wprowadził Granta do małego pokoju tuż za frontowymi drzwiami, który, sądząc z ograniczonej przestrzeni i skromnego umeblowania, służył właśnie jako poczekalnia. Grant przypuszczał, że ktoś taki jak Heron Lloyd musi być przyzwyczajony do nieznanomych pojawiających się w jego progach i liczących na jego zainteresowanie czy też pomoc. Wielu też z pewnością prosiło o autograf. Ta świadomość pozwoliła Grantowi lepiej znieść niestosowność jego wtargnięcia do tego domu.

Lloyd najwidoczniej nie namyślał się długo nad zasadnością wizyty,

bo służący wrócił po paru chwilach.

- Zechce pan wejść? Pan Lloyd z radością pana przyjmie.

Formuła, ale jaka przyjemna formuła. Jak dobre maniery ułatwiają życie, myślał Grant podążając za mężczyzną po wąskich schodach do dużego pokoju, który zajmował całe pierwsze piętro.

- Pan Grant, *hadži*- powiedział mężczyzna odstępując na bok i pozwalając mu wejść. Grant pochwycił to słowo i pomyślał: To jest pierwsza fałszywa nuta. Anglicy na pewno nie odbywają pielgrzymek do Mekki.

Patrząc na Herona Lloyda w czasie powitania, Grant zastanawiał się, czy Lloyd zainteresował się pustynią dlatego, że wyglądał jak Arab z pustyni, czy też zaczął wyglądać jak Arab po latach spędzonych w pustynnej Arabii. Lloyd był Arabem z pustyni wyidealizowanym do n-tej potęgi. Grant pomyślał z rozbawieniem, że był to Arab z wypożyczalni książek. To na siodle takich Arabów jak Heron Lloyd cnotliwe mężatki z różnych zaułków, ulic i alei były unoszone na zgubę gorszą niż śmierć. Czarne oczy, pociągła brązowa twarz, białe zęby, giętkie ciało, delikatne ręce, pełne wdzięku ruchy. Jednym słowem wszystko jak z siedemnastej strony „Miss Tilly Tally” w ostatniej edycji (dwieście pięćdziesiąt cztery tysiące nakładu, następne wydanie za tydzień). Grant musiał się zganić w duchu, że nie wolno sądzić według wyglądu.

Człowiek ten odbył podróże, które weszły do historii odkryć, i opisał je językiem, który, chociaż trochę soczysty (Grant kupił najnowszy egzemplarz wczoraj po południu w Scoone), był pomimo wszystko językiem literackim.

Heron Lloyd nie był salonowym szejkiem. Nosił zwykle londyńskie ubranie i zachowywał się, jak na nie przystało. Jeśli ktoś nie słyszałby o nim, wzięłby go za londyńczyka z dobrze sytuowanej klasy wolnych zawodów. Może z tych barwniejszych zawodów - na przykład za aktora. Ale mógł też mieć zwykły zawód.

- Panie Grant - powiedział podając mu rękę. - Mahmud mówi, że mogę w czymś panu pomóc.

Jego głos zdumiał Granta. Miał gderliwy ton i pozbawiony był siły. Z niskiego stolika do kawy Lloyd wziął pudełko papierosów i poczęstował nimi Granta. On sam nie pali, mówił, bo w czasie swego długiego życia na Wschodzie przyjął mahometańskie zwyczaje, jednak może polecić te papierosy, jeśli Grant chciałby popróbować czegoś, co smakuje trochę niepowszednio.

Grant wziął papierosa z zainteresowaniem i przeprosił za swoje wtargnięcie. Chciałby wiedzieć, czy młody człowiek o nazwisku Charles Martin szukający informacji o Arabii nie zjawił się kiedyś u niego w ciągu mniej więcej ostatniego roku.

- Charles Martin? Nie. Nie, nie przypuszczam. Wielu tu przychodzi z zapytaniami o to czy tamto. I nie zawsze jestem potem w stanie pamiętać ich nazwiska. Jednak myślę, że powinienem zapamiętać kogoś o tak prostym nazwisku. Jak pan znajduje ten tytoń? Znam każdą piędź ziemi, na której się go uprawia. Piękny kraj, który nie zmienił się od czasu, jak przechodził tamtędy Aleksander Macedoński. - Uśmiechnął się i dodał: - Nie zmienił się poza jednym wyjątkiem, że mieszkańcy nauczyli się uprawiać ten tytoń. Sądzę, że do niego dobrze pasuje niezbyt wytrawne sherry. To następna z tych większych słabości, których unikam.

Ale dla towarzystwa wezmę sobie sok owocowy.

Grant pomyślał, że pustynna tradycja gościnności wobec nieznanego musi być nieco kosztowna w Londynie, gdzie się jest znakomitością i gdzie każdy bez wyjątku ma prawo wpaść z wizytą. Zauważył etykietę na butelce. Jak widać, Lloyd nie jest ani biedakiem, ani też nie brak mu gestu.

- Charles Martin znany był także jako Bill Kenrick - powiedział Grant.

Lloyd opuścił szklankę, którą właśnie zamierzał napełnić, i rzekł:

- Kenrick! Ależ on tu był całkiem niedawno. Mówiąc: całkiem niedawno, mam na myśli parę tygodni temu. W każdym razie ostatnio. Dlaczego miałby mieć drugie nazwisko?

- Sam tego nie wiem. Prowadzę poszukiwania w imieniu jego przyjaciela. Miał spotkać się z nim w Paryżu na początku marca. Mówiąc dokładnie, czwartego. Jednak nie pojawił się. Wykryliśmy, że umarł w wyniku wypadku tego samego dnia, którego powinien był pojawić się w Paryżu.

Lloyd odstawił powoli szklankę na stół.

- A więc to dlatego nie wrócił - powiedział tym swoim gderliwym tonem, który był gderliwy mimo woli. - Biedny chłopak, biedny chłopak.

- Czy umówił się pan z nim na następne spotkanie?

- Tak. Wydał mi się pełen uroku i bardzo inteligentny. Był opętany pustynią... ale może pan wie o tym. Miał różne pomysły dotyczące badań. Sporo młodych ludzi wciąż miewa takie pomysły. Ciągle jeszcze istnieją poszukiwacze przygód, nawet w tym asekuranckim świecie. Z czego powinniśmy się cieszyć. Co się przydarzyło Kenrickowi? Wypadek samochodowy?

- Nie. Upadł w pociągu i roztrzaskał sobie czaszkę.

- Biedaczysko. Biedaczysko. Szkoda. Mógłbym zazdrosnym bogom dostarczyć ludzi bardziej zbędnych od niego. Okrutne słowo: zbędny. Wyraża ideę, która dawniej była nie do pomyślenia. Oto jak daleko zaszliśmy w kierunku ostatecznego barbarzyństwa. Dlaczego pana interesuje, czy Kenrick mnie odwiedził?

- Chcieliśmy odszukać jego ślady. Kiedy zginął, przebrany był za Charlesa Martina i wyposażony w komplet dokumentów Charlesa Martina. Chcemy wiedzieć, w jakim momencie zaczął być Charlesem Martinem. Byliśmy prawie pewni, że opętany pustynią, mógł

odwiedzać w Londynie znawców tego tematu, a ponieważ pan jest ostatecznym autorytetem, zaczęliśmy od pana.

- Rozumiem. A więc z całą pewnością przyszedł mnie odwiedzić jako Kenrick, Bill Kenrick. Ciemnowłosa, młody mężczyzna, bardzo przystojny. Również uparty, w dość miły sposób. Dobre maniere, maskujące nieznanne możliwości. Uznałem, że jest wspaniały.

- Czy przyszedł do pana z jakimiś konkretnymi planami? To znaczy z określoną propozycją?

Lloyd uśmiechnął się lekko.

- Przyszedł do mnie z jedną z najpospolitszych propozycji. Ekspedycja do Wabaru. Czy słyszał pan o Wabarze? Legendarne miasto Arabii. To jest arabskie „miasto płaczu”. Jak często ten motyw powtarza się w legendach! Rasa ludzka czuje się nieskończenie winna wtedy, gdy jest szczęśliwa. Nie umiemy nawet skomentować naszego dobrego zdrowia, aby nie odpukać, przeżegnać się czy w inny sposób odwrócić boski gniew od doczesnej pomyślności. Więc Arabia ma swój Wabar: miasto zostało zniszczone ogniem za swe bogactwa i grzechy.

- I Kenrick myślał, że odkrył to miejsce.

- Był tego pewien. Biedny chłopak, mam nadzieję, że nie potraktowałem go zbyt obcesowo.

- Sądzi pan zatem, że się mylił?

- Panie Grant. Legenda o Wabarze zakorzeniona jest na całym Półwyspie Arabskim, od Morza Czerwonego do Zatoki Perskiej, i w różnych miejscach na tym obszarze domniemane położenie tego miasta jest inne.

- A nie wierzy pan, że ktoś mógłby się natknąć na nie przez przypadek?

- Przez przypadek?

- Kenrick był lotnikiem. Możliwe, że trafił w to miejsce, gdy został zepchnięty z kursu, nieprawdaż?

- Więc rozmawiał o tym z przyjacielem?

- Nie. Z nikim, o ile mi wiadomo, nie rozmawiał. To jest moja własna dedukcja. Co przeszkadza, żeby dokonać odkrycia w ten sposób?

- Oczywiście nic. Nic - o ile to miejsce w ogóle istnieje. Powiedziałem: jest to legenda prawie uniwersalna na całym świecie. Ale kiedy zaczynamy sprawdzać historie o ruinach, to „ruiny” zawsze okazują się czymś innym. Naturalnym ukształtowaniem skał, mirażem, nawet formacją chmur. Uważam, że to, co widział ten biedak Kenrick, było meteorytowym kraterem. Sam widziałem to miejsce. Mój poprzednik odkrył je w trakcie poszukiwań Wabaru. Do złudzenia przypomina twór ludzkich rąk. Wyrzucona ziemia tworzy wieżyczki i postrzępione, podobne do ruin wzgórza. Myślę, że mam gdzieś zdjęcie. Może pan chce zobaczyć: to jest coś wyjątkowego.

Podniósł się i odsunął fragment drewnianej boazerii, odsłaniając półki z książkami, ułożonymi od podłogi do sufitu.

Może to szczęście, że niecodziennie meteoryt tych rozmiarów spada na ziemię.

Z jednej z niższych półek wziął album fotograficzny i wrócił przez pokój, szukając odpowiedniego miejsca. I Grant bez żadnego ostrzeżenia doznał dziwnego uczucia, że coś jest mu znajome, że gdzieś spotkał Lloyda wcześniej.

Spojrzał na zdjęcie, które Lloyd przed nim położył. Było ono niesamowite. Niemalże drwiący pastisz naśladujący ludzką działalność. Jednak jego umysł zaprzątnięty był tym dziwnym wrażeniem, którego doznał przed chwilą.

Może po prostu widział gdzieś fotografię Herona Lloyda? Ale jeśli tak, jeśli widział twarz Lloyda tylko jako uzupełnienie jakiegoś

opisu jego wyczynów, to wrażenie rozpoznania pojawiłoby się od razu, gdy tylko wszedł do pokoju i zobaczył go. A to było nie tyle rozpoznanie, co uczucie, że już skądś Lloyda zna, że widział go w jakichś innych okolicznościach.

- Widzi pan? - mówił Lloyd. - Nawet jak obserwuje się to z ziemi, trzeba się tam wdrapać, aby się upewnić, że to nie jest skupisko ludzkich domostw. O ileż bardziej myląco to musi wyglądać z powietrza.

- Tak - zgodził się Grant, ale nie wierzył w to. Z góry krater byłby wyraźnie widoczny. Wyglądałby dokładnie na to, czym jest: kolistym wgłębieniem otoczonym wyrzuconą ziemią. Ale nie miał zamiaru dzielić się tym z Lloydem. Niech Lloyd mówi. Był coraz bardziej zainteresowany Lloydem.

- Jest to teren leżący bardzo blisko trasy Kenricka przez pustynię. Opisywał mi trasę i myślę, że musiał właśnie to widzieć.

- Czy Kenrick ustalił położenie?

- Nie wiem. Nie pytałem go. Ale jestem skłonny sądzić, że tak. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo zdolnym i inteligentnym człowiekiem.

- Nie pytał go pan o szczegóły?

- Panie Grant, jeśli ktoś powiedziałby panu, że odkrył święte drzewo rosnące na środku Piccadilly, tuż naprzeciwko pubu, czy zainteresowałby się pan tym? Czy też pomyślałby pan, że należy być wobec takiego człowieka cierpliwym. Ja znam Rub al-Chali równie dobrze, jak pan Piccadilly.

- Tak, oczywiście. Więc to nie pan odprowadzał go na dworzec?

- Panie Grant, ja nigdy nie odprowadzam nikogo. Jest to godne ubolewania połączenie masochizmu z sadyzmem. Nawiasem mówiąc, miałbym go odprowadzać na pociąg... Dokąd?

- Na pociąg do Scoone.

- Do Szkocji? Wiedziałem, że potrzebował rozrywki. Dlaczego jednak jechał do Szkocji?

- Nie wiemy. To jest jedna z tych rzeczy, które nas najbardziej niepokoją. Czy nie powiedział panu nic takiego, co mogłoby być wskazówką?

- Nie. Napomknął tylko, że będzie szukał innego poparcia. Ja okazałem się nieużytym mięczakiem. Może znalazł protektora lub liczył na to, że znajdzie kogoś stamtąd. Nikt wprawdzie nie przychodzi mi do głowy tak od ręki. Oczywiście jest Kisney-Hewitt. On ma szkockie koneksje. Lecz myślę, że jest teraz w Arabii.

Zatem Lloyd dostarczył przynajmniej pierwszego rozsądnego wytłumaczenia nagłej wizyty Kenricka na północy. Pojechał tam, aby porozmawiać z ewentualnym protektorem. W ostatniej chwili, kiedy już miał się spotkać w Paryżu z Tadem Cullenem, znalazł protektora, pognał więc na północ, żeby się z nim zobaczyć. To pasuje doskonale. Posuwają się do przodu. Ale dlaczego jako Charles Martin?

Lloyd, jak gdyby odgadując jego myśli, powiedział:

- A propos, jeżeli Kenrick podróżował jako Charles Martin, to w jaki sposób został zidentyfikowany jako Kenrick?

- Jechałem tym samym pociągiem do Scoone. Widziałem go martwego i zainteresowałem się pewnym wierszem, który nagryzmoilił.

- Nagryzmoilił? Na czym?

- Na pustym miejscu w popołudniowej gazecie - powiedział Grant, zastanawiając się, jakie może mieć znaczenie, na czym pisał Kenrick.

- Aha.

- Byłem na urlopie, nie miałem nic innego do roboty, więc bawił mnie ten trop.

- Bawił się pan w detektywa.

- Właśnie.

- Jaki jest pana zawód, panie Grant?

- Jestem urzędnikiem państwowym.
- Aha. Myślałem, że jest pan związany z wojskiem - uśmiechnął się lekko i wziął szklankę Granta, by ją znów napełnić. - W odpowiedniej randze, oczywiście.
- Na przykład oficer Sztabu Generalnego?
- Nie, raczej attaché. Albo ktoś z wywiadu.
- Pracowałem trochę w wywiadzie w czasie mojej kariery wojskowej.
- Więc to tam wyrobił pan sobie zmysł do tych rzeczy. Pozwól sobie powiedzieć... doskonałą intuicję
- Dziękuję.
- Tylko pana niezwykły talent umożliwił zidentyfikowanie Charlesa Martina jako Billa Kenricka. Czy może Kenrick miał coś przy sobie, co ułatwiło identyfikację?
- Nie. Pochowano go jako Charlesa Martina.

Lloyd zrobił pauzę, gdy stawał napełnioną szklankę, a potem powiedział:

- To bagatelizowanie faktu nagłej śmierci jest typowe dla szkockiej mentalności. Oni zawsze są okropnie dumni ze swoich skromnych dochodzeń. Wydaje mi się, że Szkocja musi być idealnym miejscem do popełnienia morderstwa. Jeśli kiedyś będę miał takie zamiary, to zwabię moją ofiarę na północ. ,

- Jak zwykle przeprowadzono śledztwo. Wypadek nastąpił wkrótce po wyjeździe pociągu z Euston.

Lloyd chwilę się zastanawiał.

- Czy nie uważa pan - powiedział - że należy o tym, zameldować policji? Powiadomić ją, że pochowali kogoś pod niewłaściwym nazwiskiem.

Grant chciał wyjaśnić, że jedynym dowodem na to, że zmarły Charles Martin to Kenrick, jest rozpoznanie go na niezbyt dobrym amatorskim zdjęciu, lecz coś go powstrzymało. Zamiast tego rzekł:

- Chcemy wpieryw wiedzieć, dlaczego on miał przy sobie dokumenty Charlesa Martina.

- O, tak, rozumiem. To jest ostatecznie zagadkowa sprawa. Nie zdobywa się dokumentów innego człowieka, bez pewnych... czynności wstępnych. Czy ktoś wie, kto to jest Charles Martin... czy raczej był?

- Tak, policja nie ma żadnych wątpliwości.

- Jedyną niejasnością jest sposób, w jaki Kenrick zdobył te dokumenty. Rozumiem, dlaczego odnosi się pan z niechęcią do źródeł oficjalnych. Co z tym człowiekiem, który go odprowadzał na Euston? Czy mógł to być Charles Martin?

- Przypuszczam, że tak.

- Dokumenty mogły być tylko pożyczone. Kenrick nie zrobił na mnie wrażenia... no, powiedzmy, przestępcy.

- Nie. W świetle wszystkich faktów, nie był przestępcą.

- Wszystko razem to bardzo dziwna sprawa. Ten wypadek, który mu się przydarzył, jak pan wspominał. Przypuszczam, że nie było wątpliwości, że to był wypadek? Czy nic nie wskazuje na to, że odbyła się jakaś kłótnia?

- Nie, to był po prostu upadek, który mógł się zdarzyć każdemu.

- Smutne. Jak mówię, obecnie zbyt rzadko spotyka się u młodych ludzi to połączenie odwagi i inteligencji. Wielu do mnie przychodzi, a nawet przyjeżdżają z daleka, aby mnie odwiedzić...

Mówił dalej, a Grant patrzył na niego i słuchał.

Czy rzeczywiście tak wielu ich tu przychodzi? Lloyd wydawał się bardzo zadowolony z pogawędki z nieznajomym. Nic nie wskazywało na to, że był umówiony z kimś na wieczór lub że na kolację mieli przyjść goście. Siedział i mówił tym swoim cienkim gderliwym głosem, podziwiając swoje dłonie złożone na podolku. Nieustannie zmieniał położenie rąk, nie w formie gestu podkreślającego wypowiedź, ale jak ktoś ustawiający na nowo jakąś dekorację. Grant

uznał tę narcystyczną troskę za fascynującą. Wsłuchał się w ciszę tego domu odgradzonego od miasta i jego ruchu. W biografii z „Who's Who” nie było wzmianki o żonie ani dzieciach. Mieszkał więc tutaj tylko Lloyd i służba. Czyjego zainteresowania wystarczały, żeby wynagrodzić mu brak towarzystwa bliskich ludzi?

On, Alan Grant, również mieszkał samotnie. Jego życie było jednak tak wypełnione ludźmi, że powrót do pustego mieszkania był luksusem, duchową ucztą. Czy taki samotniczy tryb życia sprawiał Lloydowi satysfakcję?

Czy też ten prawdziwy Narcyz nigdy nie potrzebował innego towarzystwa niż własne?

Ciekaw był, ile Lloyd ma lat. Jest na pewno starszy, niż na to wygląda. To weteran wśród badaczy Arabii. Ma pięćdziesiąt pięć albo nawet więcej. W biografii nie podał daty urodzenia, prawdopodobnie zbliża się więc do sześćdziesiątki. Nie miał już przed sobą tak wielu lat, które mógłby poświęcić na uciążliwe wyprawy, nawet jeśli uwzględni się jego dobre warunki fizyczne i kondycję. Co on będzie robił przez pozostałe lata? Spędzi je na podziwianiu własnych rąk?

- Jedyna prawdziwa obecnie demokracja na świecie - mówił Lloyd - a niszczona jest przez to, co nazywamy cywilizacją.

I znów Grant odczuł niepokój, jakby natknął się na coś znajomego, coś, co wywołało nieokreślone skojarzenie. Czyżby spotkał Lloyda już przedtem? Czy też Lloyd przypominał mu kogoś?

Jeśli tak, to kogo?

Musi wydostać się stąd i przemyśleć to wszystko. I tak już czas się pożegnać.

- Czy Kenrick powiedział panu, gdzie się zatrzymał? - zapytał zbierając się do wyjścia.

- Nie. Nie wyznaczaliśmy dokładnie terminu następnego spotkania. Poprosiłem go, aby wpadł jeszcze do mnie, nim opuści

Londyn. Gdy nie przyszedł, byłem przekonany, że jest obrażony, może zły, z powodu mojego braku.... zrozumienia, powiedzmy.

- Tak, to musiało być dla niego ciosem. Przepraszam, że zabrałem panu mnóstwo czasu. Pan okazał dużo cierpliwości. Jestem szalenie wdzięczny.

- Bardzo się cieszę, że mogłem być pomocny. Obawiam się tylko, że ta pomoc nie była wiele warta. Jeśli będzie jeszcze coś, co mógłbym w tej sprawie zrobić, liczę na to, że pan nie zawaha się przyjść do mnie.

- Owszem, jest taka rzecz, ale pan był już tak uprzejmy, że boję się pana o to prosić. Uważam, że moja prośba byłaby trochę nie stosowna.

- A o cóż chodzi?

- Czy mógłby mi pan pożyczyć tę fotografię?

- Fotografię?

- Fotografię meteorytowego krateru. Zauważyłem, że odbitka jest wpięta do albumu, a nie przyklejona. Bardzo chciałbym pokazać to przyjacielowi Kenricka. Solennie obiecuję ją oddać. I w doskonałym....

- Ależ oczywiście, może pan wziąć tę fotografię. I proszę się nie trudzić zwracaniem jej. Zrobiłem to zdjęcie sam i negatyw jest złożony we właściwym miejscu. Mogę z łatwością zrobić nowe odbitki.

Wyjął zdjęcie z klamerek albumu i wręczył je Grantowi. Zszedł z nim na dół, odprowadził do drzwi, porozmawiał chwilę na temat małego dziedzica, wysłuchując pochwał Granfa, i nim zamknął drzwi, odczekał kurtuazyjnie, aż Grant dojdzie do furtki.

Grant wziął popołudniową gazetę, która leżała na fotelu w samochodzie, i ostrożnie włożył zdjęcie pomiędzy jej kartki. Potem pojechał nad rzekę na Embankment.

Pomyślał, że stary gmach jak zwykle przypomina okropną stodołę

majaczącą w półmroku. Tak samo wyglądał wydział daktyloskopii, gdy do niego dotarł. Cartwright właśnie zgasił papierosa na spodeczku filiżanki z nie dopitą zimną herbatą i podziwiał swoją najnowszą robotę: kompletny zestaw odcisków lewej ręki.

- Wspaniale, hm? - powiedział podnosząc głowę, gdy cień Granta padł na niego. - Zaprowadzą Pinky Masona na szubienicę.

- Czy nie stać go było na rękawiczki?

- Oho! Pinky mógłby wykupić koncert „Dents” .Ten mały sprytny facet Pinky po prostu nie mógł uwierzyć, że policji kiedykolwiek wpadnie do głowy coś innego niż samobójstwo. Rękawiczki są dla drobnych włamywaczy i im podobnych. Nie dla mistrzów intelektu takich jak Pinky. Wyjeżdżałeś?

- Tak. Byłem na rybach w Szkocji. Jeśli nie jesteś zbyt zajęty, to czy mógłbyś mi coś zrobić od ręki?

- Teraz?

- Ach nie. Wystarczy jutro.

Cartwright spojrział na zegar.

- Teraz nie mam nic do roboty. Później mam się spotkać z żoną w teatrze. Idziemy na nową sztukę Marty Hallard. Mogę to zrobić teraz, jeśli chcesz. Czy to coś trudnego?

- Nie. Piekielnie proste. Oto tutaj, w dolnym prawym rogu tej fotografii jest piękny odcisk kciuka. A na odwrocie, jak myślę, znajdziesz śliczny zestaw odcisków reszty palców. Chciałbym je sprawdzić w kartotece.

- W porządku. Poczekaasz?

- Teraz idę do biblioteki. Przyjdę tu jeszcze.

W bibliotece wzięła „Who's Who” i poszukała Kinsey-Hewitta. Była o nim bardzo skromna wzmianka w porównaniu z połową szpalty o Heronie Lloydzie. Wynikało z niej, że był dużo młodszy od Lloyd, miał żonę i dwoje dzieci. Adres był londyński. Te „szkockie koneksje”, o których mówił Lloyd, wydawały się mieć związek z

tym, że był młodszym synem jakiegoś Kinsey-Hewitta, który miał posiadłość w Fifeshire.

Istnieje więc możliwość, że jest teraz lub był ostatnio w Szkocji. Grant poszedł do telefonu i wykręcił londyński numer. Kobieta o miłym głosie odrzekła, że męża nie ma w domu. Nie, nie będzie go przez dłuższy czas. Jest w Arabii od listopada i nie należy się go spodziewać wcześniej niż w maju. Grant podziękował i odłożył słuchawkę. To nie do Kinsey-Hewitta pojechał Bill Kenrick. Jutro będzie musiał obejść różnych ekspertów od Arabii, jednego po drugim, i popytać ich o Kenricka.

Po pogawędce z przyjaciółmi, na których natknął się w wydziale, wrócił do Cartwrighta.

- Zrobiłeś już czy też przyszedłem za wcześnie?
- Nie tylko zrobiłem, ale sprawdziłem je dla ciebie. Odpowiedź brzmi: nie.
- No tak, w rzeczywistości ja też niczego się nie spodziewałem. Czyściłem tylko przedpole. Pomimo wszystko bardzo dziękuję. Zdjęcie wezmę ze sobą. Słyszałem, że nowa sztuka Marty Hallard ma okropne recenzje.
- Naprawdę? Nigdy nie czytam recenzji. Beryl też nie. Ona po prostu lubi Martę Hallard. Ja też, jeśli już o to chodzi. Cudowne, długie nogi. Dobranoc.
- Dobranoc i jeszcze raz dzięki.

Rozdział XII

Nie wydaje się pan zachwycony tym gościem - powiedział Tad Cullen, gdy Grant skończył swe opowiadanie przez telefon.

- Czyżby? No, być może nie należy do ludzi, za jakimi

przepadam. Posłuchaj, Tad: czy jesteś całkiem pewien, że nie błysnie ci w zakamarkach mózgu myśl, gdzie Bill mógł się zatrzymać?

- Nie mam zakamarków w mózgu. Mam tylko pod czaszką nieco miejsca, gdzie trzymam wszystko, co mi jest potrzebne. Trochę numerów telefonicznych i parę modlitw.

- No, już dobrze. Chciałbym, abyś jutro obszedł, jeśli zechcesz, te miejsca, które narzucają się w sposób oczywisty.

- Tak, oczywiście. Zrobię wszystko. Wszystko, co pan każe.

- W porządku. Czy masz pióro? Podyktuję ci listę.

Grant podał mu nazwy dwudziestu hoteli, które wytypował. Wychodził przy tym z założenia, że młody człowiek, przybywający z otwartych przestrzeni i małych miast, będzie szukał hotelu, który byłby zarówno duży, jak i wesoły, a przy tym niezbyt drogi. Na wszelki wypadek dodał parę adresów najbardziej znanych drogich hoteli. Młodego człowieka z paromiesięczną pensją stać czasem na ekstrawagancję.

- Nie uważam, żeby trzeba było zawracać sobie głowę czymś ponadto - powiedział.

- A są jeszcze jakieś ponadto?

- Jeśli Bill nie zatrzymał się w żadnym z tych hoteli, to jesteśmy zgubieni, bo wtedy będziemy musieli go tropić we wszystkich hotelach w Londynie, nie mówiąc już o pensjonatach.

- Okay. Zacznę z samego rana. Panie Grant, chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo jestem panu wdzięczny za to, co pan robi dla mnie. Poświęca pan swój czas na coś, czego nikt inny nie chciałby robić. To znaczy, czego nie tknęłaby policja. Gdyby nie pan....

- Posłuchaj, Tad. Ja nie wyświadczam ci łaski. Ja to robię z własnej chęci. Jestem już tak wścibski i to mnie bawi, bo to jest moje hobby. Gdyby tak nie było, wierz mi, nie byłbym dziś w Londynie. Kładłbym się teraz spać w Clune. Więc dobranoc i śpij dobrze.

Rozgryziemy tę sprawę sami. .

Odłożył słuchawkę i poszedł zobaczyć, co pani Tink zostawiła mu w kuchni. Była to jakaś zapiekanka z mięsem. Zaniósł ją do salonu i jadł bezmyślnie, mając głowę zadętą Lloydem. - Co w tym Lloydzie było takiego znajomego?

Cofnął się pamięcią ku chwilom poprzedzającym pierwsze wrażenie, że go już zna. Co Lloyd wtedy robił? Otwierał wnękę biblioteczną. Otwierał ją gestem świadomie eleganckim, nieco ekshibicjonistycznym. Co w tym było takiego, że wywołało jakieś skojarzenie?

Było jeszcze coś bardziej dziwnego.

Dlaczego Lloyd zapytał: „Na czym?”, gdy Grant wspomniał o zapiskach Kenricka?

To z pewnością była niezwykle dziwna reakcja.

Co on dokładnie powiedział Lloydowi? Powiedział, że zainteresował się Kenrickiem z powodu pewnego wiersza, który ten nagryzł. Normalną reakcją byłoby ha pewno pytanie: „wiersza?” Istotnym słowem w zdaniu był wiersz. Sam fakt napisania był o wiele mniej ważny. I to, że reakcją na tę informację było pytanie: „na czym?”, jest niewytłumaczalne.

Z tym, że każda ludzka reakcja jest wytłumaczalna.

Z doświadczenia Grant wiedział, że właśnie słowa oderwane od tematu i nie przemyślane są w wypowiedziach ważne.

Dlaczego Lloyd powiedział: „na czym?”.

Wziął ten problem ze sobą do łóżka i z nim zasnął.

Rano zaczął tropić badaczy Arabii i wcale nie był zdziwiony brakiem rezultatów. Ludzie, którzy traktują badanie Arabii jako hobby, bardzo rzadko mają pieniądze, aby cokolwiek finansować. Wprost przeciwnie, sami zwykle liczą na czyjeś poparcie. Jedyną nadzieją było, że któryś z nich mógłby się interesować tematem do tego stopnia, że byłby gotów podzielić się własną subwencją. Lecz żaden

z nich nigdy nie słyszał ani o Charlesie Martinie, ani o Billu Kenric-ku.

Zanim z tym skończył, była już pora lunchu. Stał przy oknie czekając na telefon od Tada i zastanawiał się, czy wyjść na lunch, czy poprosić panią Tinker, aby zrobiła mu omlet. Był kolejny szary dzień, lecz wiał lekki wiatr, a zapach wilgotnej ziemi kojarzył mu się z prowincją. Świetny dzień na ryby, pomyślał. Marzyło mu się przez chwilę, że schodzi wrzosowiskiem nad rzekę miast, borykać się z londyńskim systemem telefonicznym. To nawet nie musiałyby być rzeka. Wybrałby się po południu na Lochan Dhu w przeciekającej łodzi z Patem do towarzystwa.

Wrócił do biurka i zaczął porządkować poranną pocztę. Wstrzymał się w pół drogi przed wyrzuceniem podartych kartek i pustych kopert do kosza, bo nagle coś sobie uzmysłowił.

Wiedział już, kogo przypominał mu Heron Lloyd. Małego Archie.

Było to tak niespodziewane i tak zabawne, że usiadł na krześle przy biurku i zaczął się śmiać.

Co łączy Małego Arenie z tym eleganckim i wyrafinowanym Heronem Lloydem?

Frustracja? Na pewno nie. Fakt, że jest obcy w kraju, któremu się poświęcił? Nie, zbyt dalekie skojarzenie. Było to coś bliższego.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Doświadczał niepowtarzalnego uczucia ulgi, jak zwykle, gdy przypomni się imię, które się wymknęło pamięci.

Tak, to był Mały Archie.

Ale dlaczego?

Co ma ta absurdalna para ze sobą wspólnego?

Gesty? Nie. Warunki fizyczne? Nie. Głos? Czy to nie było to?

- Próżność, głupcze! - odezwał się wewnętrzny głos.

Tak, to było to. Próżność, patologiczna wprost próżność.

Siedział w ciszy medytując; już nie był rozbawiony.

Próżność. Pierwszy, nieodłączny atrybut występku, niebagatelna cecha umysłowości przestępcy.

Zakładając tylko, że...

Telefon u jego łokcia odezwał się nagłym terkotem.

To był Tad. Doszedł do numeru osiemnastego, jak powiedział, i jest już starym, zmęczonym człowiekiem, ale w jego żyłach płynie krew pionierów, więc dalej prowadzi poszukiwania.

- Rzuć to na chwilę i chodźmy gdzieś coś zjeść.
- O, jadłem już lunch. Kupiłem dwa banany i koktajl mleczny na Leicester Square.
- Boże miłosierny! - powiedział Grant.
- Co w tym złego?
- Krochmal, tylko tyle.
- Przyda się i trochę krochmalu, gdy się jest wymiętym. Poszczyło się panu?
- Niespecjalnie. Jeśli Bill wybierał się na północ do protektora, to mógł to być tylko jakiś amator, który ma pieniądze. Nie ktoś, kto był aktywnie zaangażowany w wyprawę do Arabii.
- Aha. Dobra. Będę teraz robił swoje. Kiedy mam do pana znów zadzwonić?
- Jak tylko dojdiesz do końca listy. Poczekam tu na twój telefon.

Grant zdecydował się zjeść omlet i podczas gdy pani Tinker krzątała się w kuchni, chodził po salonie rozmyślając o próżności i jej konsekwencjach.

Gdyby tylko mieli jakiś punkt zaczepienia. Co będzie, jeżeli Tad dojdzie do końca listy i nic nie uzyska? Jego powrót do pracy jest tylko kwestią dni. Grant zaczął obliczać, ile czasu zajmie Tadowi załatwienie pozostałych czterech hoteli.

Lecz nim zjadł omlet do połowy, zjawił się Tad we własnej osobie. Z wypiekami na twarzy i triumfujący.

- Nie rozumiem, jak panu mogła przyjść do głowy ta nudna, mała buda w związku z Billem - powiedział - ale miał pan rację. To tam właśnie się zatrzymał.
- Co jest tą nudną, małą budą?
- „Pentland”. Dlaczego pan o nim pomyślał?
- Ma doskonałą reputację.
- Ten hotel?
- Niektórzy Anglicy zajeżdżają do niego z pokolenia na pokolenie.
- Właśnie! On na to mi wygląda!
- Więc to tam Bill się zatrzymał. Wiesz, on mi się coraz bardziej podoba.
- Taak - powiedział cicho Tad. Rumieńce triumfu znikły z jego twarzy. - Szkoda, że pan nie znał Billa. Nie znajdzie pan drugiego takiego.
- Usiądź i napij się kawy, to zneutralizujesz swój koktajl mleczny. Czy też wolałbyś coś mocniejszego?
- Nie, dziękuję. Napiję się kawy. Ojej, rzeczywiście pachnie jak kawa - dodał ze zdumieniem w głosie. - Bill wyprowadził się trzeciego. Trzeciego marca.
- Czy zapytałeś się o jego bagaż?
- Pewnie. Na początku wcale nie chcieli się tym zainteresować, ale w końcu wydostali rejestr i powiedzieli, że pan Kenrick nie zostawił nic ani w przechowalni, ani w sejfie.
- To znaczy, że zostawił bagaż w przechowalni dworcowej, żeby mieć go pod ręką, jak wróci ze Szkocji. Jeżeliby miał zamiar lecieć dalej samolotem, zostawiłby go na Euston, aby zabrać po drodze na lotnisko. Jeśli zamierzał przepłynąć się morzem, mógł go zawieźć na dworzec Victoria, zanim pojechał na Euston. Czy on lub morze?
- O właśnie! Nie miał bzika na tym punkcie, ale jego manią były promy.

- Promy?
- Tak. Chyba to się zaczęło wtedy, gdy jako dziecko był w takim mieście: Pompey... Pan wie, gdzie to jest? - Grant skinął głową.
- I cały czas spędził tam na promie za pensa.
- To było za pół pensa.
- No, wszystko jedno.
- Sądzisz, że prom kolejowy mógłby go interesować? Dobrze. Możemy spróbować. Ale jeśli bał się spóźnić na spotkanie z tobą, to chyba powinien był lecieć samolotem. Czy poznałbyś jego walizki, gdybyś je zobaczył?
- O, tak. Zajmowaliśmy razem z Billem służbowy domek. Pomagałem mu w pakowaniu. W istocie jedna walizka jest moja, jeżeli już o tym mowa. On po prostu wziął obie walizki. Powiedział, że jeżeli kupimy dużo rzeczy, to będziemy mogli kupić sobie nową walizkę, aby... - głos Tada gwałtownie się załamał; ukrył twarz w filiżance kawy. Była to duża płaska czarka w różowy chiński wzór. Marta Hallard przywiozła Grantowi cały taki serwis ze Szwecji, gdyż Grant lubił pić kawę z dużych filiżanek. A teraz okazało się, że są też znakomitą osłoną dla wzruszeń.
- Widzisz, nie mamy kwitu, by je odzyskać. A ja nie mogę wystąpić oficjalnie. Znam jednak większość funkcjonariuszy, którzy pełnią służbę na dużych dworcach, więc prawdopodobnie coś zdziałamy. Twoim zadaniem będzie wskazać walizki. Czy Bill lubił etykiety?
- Przypuszczam, że oznaczyłby swoje rzeczy, gdyby zamierzał je tak zostawić. Zaraz, nie sądzi pan, że miał kwit z przechowalni w swoim portfelu?
- Ktoś inny mógł za niego zostawić te walizki. Na przykład osoba, która odprowadzała go na Euston.
- Ten Martin?
- Możliwe. Jeżeli Kenrick pożyczył dokumenty na tę dziwną maskaradę, to musiałby je oddać. Może Martin zamierzał przyjechać

do niego, z jego walizkami, na lotnisko lub na dworzec Victoria albo gdziekolwiek, skąd Kenrick zamierzał wyjechać z Anglii? Wtedy mógłby odebrać swoje dokumenty.

- Tak. To by pasowało. Może byśmy poszukali tego Martina? Dalibyśmy ogłoszenie w rubryce osób zaginionych.

- Nie sądzę, żeby Martin był skory odezwać się, ponieważ wie, że pożyczył dokumenty do jakiegoś oszukaństwa, a sam został bez dowodów tożsamości.

- Tak. Może pan ma rację. W każdym razie on nie zatrzymał się w hotelu.

- Skąd to wiesz? - zapytał zdumiony Grant.

- Przejrzałem rejestr, gdy sprawdzałem podpis Billa.

- Marnujesz się w OCAL-u, Tad. Powinieneś przyjść do nas.

Lecz Tad nie słuchał.

- Nie ma pan pojęcia, co to było za dziwne uczucie, zobaczyć tak nagle pismo Billa pomiędzy tymi wszystkimi obcymi nazwiskami. Aż mi dech zaparło.

Grant wziął zdjęcie „ruin” w kraterze i rzucił je na stół.

- Oto co widział Bill zdaniem Herona Lloyda.

Tad spojrział na zdjęcie z zainteresowaniem.

- To z pewnością jest dziwne, prawda? Jak ruiny drapaczy chmur. Wie pan, zanim zobaczyłem Arabię, myślałem, że to w Stanach Zjednoczonych wynaleziono drapacze. Ale w niektórych z tych starych arabskich miast można czasem znaleźć gmach Empire State, tylko w mniejszej skali. Zdaniem pana Bill widział co innego?

- Tak. Z góry łatwo poznać, że to krater.

- Czy powiedział pan to Lloydowi?

- Nie. Po prostu dałem mu mówić.

- Dlaczego pan tak bardzo nie lubi tego gościa?

- Nie powiedziałem, że go nie lubię.

- Nie potrzebuje pan mówić.

Grant zawahał się, analizując swoje uczucia.

- Odkryłem w nim próżność. Prywatnie czuję wstręt do próżnych, a jako policjant nie dowierzam im.

- Próżność to nieszkodliwy rodzaj słabości - powiedział Tad z tolerancyjnym wzruszeniem ramion.

- I tu właśnie się mylisz. To jest absolutnie destruktywna cecha. Gdy mówisz „próżność”, myślisz o człowieku, który podziwia się w lustrze i kupuje sobie fatałaszkę, aby się wystroić. Ale to jest zaledwie zarozumiałość. Prawdziwa próżność to coś zupełnie innego. To sprawa nie osoby, ale osobowości. Próżność mówi: „muszę to mieć, bo JA tego chcę”. To jest przerażające, bo nieuleczalne. Próżnego nie można nigdy przekonać, że ktoś inny jest coś wart. On po prostu nie rozumie, co się do niego mówi. Raczej zabije człowieka niż zniesie przez parę miesięcy jego uciążliwą obecność.

- Ależ to jest choroba umysłowa.

- Nie w rozumieniu Próżnego. I z pewnością nie w sensie medycznym. To po prostu Próżny postępuje logicznie. Jak powiedziałem, to jest przerażająca cecha. Jedną z głównych cech osobowości przestępców. Przestępca, prawdziwy przestępca, jest przeciwieństwem małego człowieczka, który będąc w potrzebie fałszuje rachunki, lub mężczyzny, który zabija swoją żonę, gdy znajdzie ją w łóżku z kochankiem. Prawdziwi przestępcy różnią się między sobą wyglądem, upodobaniami, inteligencją i metodami, tak jak reszta ludzkości, lecz mają jedną niezmienną cechę wspólną: patologiczną próżność.

Tad wyglądał, jakby słuchał tego jednym uchem, a uzyskane informacje wykorzystywał do jakichś własnych skojarzeń.

- Niech pan posłucha, panie Grant. Czy chce pan powiedzieć, że temu Lloydowi nie można ufać?

Grant przemyślał pytanie.

- Chciałbym to wiedzieć - powiedział. - Chciałbym to wiedzieć.

- No, no! - powiedział Tad. - To z pewnością stawia wszystko w odmiennym świetle, prawda?

- Dzisiaj rano zastanawiałem się długo nad tym, że może ja widziałem już tak dużo próżności u kryminalistów, że zacząłem mieć obsesję na jej punkcie i zrobiłem się nadmiernie podejrzliwy. Na oko Heron Lloyd jest bez zarzutu. Nawet więcej: jest godzien podziwu. Cieszy się świetną opinią, ma doskonały smak, co oznacza naturalne wyczucie proporcji. I osiągnął z pewnością dosyć, by zadowolić nawet najbardziej egoistyczną duszę.

- Ale pan myśli... że jednak jest coś nie tak.

- Czy pamiętasz tego człowieczka w hotelu w Moymore, który usiłował cię nawracać?

- Gnębiona Szkocja! Mały facet w kiltach.

- W kiltach - powiedział Grant odruchowo. - Otóż z jakiegoś powodu Lloyd wywołuje u mnie takie samo wrażenie jak Archie Brown. To jest absurdalne, ale niezwykle silne. Oni mają ten sam... - szukał słowa.

- Zapach.

- Tak. Coś w tym rodzaju. Oni mają ten sam zapach.

Po dłuższej przerwie Tad powiedział:

- Panie Grant, czy wciąż utrzymuje pan, że to, co wydarzyło się Billowi, to był wypadek?

- Tak, bo nie wchodzi w rachubę żadne okoliczności, które by temu przeczły. Jestem jednak całkowicie przygotowany na to, żeby nie uznać tego za wypadek, jeśli tylko będę miał dostateczne powody. Czy umiesz myć okna?

- Czy umiem co?

- Myć okna.

- Chyba mógłbym spróbować, gdybym naprawdę musiał - powiedział Tad wytrzeszczając oczy. - A o co chodzi?

- Może będziesz musiał, zanim skończymy. Chodźmy i odbierzmy te walizki. Mam nadzieję, że będzie w nich informacja, o którą nam chodzi. Właśnie sobie przypomniałem, że Bill zarezerwował sypialny do Scoone na tydzień wcześniej.

- Może jego protektor w Szkocji nie mógł się z nim zobaczyć przed czwartym.

- Możliwe. W każdym razie wszystkie jego dokumenty i rzeczy osobiste będą w jednej z tych walizek i mam nadzieję, że będzie również dzienniczek.

- Bill nie prowadził dzienniczka!

- Nie myślę o czymś w rodzaju pamiętnika, lecz chodzi mi o coś takiego: „spotkanie-Jack-13.15-odwiedzić-Hopsów-19.30”.

- Ach, tak. Owszem, chyba robił notatki. W takim razie i nazwisko ewentualnego protektora w Londynie by zanotował. Człowieku! To może jest wszystko, czego nam trzeba!

- To będzie wszystko, czego nam trzeba. Jeżeli tam jest.

Ale nic tam nie było.

W ogóle nic.

Zaczęli poszukiwania, czując skrzydła u ramion, niefrasobliwie, od najbardziej oczywistych miejsc: Euston, port lotniczy, Victoria.

- Witam inspektorze. Czym mogę panu dzisiaj służyć?

- Możecie pomóc mojemu przyjacielowi z Ameryki.

- Tak? Bilet na pociąg o trzeciej trzydzieści?

- Nie, to nam niepotrzebne. On chciałby wiedzieć, czy jego przyjaciel nie zostawił tu dwóch walizek. Pozwolicie, że się rozejrzemy? Nie chcemy niczego ruszać. Tylko popatrzmy.

- No, to jeszcze w tym kraju wolno robić, panie inspektorze, niezależnie od tego, czy pan w to wierzy czy nie. Bardzo proszę przejść do środka.

Przechodzili więc do środka. Za każdym razem przechodzili do środka. I za każdym razem rzędy ułożonego bagażu spoglądały na nich wzgardliwie i obco. Były tak obce, jak mogą być jedynie cudzie rzeczy.

Z miejsc najbardziej prawdopodobnych przenieśli się do mniej pewnych, ostudzeni w zapale i zaniepokojeni. Liczyli na dzienniczek, na jakieś notatki. Teraz zadowoliliby ich sam widok walizek Kenricka.

Lecz tych walizek nie było na żadnej z półek.

Fakt ten tak zdumiał Tada, że Grant miał trudności z wyciągnięciem go z ostatnich przechowalni, które im zostały. Chodził wciąż wkoło zapełnionych półek w pełnym niedowierzania zaślepieniu.

- One tu muszą być - mówił. - Muszą być tutaj.

Ale ich nie było.

Gdy zgnębieni wyszli na ulicę po wyczerpaniu wszystkich możliwości, powiedział:

- Panie inspektorze, panie Grant, gdzie jeszcze można zostawić bagaż po wyprowadzeniu się z hotelu? Czy tu są takie oddzielne, zamykane skrytki?

- Tylko na ograniczony czas. Dla ludzi, którzy chcą zostawić walizkę na parę godzin, podczas gdy sami mają coś do załatwienia.

- Więc gdzie są rzeczy Billa? Dlaczego nie ma ich w żadnym z tych miejsc.

- Nie wiem. Mogą być na przykład u jego dziewczyny.

- Jakiej dziewczyny?

- Nie wiem. Był młody, przystojny i samotny. Miałby naprawdę duży wybór.

- Tak, oczywiście. Ma pan rację. To mi coś przypomniało. - Z jego twarzy zniknął wyraz zablakania i bezradności. Popatrzał na zegarek. Była już prawie pora kolacji. - Umówiłem się z tą dziewczyną z baru mlecznego - spojrzął na Granta i zmieszał się lekko. - Ale ja ją odstawię, jeśli pan sądzi, że mogę się przydać.

Grant posłał go na spotkanie z lekkim uczuciem ulgi. To wszystko przypominało trochę spacer z osieroconym psiakiem. Grant postanowił zjeść dziś później kolację i najpierw odwiedzić kolegów z policji.

Wstąpił na komisariat przy Astwick Street i powitany został tym samym zdaniem, którego słuchał całe popołudnie i wieczór:

- Witam, inspektorze, czym możemy panu dzisiaj służyć?

Grant chciał się dowiedzieć, kto ma teraz rejon ulicy Britt Lane.

Rejonowym jest posterunkowy Bithel, numer 30.1 jeżeli inspektor życzy sobie zobaczyć się z nim, to właśnie teraz jest w kantine i zajada kielbasę z kartoflami.

Grant znalazł numer 30 siedzący samotnie przy stole w dalekim kącie sali. Miał przed sobą gramatykę francuską. Patrząc na niego, siedzącego w nieświadomości, Grant pomyślał, jak bardzo zmieniła się mentalność londyńskiego policjanta w ostatnim ćwierćwieczu. On sam był przykładem odchylenia od normy; z tego faktu umiał zresztą korzystać w różnych sytuacjach. Posterunkowy Bithel był ciemnowłosym, drobnym chłopcem z hrabstwa Down o matowej bladej twarzy i powolnej, starannej wymowie. Gramatyka francuska i staranna wymowa rokowały posterunkowemu Bithelowi wielką przyszłość.

Chłopak podniósł się na powitanie, ale Grant posadził go i powiedział:

- Jest taka drobnostka, którą mógłbyś dla mnie zrobić. Chciałbym wiedzieć, kto myje okna przy Britt Lane numer 5. Mógłbyś zrobić mały wywiad...

- Dom pana Lloyda? - zapytał chłopak. - To robi Richards.

Tak, tak, posterunkowego Bithela czeka wielka przyszłość. Trzeba mieć oko na posterunkowego Bithela.

- Skąd to wiesz?

- Spędzam z nim trochę czasu, kiedy mam obchód. Trzymaj

swój wózek z rupieciami w tych dawnych stajniach, trochę dalej na Britt Lane.

Grant podziękował przyszłemu nadinspektorowi i odszedł poszukać Richardsa. Richards mieszkał nad swoim dobytkiem. Był to zdemobilizowany żołnierz, nieżonaty, i miał jedną nogę krótszą. Hołubił kota, kolekcję porcelanowych kufli i opanowany był namiętnością do gry w strzałki. A od tej gry był już tylko krok do małego sam na sam z Richardsem.

Zrobienie tego kroku zajęło jednak Grantowi aż dwie godziny. Lecz ostatecznie miał Richardsa dla siebie, w kącie pubu, z kuflem piwa. Rozważał, czy pokazać mu swoją legitymację i użyć oficjalnych środków do nieoficjalnej sprawy, czy też potraktować to jako małą przysługę wyświadczoną sobie przez weteranów, gdy nagle Richards powiedział:

- Szanowny pan wcale nie przytył w ciągu tych lat.
- Czy ja pana gdzieś spotkałem? - zapytał Grant, nieco zaniepokojony tym, że czyjaś twarz wyleciała mu z pamięci.
- W Camberley. Tak dawno, że aż strach. I nie musi się pan martwić, że mnie pan nie pamięta - dodał - gdyż wątpię, czy mnie pan kiedykolwiek widział. Byłem kucharzem. Pan jeszcze w wojsku?
- Nie, jestem policjantem.
- Bez żartów! No, no. Powiedziałbym, że był pan pewniakiem na stanowisko Szefa Sztabu Imperium Brytyjskiego. Teraz już wiem, dlaczego pan się tak palił, żeby znaleźć się ze mną w tym kącie. A ja myślałem, że to mój sposób na strzałki zawojował pana!

Grant roześmiał się,

- Tak, chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił, ale to nie jest żadna oficjalna sprawa. Czy nie wzięłby pan na jutro ucznia za niewielką opłatą?
- Mycie jakichś szczególnych okien? - zapytał Richards po krótkim namyśle.

- Britt Lane numer 5.
- Oho! - powiedział Richards ubawiony. - Sam bym chętnie zapłacił za mycie tych okien.
- Dlaczego?
- Bo ten drań nigdy nie jest zadowolony. Ale w tym nie ma żadnego hokus-pokus, prawda?
- Ani hokus, ani pokus. Nic nie zostanie z domu zabrane ani nawet ruszone. Ręczę za to. Co więcej, mogę sporządzić umowę na piśmie, jeśli to mogłoby pana uspokoić.
- Wystarczy mi pana słowo. A pański człowiek niech ma przywilej umycia okien pana Cacusia Lloyda za darmo - podniósł swój kufel. - No to za stare bystre oko. O której przyjdzie jutro ten pana uczeń?
- O dziesiątej wystarczy?
- Powiedzmy o pół do jedenastej. Pana sympatia wychodzi z domu najczęściej około jedenastej.
- Jest pan bardzo przewidujący.
- Wykonam swoją robotę wcześniej i oczekuję go u siebie, Britt Mews numer 3, wpół do jedenastej.

Nie było sensu powtórnie dzwonić do Tada Cullena tego wieczoru, Grant zostawił więc dla niego wiadomość w „Westmorlandzie”, z prośbą, aby przyszedł do jego mieszkania zaraz po śniadaniu.

Potem wreszcie zjadł kolację i z zadowoleniem poszedł spać. Gdy zapadał w sen, nagle odezwał się głos:

- Bo on wiedział, że nie ma na czym pisać.
- Co? - powiedział budząc się. - Kto wiedział?
- Lloyd.
- Powiedział to, bo był wstrząśnięty.
- To raczej wyglądało na zdumienie.
- Był zdumiony, bo wiedział, że Kenrick nie miał na czym pisać. Leżał myśląc o tym, dopóki nie zasnął.

Rozdział XIII

Tad przybył niezwykle wypucowany i lśniący, zanim Grant skończył jeść śniadanie. Był jednakże zatroskany i Grant dobrze się napracował, by wydobyć go z nastroju skruchy („Panie Grant, nie mogę oprzeć się uczuciu, że opuściłem pana w samym środku akcji”), nim do czegokolwiek się nadawał. W końcu rozchmurzył się, gdy się dowiedział, że na ten dzień są konkretne plany.

- To znaczy, że pan mówił serio o myciu okien? Myślałem, że to tylko... coś w rodzaju przenośni. Tak się mówi: „będę musiał się utrzymywać ze sprzedaży zapalek, jak tak dalej pójdzie”. Dlaczego mam myć okna u Lloyd’a?

- Bo to jest jedyny uczciwy sposób postawienia stopy w tym domu. Moi koledzy mogą ci wytknąć, że nie masz prawa odczytywać stanu licznika gazowego ani sprawdzać instalacji elektrycznej czy telefonu. Będą jednak musieli uznać, że ty zawodowo myjesz okna i że legalnie robisz tę robotę. Richards, twój szef na dzisiaj, twierdzi, że Lloyd wychodzi prawie codziennie około jedenastej, i on cię tam weźmie, gdy tylko Lloyd sobie pójdzie. Richards oczywiście też tam będzie i będzie z tobą pracował. Przedstawi cię jako swojego pomocnika, który uczy się zawodu. W ten sposób będziesz wpuszczony bez podejrzeń i potem zostawiony sam.

- No, więc jestem sam.

- Na biurku w dużym pokoju, który zajmuje prawie całe pierwsze piętro, leży terminarz. Taki duży, bardzo drogi przedmiot w czerwonej skórce. To biurko nie jest zamykane i stoi na wprost środkowego okna.

- Więc?

- Chcę znać zapiski Lloyd’a na trzeciego i czwartego marca.

- Myśli pan, że on może jechał tym pociągiem, co?
- Tak czy inaczej, chciałbym być pewien, że nie jechał. Gdy będę wiedział, jakie spotkania miał zaplanowane, będę mógł bardzo łatwo ustalić, czy odbyły się czy nie.
- Okay. To jest całkiem proste. Cieszę się na to mycie okien. Zawsze zastanawiałem się, co mógłbym robić, gdy będę za stary na to, by latać. Równie dobrze mógłbym myć okna, a choćby w nie zaglądać.

Wyszedł uradowany i najwidoczniej nie pamiętał już, że pół godziny temu czuł się „gorzej niż robak w błocie”. Natomiast Grant zaczął szukać w pamięci jakichś znajomych, którzy również mogli znać Lloyda. Przypomniał sobie, że nie zadzwonił jeszcze do Marty Hallard, by powiedzieć, że już wrócił do Londynu. Mogło być jeszcze nieco za wcześnie, mógł ją obudzić, ale postanowił zaryzykować.

- Ach, nie - powiedziała Marta - nie obudziłeś mnie. Jestem teraz w połowie śniadania i spożywam codzienną porcję wiadomości. Codziennie sobie przysięgam, że już nigdy nie przeczytam gazety, i co rano ta piekielna rzecz leży i czeka na otworzenie, i codziennie rano ją otwieram. Wpływa to źle na moje soki trawienne, usztywnia arterie, a makijaż za pięć gwinei spada mi z szelestem z twarzy. Jednak muszę codziennie truć się na nowo. Jak twoje zdrowie, kochanie? Czy czujesz się lepiej?

Wysłuchiwała jego odpowiedzi bez przerywania. Jedną z najbardziej czarujących cech Marty była jej zdolność do słuchania. U większości jego przyjaciółek cisza oznaczała, że przygotowują właśnie następną mowę i tylko czekają na właściwy moment, aby ją wygłosić.

- Zjedz dzisiaj ze mną kolację. Będę sama - powiedziała, gdy usłyszała o Clune i o tym, że odzyskał zdrowie.

- Odłóżmy to na początek przyszłego tygodnia, dobrze? Jak idzie twoja sztuka?

- Cóż, kochanie, szłaby o wiele lepiej, gdyby Ronnie na scenie czasem mówił do mnie zamiast do publiczności. On twierdzi, że to podkreśla alienację postaci. Bzdura. Po prostu wypycha się na rampę i pozwala pierwszym rzędom liczyć swoje rzęsy. Jednak ja osobiście sądzę, że to po prostu kac po czasach musicalu.

Porozmawiali trochę o Ronniem i o sztuce, a potem Grant zapytał:

- A tak nawiasem mówiąc, czy ty może znasz Herona Lloyda?

- Tego człowieka od Arabii? Trudno powiedzieć, że znam. Raczej nie. Ale, jak mniemam, jest prawie takim samym krętaczem jak Ronnie.

- Jak to?

- Rory, mój bratanek, miał bzika na punkcie wypraw do Arabii, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego ktoś może chcieć jechać do Arabii: kurz i kupa staroci. W każdym razie Rory chciał jechać z Heronem Lloydem, ale widać Heron Lloyd podróżuje tylko z Arabami. Rory, który jest miłym dzieckiem, mówi, że to dlatego, że Lloyd jest bardziej arabski niż niejeden szejek. Jednak ja osobiście sądzę - będąc istotą prymitywną, szelmą i leniuchem - że on po prostu cierpi na tę samą dolegliwość co Ronnie i pragnie mieć całą scenę dla siebie.

- Co teraz robi Rory? - zapytał Grant porzucając temat Herona Lloyda.

- Ach, jest w Arabii. Wziął go ktoś inny. Kinsey-Hewitt. Rory nie da sobie tak łatwo utrzyć nosa. Czy odpowiada ci wtorek? Mam na myśli tę kolację.

Tak, odpowiada mu wtorek. Zanim nadejdzie wtorek, on już będzie w pracy, a sprawę Billa Kenricka, który przybył do Anglii oczarowany Arabią i umarł jako Charles Martin w pociągu zdążającym

do Szkocji, będzie trzeba odłożyć na bok. Miał jeszcze tylko kilka dni.

Poszedł do fryzjera, aby zastanowić się w tej relaksującej i hipnotycznej atmosferze, czy czegoś nie zaniedbali. Tad Cullen jadł lunch ze swoim szefem. „Richards nic za to nie weźmie - powiedział Tadowi – „więc weź go gdzieś na lunch, daj mu zjeść po królewsku, a ja za to zapłacę”.

„Wezmę go, ugoszczę jak się patrzy i będzie mi bardzo miło”, powiedział Tad, „ale niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę, aby pan za to płacił. Bill Kenrick był moim kumplem, nie pana”.

Grant zanurzył się w ciepłej, wonnej atmosferze zakładu fryzjerskiego i próbował wymyślić, co mogliby jeszcze zrobić, aby znaleźć walizki Billa Kenricka. Ale to Tad, gdy wrócił, przedstawił konkretną propozycję.

- Czemu by - powiedział Tad - nie poszukać tej dziewczyny za pomocą ogłoszenia?

- Jakiej dziewczyny?

- Tej dziewczyny, która ma jego bagaż. Ona nie ma powodów, by się kryć, jeżeli tylko nie skorzystała z zawartości walizek, co się też zdarza. Lecz Bill ma... miał na to za dobre oko. Dlaczego nie napisać dużymi literami: BILL KENRICK, aby się rzuciło w oczy. Chwyta pan to? A potem po prostu: „Przyjaciel niech się skontaktuje z numerem takim-a-takim”. Czy stoi coś na przeszkodzie?

Nie, Grant nie widział nic, co stałoby na przeszkodzie, lecz jego wzrok przylgnął już do kawałka papieru, który Tad wydostawał z kieszeni.

- Znalazłeś terminarz?

- Ach, tak. Wystarczyło się tylko schylić i przepisać. Wydaje się, że ten gość nie ma nic do roboty. Jest to najnudniejsza lista zajęć pod słońcem jeśli nie liczyć regulaminu więziennego. Nic ciekawego od początku do końca. I w końcu dla nas też nic dobrego.

- Nic dobrego?

- Wydaje się, że był zajęty. Czy mam napisać to ogłoszenie do gazet?

- Tak, napisz. Na biurku jest papier.

- Do jakich gazet to wyślemy?

- Napisz sześć razy, a zaadresować możemy później.

Spojrzał na pozycje w terminarzu Lloyda, które Tad przepisał swoim dzieciennym pismem. Zapiski na trzeciego i czwartego marca. Gdy je czytał, objawiła mu się cała absurdalność jego podejrzeń. Czy jego umysł wciąż jeszcze był przewrażliwionym umysłem chorego człowieka? Jak mógł w ogóle kiedykolwiek ubzdurać sobie, że Herona Lloyda mogło coś pchnąć do morderstwa? Bo to właśnie sobie umyślił. Ze jakoś, w sposób, którego nie mogli dociec, Lloyd był odpowiedzialny za śmierć Kenricka.

Spojrzał na nie budzące wątpliwości notatki i pomyślał, że nawet gdyby dowiedziono Lloydowi, że nie stawił się na któreś z tych spotkań, nikt nie przypisywałby tej nierzetelności większego znaczenia niż należało: Lloyd mógł po prostu źle się poczuć lub się rozmyślił. Wieczorem trzeciego był na kolacji. „Towarzystwo Zdobywców”, „Normandie”, 19.15, brzmiała notatka. Następnego ranka o 9.30 miała przybyć ekipa filmowa „Magazynu Pathé” i zrobić z nim to-czy-owo do ich serii „Znakomitości w zaciszu domowym”. Wydawało się, że Heron Lloyd miał ważniejsze rzeczy na głowie niż zajmować się nieznanym lotnikiem, który upierał się, że widział ruiny na piaskach Arabii. .

- Ale on zapytał, na czym? - odezwał się głos.

- W porządku. Powiedział „na czym”. Ładnie by to wyglądało, gdyby miało się być sądzonym na podstawie każdej nierozważnej uwagi.

Komisarz kiedyś mu powiedział: „Ma pan najcenniejszą w naszym zawodzie zaletę, a jest nią intuicja. Lecz nich pan nie pozwoli, aby pana zawojowała. Niech pan nie pozwoli wyobraźni zawładnąć

sobą. Niech będzie pana sługą”.

Groziło mu, że jego intuicja całkowicie go zniewoli. Musi się wziąć w garść.

Wrócił do punktu, gdzie był, zanim odwiedził Lloyda. Z powrotem w towarzystwo Billa Kenricka. Z powrotem od obłądnych wyobrażeń do faktów. Twardych, nagich i bezkompromisowych faktów.

Spojrzał na Tada, który z nosem przy papierze tropił swoje pióro na kartce, tak jak terier węszy za pająkiem po podłodze.

- Jak twoja mleczno-barowa pani?
 - O, świetna, świetna - powiedział Tad z roztargnieniem, nie podnosząc wzroku znad swej roboty.
 - Spotkasz się z nią jeszcze?
 - Uuu-hm. Wychodzę z nią dziś wieczorem.
 - Czy myślisz, że to znajomość na dłużej?
 - Może - powiedział Tad, a potem, gdy uświadomił sobie to niezwykle zainteresowanie, podniósł wzrok i zapytał: - A to do czego potrzebne?
 - Myślę o opuszczeniu cię na kilka dni i chciałbym się upewnić, że nie będziesz się nudził, gdy zostaniesz sam.
 - Ach, nie! Dam sobie radę. Już czas, jak sądzę, żeby pan zrobił przerwę i mógł się zająć własnymi sprawami. Pan i tak zrobił za dużo.
 - Ja wcale nie robię przerwy. Zamierzam polecieć w odwiedziny do bliskich Charlesa Martina.
 - Bliskich?
 - Do jego rodziny. Mieszkają tuż pod Marsylią.
- Twarz Tada, która przed chwilą przypominała oblicze zagubionego dziecka, znów się ożywiła.
- Czego się pan po nich spodziewa?
 - Niczego się nie spodziewam. Po prostu zaczynam od drugiego końca. Z Billem Kenrickiem zaszliśmy w ślepy zaułek, chyba że ta jego hipotetyczna dziewczyna odpowie na ogłoszenie, a to nastąpi

najwcześniej za dwa dni, więc spróbujemy od strony Charlesa Martina i zobaczymy, co nam to da.

- Świetnie. A może ja bym z panem pojechał?

- Nie, Tad. Myślę, że lepiej będzie, gdy posiedzisz tutaj i będziesz sprawował Naczelne Dowództwo nad Prasą. Sprawdzisz, czy wszystkie ogłoszenia zostały zamieszczone, i będziesz zbierał odpowiedzi.

- Pan jest szefem - powiedział Tad z rezygnacją w głosie. - Ale tak chciałbym zobaczyć Marsylię.

- Ona nie jest taka, jak ją sobie wyobrazasz - powiedział Grant ubawiony.

- Skąd pan wie, jak ja ją sobie wyobrażam?

- Mogę się domyślić.

- No, dobra. Ostatecznie mogę siedzieć na stołku i patrzeć na Dafne. Co za śmieszne imiona mają dziewczyny w tej krainie. W barze są przeciągi, ale mogę za to policzyć, ile razy ludzie mówią dziękuję, kiedy obsługują innych ludzi.

- Jeżeli poszukujesz niesprawiedliwości, to znajdziesz jej tyle samo na bruku Leicester Square co na Cannebiere.

- Być może, ale chciałbym, aby ta niesprawiedliwość miała trochę o-la-la.

- Czy Dafne tego nie ma?

- Dafne jest bardzo tiu-tiu-tiu. Mam okropne podejrzenie, że ona nosi wełniane majtki.

- Skoro jest kwiecień, z pewnością musi je nosić w barze mlecznym na Leicester Square. Wygląda na miłą dziewczynę.

- Ach, ona jest świetna. Ale niech pan nie siedzi tam zbyt długo, bo w przeciwnym razie odezwie się we mnie lew i wsiądę W pierwszy samolot do Marsylii, aby dołączyć do pana. Kiedy pan zamierza jechać?

- Jutro rano, jeżeli dostanę bilet. Posuń się, abym mógł sięgnąć do telefonu. Jeśli uda mi się dostać na samolot wcześniej rano, to

przy odrobinie szczęścia będę mógł wrócić pojutrze. Jeśli nie, to najpóźniej w piątek. Jak powiodło ci się z Richardsem?

- O, to świetny kumpel. Ale jestem trochę rozczarowany.
- Czym?
- Możliwościami tego zawodu.
- Czy to się nie opłaca?
- Jeśli chodzi o zarobek, to może się opłaca. Ale niech mi pan wierzy, wszystko, co widać z drugiej strony okna, to własne odbicie w szybie. Jak się nazywają te gazety, do których chce pan wysłać ogłoszenie?

Grant podał mu nazwy sześciu gazet o największym nakładzie i odesłał go z błogosławieństwem, by spędzał czas, jak sobie życzy, zanim się znów zobaczą.

- Ja naprawdę chciałbym pojechać z panem - raz jeszcze powiedział Tad wychodząc i Grant zastanowił się, co jest większym absurdem: wyobrażanie sobie południa Francji jako wielkiej speluny czy jako delikatnej mimozy. Bo tym właśnie Marsylia była dla Granta.

- Francja! - powiedziała pani Tinker. - Kiedy pan dopiero co wrócił z zagranic!

- Szkocja to może zagranica, ale południe Francji to tylko przedłużenie Anglii.

- To bardzo kosztowne przedłużenie, jak słyszałam. Rujnująca. Kiedy pan zamieruje wrócić? Mam dla pana cudownego kurczaka od Carry'ego.

- Pojutrze, mam nadzieję. Najpóźniej w piątek.

- Aha, to się nie zepsuje. Nie chciałby pan, abym w takim razie przyszła jutro wcześniej?

- Myślę, że wyjdę, zanim przyjdiesz. Możesz więc jutro później wstać.

- To nie będzie odpowiadało Tinkerowi, oj, nie. Ale uwinę się z zakupami przed przyjściem. No, to niech pan będzie ostrożny,

uważa na siebie i nie nadweręża zdrowia. Żeby po powrocie nie wyglądał pan gorzej niż wtedy, gdy pan wyjeżdżał do Szkocji. Mam nadzieję, że będzie pan miał znakomitą pogodę.

Naprawdę znakomita, pomyślał Grant patrząc na panoramę Francji następnego ranka. Z tej wysokości, tego kryształowego poranka wyglądała jak ozdobiona brylantami mozaika osadzona w lazurycie morza. Jak dzieło Fabergé'a". Nie ma się co dziwić, że lotnicy mają na ogół obojętny stosunek do świata. Co ma wspólnego świat - jego literatura, muzyka, filozofia czy też historia - z człowiekiem, który codziennie widzi ten świat takim, jakim jest w istocie: okruczem fabergéowskiego nonsensu?

* Karl Gustanowicz Fabergé (1846-1920) złotnik rosyjski, znany z niezwykle fantastycznych dzieł.

Marsylia z bliska nie wyglądała na dzieło jubilera. Było to normalne, hałaśliwe i zatłoczone miasto, wypełnione niecierpliwym trąbieniem taksówek i zapachem stęchłej kawy. Jednak świeciło słońce, pasiaste markizy trzepotały z lekka na wietrze idącym od Morza Śródziemnego i mimozy prezentowały w rozrzutnych ilościach swą bladą i kosztowną żółtość. Uważał, że ten obraz komponował się doskonale z szarością i czerwienią Londynu. Gdyby kiedykolwiek był bogaty, zleciłby jednemu z najlepszych artystów na świecie wykonanie dla niego dwóch płócien: na jednym byłoby chiaroscuro* Londynu, a na drugim jasny, zdecydowany blask Marsylii. Albo może musieliby to zrobić dwaj artyści. Ktoś, kto potrafiłby przekazać obraz Londynu w szary kwietniowy dzień, nie byłby w stanie namalować Marsylii w wiosenne południe.

* Chiaroscuro- technika malarska, światłocien.

Przestał jednak myśleć o artystach i zgasła w nim chęć oglądania Marsylii jasnej i błyszczącej, gdy dowiedział się, że rodzina Martińców opuściła swoje przedmieście zaledwie tydzień temu i udała

się w nieznane strony. To znaczy nieznane dla sąsiadów. Zanim z pomocą miejscowych władz odkrył, że „nieznane strony” oznaczały zaledwie Tulon, zmarnował mnóstwo cennego czasu. Jeszcze więcej go stracił na podróż do Tulonu i odszukanie Martinów w mrowiu mieszkańców.

W końcu jednak odnalazł ich i wysłuchał, co mieli do powiedzenia, a było tego niewiele. Charles był „złym chłopcem” - mówili z całym uprzedzeniem Francuzów do kogoś, kto odstąpił od najwyższego francuskiego boga: Rodziny, którą czczą bałwochwalczo. Zawsze był nieposłusznym i zawziętym osobnikiem, był też (zbrodnia nad zbrodnię we francuskim pojęciu) leniwy. Z gruntu leniwy. Wyjechał pięć lat temu z powodu kłopotu z pewną dziewczyną - nie, nie, on ją tylko drasnął nożem - i nie zadał sobie trudu napisać potem do nich. Przez te lata nie mieli od niego żadnych wiadomości, z tym tylko wyjątkiem, że jakieś trzy lata temu jeden kolega natknął się na niego w Port Saidzie. Ten kolega powiedział, że Charles zajmuje się pokątnym handlem używanymi samochodami. Kupował rupiecie, trochę przy nich majstrował i potem je sprzedawał. Był bardzo dobrym mechanikiem, mogłoby mu się dobrze powodzić. Mógł mieć własny garaż i pracowników, gdyby nie był tak leniwy. Z gruntu leniwy. Jego lenistwo było chorobliwe. Nie słyszeli o nim nic więcej aż do czasu, gdy poproszono ich o zidentyfikowanie zwłok.

Grant zapytał, czy nie mają fotografii Charlesa.

Tak, mają kilka, ale oczywiście to są zdjęcia dawne, wtedy był dużo młodszy.

Pokazali mu fotografie i Grant zrozumiał, dlaczego w zdjęciu martwego Bilia Kenricka rodzina rozpoznała Charlesa Martina. Szczupły ciemnowłosy mężczyzna z wyraźnie zarysowanymi brwiami, zapadniętymi policzkami i prostymi ciemnymi włosami był podobny do innego młodego człowieka, w chwili gdy zgasła wraz

z życiem jego osobowość. Prawdę mówiąc różnili się nawet kolorem oczu. No cóż, ojciec Martina dostaje wiadomość: pański syn zmarł w wyniku tragicznego wypadku. Proszę łaskawie potwierdzić jego tożsamość. Osieroconemu ojcu przedstawia się papiery i rzeczy zmarłego syna i prosi o ich zidentyfikowanie. Ojciec przyjmuje do wiadomości to, co widzi, a widzi to, co spodziewa się zobaczyć. Nie przyjdzie mu do głowy zapytać: czy ten człowiek miał oczy niebieskie czy brązowe?

Z kolei Grant został poddany indagacjom. Rodzina Martina wypytywała go, dlaczego interesuje się Charlesem? Czy Charles pomimo wszystko zostawił jakieś pieniądze? Czy może Grant szuka legalnych spadkobierców?

Nie, Grant chciał odszukać Charlesa, gdyż prosił go o to przyjaciel Charlesa, który znał go z wybrzeża Zatoki Perskiej. Nie, nie wie, czego chce ten przyjaciel. Domyśla się, że chodziło o jakąś propozycję przyszłej współpracy.

Wedle opinii wyrażonej przez rodzinę Martinów, przyjaciel jest szczęściarzem, skoro do tej współpracy nie doszło.

Poczęstowali go armaniakiem, kawą i małymi ciasteczkami z kryształkami cukru na wierzchu, i zapraszali, żeby wpadł do nich, kiedy będzie znowu w Tulonie.

Wychodząc zapytał, czy mają jakieś papiery syna. Powiedzieli, że tylko osobiste: jego listy. Urzędowymi dokumentami nikt im nie zawracał głowy. Bez wątplenia były wciąż na policji w Marsylii, która pierwsza się z nimi skontaktowała, gdy wydarzył się ten wypadek.

Grant zmarnował jeszcze trochę czasu, żeby się pokumać z funkcjonariuszami w Marsylii. Pokazał im swoją legitymację i poprosił o

wypożyczenie dokumentów. Wypił szklaneczkę soku i podpisał kwit. Następnie w piątek po południu złapał samolot do Londynu.

Miał jeszcze dwa dni czasu. A dokładnie, jeden dzień i niedzielę.

Gdy leciał nad Francją, była wciąż jeszcze mozaiką z klejnotów. Ale Wielka Brytania znikła całkowicie. Poza znanym zarysem wybrzeża zachodniej Europy nie istniało nic, tylko ocean mgły. Bardzo dziwnie i niekompletnie wyglądała ziemia bez znajomego kształtu tej wyjątkowej wyspy. Przypuśćmy, że nigdy tej wyspy nie było - jakże inaczej wyglądałaby historia świata. Było to fascynujące rozmyślanie. Ameryka - cała hiszpańska, jak można przypuszczać. Francuskie Indie. Holenderska Afryka Południowa rządzona przez fanatyczny Kościół. A Australia? Kto by odkrył i skolonizował Australię? Holendrzy z południowej Afryki czy Hiszpanie z Ameryki?

Zanurzili się w ocean chmur i po chwili Grant znów odnalazł Wielką Brytanię. Bardzo zabłocone i powszednie miejsce jak na kraj, który zmienił historię świata. Nieustanna mżawka spadała na ten kraj i jego mieszkańców. Londyn był akwarelą namalowaną wszystkimi odcieniami szarości, z plamkami cynobrowej farby olejnej, w miejscach, gdzie ociekające wodą autobusy nurkowały we mgle.

W wydziale daktyloskopii wszystkie światła były zapalone, chociaż jeszcze było jasno. A Cartwright siedział właśnie tak, jak go Grant widział ostatnio - jak go zawsze widział - z nie dopitą filiżanką zimnej herbaty przy łokciu i spodeczkiem pełnym niedopałków-

- Czy mógłbym ci czymś służyć tego pięknego wiosennego popołudnia? - zapytał Cartwright.

- Tak. Jest jedna rzecz, którą bardzo chciałbym wiedzieć. - Czy kiedykolwiek wypieś drugą połowę filiżanki herbaty?

Cartwright zastanowił się nad tym.

- Tak naprawdę, to nie wiem... Beryl zwykle zabiera mi filiżankę i napełnia ją na nowo. Czy coś nowego od ręki? Czy też jest to wizyta towarzyska?

- To jest coś nowego. W poniedziałek będziesz musiał pracować dla mnie, więc nie daj się ponieść swemu poczuciu łaskawości - położył dokumenty Charlesa Martina na stole. - Na kiedy możesz mi to zrobić?

- Co to jest? Francuski dowód tożsamości. W co ty się pchasz... A może chcesz zatrzymać to dla siebie?

- Jeszcze raz stawiam na konia zwanego intuicją. Jak się wyjaśni, to ci opowiem. Odbiorę odbitki jutro rano.

Spojrzał na zegar i uznał, że jeżeli Tad Cullen „wychodzi” wieczorem z Dafne, czy jakąś inną żeńską istotą, to pewnie w tej chwili właśnie się stroi w swoim pokoju. Grant zostawił Cartwrighta i poszedł do telefonu w miejscu, gdzie nikt go nie mógł słyszeć.

- Oo-ho! - zawołał Tad wesoło, gdy usłyszał głos Granta. - Skąd pan mówi? Już pan wrócił?

- Tak, wróciłem. Jestem w Londynie. Posłuchaj, Tad. Mówisz, że nigdy nie znałeś nikogo, kto nazywałby się Charles Martin. Ale czy nie mogłeś znać go pod innym nazwiskiem? Czy nie znałeś bardzo dobrego mechanika, specja od samochodów, który był Francuzem i wyglądał trochę jak Bill?

Tad zastanowił się.

- Nie sądzę, abym znał jakiegoś mechanika Francuza. Znałem mechanika Szweda i mechanika Greka, ale żaden z nich ani trochę nie był podobny do Billa. A dlaczego?

- Otóż Martin pracował na Środkowym Wschodzie. I nie jest wykluczone, że Bill dostał od niego te dokumenty, nim w ogóle przyjechał do Anglii. Martin mógł je zresztą odsprzedać. On był... jest, bo może żyje, bardzo leniwy i pewnie często bez pieniędzy.

Tam, gdzie nikt specjalnie nie troszczy się o referencje, mógł spróbować spieniężyć te papiery.

- Tak, mógł. Cudze dokumenty są tam zwykle więcej warte niż własne. Ale dlaczego właśnie Bill miałby je kupić? Bill nie robił żadnych lewych interesów.

- Może dlatego, że wyglądał trochę jak Martin. Nie wiem. W każdym razie ty nie natknąłeś się na Środkowym Wschodzie na nikogo takiego jak Martin?

- Nie, nigdy. Czego pan się dowiedział od Martinów? Czy było to chociaż warte zachodu?

- Obawiam się, że nie. Pokazali mi fotografie. Martwy Kenrick naprawdę był podobny do Martina. Ale to już wiedzieliśmy. A poza tym dowiedziałem się, że pojechał na Wschód. Czy są jakieś odpowiedzi na ogłoszenie?

- Pięć.

- Pięć?!

- Wszystkie od facetów, którzy się nazywają Bill Kenrick,

- Pytali, czy jest dla nich wiadomość.

- Trafił pan.

- Ani słowa od kogoś, kto go znał?

- Ani mru-mru. I ze strony Charlesa Martina również nic, jak widać. Jesteśmy pogrążeni, prawda?

- Noo, nasiąknięci wodą, powiedzmy. Pozostała nam jedna rzecz.

- Tak? Co to jest?

- Czas. Mamy jeszcze czterdzieści osiem godzin.

- Panie Grant, pan jest optymistą.

- Muszę nim być w moim zawodzie - powiedział Grant, lecz nie czuł się za dobrze. Był senny i zmęczony. Niewiele brakowało, a żałowałby, że kiedykolwiek usłyszał o Billu Kenricku, że nie przeszedł korytarzem w Scoone o dziesięć sekund później. Po dziesięciu sekundach Jogurt uprzytomniłby sobie, że pasażer nie żyje,

zamknąłby drzwi i poszedł po pomoc. A on, Grant, zszedłby na peron nieświadom tego, że kiedykolwiek istniał młody człowiek o nazwisku Kenrick. Nie wiedziałby, że ktoś umarł w pociągu. Odjechałby z Tommym ku wzgórzom i ani jedno słowo o śpiewających piaskach nie zakłóciłoby mu urlopu. W spokoju łowiłby ryby i w spokoju doczekałby końca urlopu. Może jednak za dużo by było tego spokoju? Za dużo myślenia o sobie i swojej udęce, aż do obłądu. Zbyt dużo czasu na sondowanie stanu własnego umysłu i ducha.

Nie, oczywiście, nie martwił się tym, że usłyszał o Billu Kenricku. Jest dłużnikiem Billa Kenricka, póki żyje, i nawet gdyby miał zajmować się tym do końca życia, odkryje wreszcie, dlaczego Bill stał się Charlesem Martinem. Aby tylko zdążył uwinąć się z tą sprawą, zanim przywałą go obowiązki, które oczekiwały na niego w poniedziałek.

Zapytał, jak ma się Dafne, i Tad odrzekł, że ma ona niebывałą przewagę nad każdą inną dziewczyną: zadowala się byle czym. Jeśli dało się jej pęczek fiołków, była nimi ucieszona tak, jak inne dziewczęta orchideami. Tad był całkowicie pewien, że ona nigdy nie słyszała o orchideach, a on osobiście nie ma zamiaru jej uświadamiać w tym względzie.

- Wygląda na domatorkę. Uważaj, Tad, bo ona jeszcze pojedzie z tobą na Środkowy Wschód.

- Póki jestem przytomny, to nie. Żadna kobieta nie pojedzie ze mną na Wschód. Nie będzie mi się żadna słodka-kobietka-nagospodarstwie kręciła po naszym domku. To znaczy, moim domku...
- jego głos zgasł.

Rozmowa urwała się i Grant obiecał zadzwonić, jak tylko będzie miał jakąś wiadomość lub pomysł do przemyślenia.

Wyszedł w wilgotną mgłę, kupił popołudniową gazetę i złapał taksówkę do domu. Tą gazetą był *Signal*. Widok znajomego tytułu spowodował, że cofnął się wspomnieniem do tamtego śniadania

przed czterema tygodniami. Znów pomyślał, jak niezmiennie są nagłówki. Kryzys rządowy, trup blondynki w Maida Vale, wykroczenia celne, napad rabunkowy, przyjazd amerykańskiego aktora, wypadek uliczny. Nawet tytuł „Katastrofa samolotu w Alpach” był dostatecznie powszedni, aby mieć rangę niezmienności.

„Wczoraj wieczorem mieszkańcy hal nad Chamonix ujrzeli, jak na lodowym szczycie Mont Blanc wystrzelił pióropusz ognia...”

Styl *Signalu* też był niezmienny.

Jedynie co na niego czekało na Tenby Court 19, to list od Pata:

*Kochany Alanie, mówią, że trzeba robić
marginusy ale ja myślę, że marginusy
to nonsense, nic z tego nie ma,
to jest muszka, którą dla ciebie zrobiłem,
nie była gotowa przed twoim odjazdem,
ona może nie być dobra na te angielskie
rzeki ale i tak ją lepiej zachowaj
twój kochający kuzyn Patryk.*

To dzieło Pata bardzo Granta rozweseliło. Podczas obiadu analizował oszczędną budowę listu: brak dużych liter i marginesów. Obejrzał załączoną muszkę. Była jeszcze bardziej niezwykła niż ta, którą pożyczono mu w Clune. Zdecydował, że użyje jej nad rzeką Severn w taki dzień, kiedy ryby będą brały nawet na kawałek gumy z termofora, a potem napisze do Pata, że muszka Rankina odniosła wielki sukces.

Typowa szkocka zaściankowość, która przejawiała się w słowach „te angielskie rzeki”, obudziła w nim myśl, że Laura powinna nie zwlekać z posłaniem Pata do angielskiej szkoły. Cecha „szkockości” była niezwykle skoncentrowaną esencją i powinna być zawsze rozcieńczona. Jako składnik była wspaniała; w stanie czystym - wstręt-na jak amoniak.

Przypiął muszkę do kalendarza stojącego na biurku tak, aby stale cieszyła oczy pomysłowością Pata i rozgrzewała ciepłem jego uczucia. Potem z ulgą przebrał się w piżamę i szlafrok. Była przynajmniej jedna pociecha z przebywania w mieście w czasie urlopu: mógł przebrać się w szlafrok i oprzeć stopy na obmurowaniu kominka w całkowitej pewności, że żaden telefon z Whitehall 1212* nie zakłóci odpoczynku.

* Whitehall 1212- numer telefoniczny Scotland Yardu.

Lecz nie utrzymał swych stóp na kominku nawet dwudziestu minut, gdy Whitehall 1212 był już na linii.

Dzwonił Cartwright.

- Czy dobrze cię zrozumiałem, że postawiłeś na swoją intuicję?

- Tak. O co chodzi?

- Nic z tego nie wiem, ale mam wrażenie; że twój koń wygrał - powiedział Cartwright. Potem dodał jedwabistym i słodkim głosem: - Dobranoc panu - i odłożył słuchawkę.

- Hej! - krzyknął Grant uderzając w widełki telefonu. - Hej!

Ale rozmowa była skończona. Nie byłoby sensu dodzwaniać się do niego tego wieczoru. Ten sympatyczny epizod był rewanżem Cartwrighta, opłatą, jaką pobierał za darmowe prace.

Grant wrócił do swojego Runyona, lecz nie mógł już skupić uwagi na osobie sędziego Henry G. Blake'a. Cholerny Cartwright i jego dowcipasy. Z samego rana trzeba będzie pójść do Scotland Yardu.

Ale rano w ogóle zapomniał o Cartwrightcie.

Ranek zaczął się tak jak zawsze brzękiem porcelany i głosem pani Tinker wnoszącej poranną herbatę. To był wstęp do czterech wspaniałych minut, w czasie których mógł jeszcze leżeć, tkwiąc bardziej we śnie niż na jawie i czekając, aż herbata trochę ostygnie.

W związku z tym głos pani Tinker docierał do niego jak z tunelu, który wprawdzie prowadził ku życiu i dziennemu światłu, ale nie trzeba było jeszcze weń wkraczać.

- Niech pan tylko posłucha - mówił głos pani Tinker, najwi-
doczniej komentującej nieprzerwane dudnienie deszczu. - Leje jak z
cebra, jakby dziura w niebie się zrobiła. Chyba znaleźli Szangri-la.
Na dzisiaj wystarczyłoby mi odkrycie Szangri-la.

Słowo to obracało się w jego sennym umyśle jak wodorost w le-
niwej wodzie. Szangri-la. Jakież usypiające. Szangri-la. Jak z powie-
ści czy filmu. Jakiś dziewiczy Eden. Odgradzony od świata.

- Z tego, co piszą w gazecie, widać, że oni tam nigdy nie mają
deszczu.

- Gdzie? - zapytał, aby pokazać, że nie śpi.

- W Arabii, chyba.

Usłyszał, jak zamknęły się drzwi. Zanurzył się głębiej pod po-
wierzchnię świata materialnego, by nacieszyć się tymi czterema
minutami. Arabia. Arabia. Też usypiające. Odkryli Szangri-la w
Arabii. Odkryli...

Arabia!

Wyrwał się nagle ze skłębionych koców i chwycił gazety. *Clari-
on* pierwszy trafił mu do ręki, bo właśnie nagłówki z *Clarionu*
składały się na codzienną porcję lektury pani Tinker.

Nie musiał szukać. Był to najlepszy materiał na pierwszą stronę,
jaki gazety miały od czasów Crippena*

• Chodzi tu o sensacyjny proces truciciela Hawleya H. Crippena, który
odbył się w 1910 r.

**SZANGRI-LA NAPRAWDĘ ISTNIEJE. SENSACYJNE OD-
KRYCIE. HISTORYCZNE ZNALEZISKO W ARABII.**

Prześliznął się wzrokiem po histerycznie podnieconych szpaltach

i zniecierpliwiony odrzucił gazetę na rzecz bardziej godnej zaufania - *Morning News*. Jednakże *Morning News* zdradzał prawie takie samo podniecenie jak *Clarion*. KINSEY-HEWITT DOKONUJE WIELKIEGO ODKRYCIA - podawał *Morning News* SENSACYJNE WIEŚCI Z ARABII.

Z wielką dumą publikujemy depezę naszego korespondenta Paula Kinsey-Hewitta. Jak nasi czytelnicy przekonają się, jego odkrycie zostało potwierdzone przez trzy samoloty RAF-u, które po przybyciu pana Kinsey-Hewitta do Mukalli zostały wysłane w celu zlokalizowania odkrytego miejsca.

Morning News zawarł przedtem kontrakt z Kinsey-Hewittem na serię artykułów o jego podróży do Arabii i gazeta bredziła teraz na temat swego nieoczekiwanego szczęścia.

Pominał pochwalne hymny, jakie *Morning News* śpiewał na swoją cześć, i przeszedł do dużo trzeźwiejszej prozy, której autorem był zwycięski badacz.

Byliśmy w Rub al-Chali w celach naukowych... w naszych głowach nie pojawiła się myśl o badaniu śladów cywilizacji w postaci czy to faktów, czy to legend... kraj dobrze zbadany., nagie góry... na które nikt nie odważył się wspinać... stratą czasu w drodze pomiędzy jedną studnią a następną... w krainie, gdzie woda stanowi o życiu, nikt nie zbacza z drogi, aby wspinać się na wyniosłe szczyty... uwagę przyciągnął samolot, który przybył dwukrotnie w ciągu pięciu dni i przez jakiś czas krążył nisko nad górami... przyszło nam do głowy, że katastrofa lotnicza... możliwy ratunek... narada. Rory Hallard i ja udaliśmy się na poszukiwanie, podczas gdy Daoud i poszedł do źródła

w Zambie po nowy, transport wody... nie było widać żadnego wejścia... ściany jak w Garh Coire na Braerichu... rezygnujemy... Rory... ścieżkę, przed którą zawahałby się nawet kozioł... w dwie godziny do grzbietu... dolinę o zdumiewającej piękności... zieleń szokująca... w rodzaju tamaryszkę... architektura przypomina bardziej Grecję niż Arabię... kolumnady... jasnoskórzy, w typie Persów, z wielkimi oczami... wrodzonym wdzięku i delikatnej budowie... bardzo przyjacielscy... ogromnie podnieceni pojawieniem się samolotu, który najpewniej wzięli za jakiegoś ptaka... brukowane place i ulice... dziwnie wielkowiejski... izolacja wynikająca nie z trudności górskiego szlaku, ale z braku zwierzęcego transportu do przenoszenia wody... pustynia bez tego jest nie do przejścia... w położeniu małej wyspy na oceanie pustyni... tak samo nieświadomi tego, co znajduje się poza pustynią czy też jak daleko się ona rozciąga, jak starożytni byli nieświadomi tego, co leży za Atlantykiem... tradycja zagłady... trudności językowe... jest to przypuszczenie wysnute raczej z gestykulacji... uprawa tarasowa... małpi bóg w kamieniu... Wabar... wybuch wulkanu... Wabar... Wabar...

Morning News zamieścił staranną mapę konturową Arabii z krzyżykami w odpowiednim miejscu.

Grant leżał i patrzył na nie.

Więc to właśnie widział Bill Kenrick.

Wy dostał się z rozszalałego serca burzy, z wirującego piasku, z ciemności i ujrzał zieloną, zamieszkałą dolinę leżącą pomiędzy skałami. Nie ma się co dziwić, że po powrocie wyglądał jak „wstrząśnięty”, jakby „był ciągle tam”. On sam w to do końca nie wierzył.

Wracał na poszukiwanie, aby odnaleźć, a w końcu, aby spojrzeć na to miejsce, którego nie było na żadnej mapie. To... to... było jego Rajem.

O tym napisał na marginesie popołudniowej gazety.

Dlatego właśnie przybył do Anglii, aby...

Do Herona Lloyda, aby...

Do Herona Lloyda!

Cisnął gazetę i wyskoczył z łóżka.

- Tink! - zawołał odkręcając wodę w łazience. - Pal diabli śniadanie! Daj mi trochę kawy.

- Ale nie może pan wychodzić z samego rana tylko po filiżance...

- Nie spieraj się! Daj mi trochę kawy!

Woda huczała w łazience. Kłamca. Cholerny, gładki, bezwzględny, świński kłamca! Próżny, nikczemny morderca i kłamca? Jak on to zrobił?

Na Boga, będzie wisiał za to!

- Na podstawie jakich dowodów? - zapytał uprzejmie jego wewnętrzny głos.

- Zamknij się! Znajdę dowody, nawet gdybym musiał w tym celu odkryć cały nowy kontynent! „Biedaczysko, biedaczysko!” - mówił ten drań Lloyd o nieszczęsnym Kenricku. Boże miłosierny, chyba się sam powieszę, jeśli nie potrafię w żaden sposób go zabić.

- Spokojnie, spokojnie. To nie jest właściwy nastrój do przesłuchiwania podejrzanego.

- Nie będę przesłuchiwał żadnego podejrzanego, idź do diabła ze swoim policyjnym łbem. Pójdę powiedzieć Heronowi Lloydowi, co o nim myślę. A potem mogę nie być oficerem policji.

- Nie możesz pobić sześćdziesięcioletniego człowieka.

- Nie mam zamiaru go pobić. Mam zamiar prawie go zabić. Reguły bicia czy niebicia nie mają tu nic do rzeczy.

- On może jest wart powieszenia, ale niewart tego, żebyś ty musiał Składać rezygnację.

- Powiedział: „uznałem, że jest wspaniały” - uprzejmie i protekcyjnie. Drań. Gładki, próżny drań-morderca. Ten...

Z głębin swego doświadczenia wygrzebywał potrzebne słowa, lecz wściekłość wciąż zżerała go jak ogień.

Wyskoczył z domu po dwóch kęsach grzanki i trzech łykach kawy. Prawie biegiem wpadł do garażu. Było za wcześnie, aby liczyć na taksówkę: najszybciej będzie, jeżeli pojedzie własnym samochodem.

Czy Lloyd przeczytał już gazety?

Jeżeli on normalnie wychodzi z domu przed jedenastą, to śniadanie je na pewno nie wcześniej niż o dziewiątej. Grant bardzo chciałby być na Britt Lane 5, nim Lloyd otworzy poranną gazetę. To byłaby rozkosz, kojąca rozkosz, zadośćuczyniająca rozkosz - obserwować, jak Lloyd odbiera tę wiadomość. Zamordował, aby zatrzymać tajemnicę dla siebie, aby być pewnym, że chwała będzie należeć do niego, a teraz tajemnica była wiadomością z pierwszej strony, a chwała przypadła jego rywalowi. Och, Boże miłosierny, nie pozwól, aby on to już przeczytał.

Dwukrotnie dzwonił do drzwi przy Britt Lane 5, zanim mu otworzono. Ale to nie sympatyczny Mahmud mu otworzył, lecz tęga kobieta w filcowych pantoflach. '

- Czy jest pan Lloyd? - zapytał.
- Och, pan Lloyd wyjechał do hrabstwa Cumberland na parę dni.
- Do Cumberlandu! Kiedy pojechał?
- W czwartek po południu.
- Kiedy pani się go spodziewa z powrotem?
- Pojechali tylko na parę dni.
- Pojechali? Mahmud też?

- Oczywiście że Mahmud też. Pan Lloyd nigdzie nie wyjeżdża bez Mahmuda.

- Rozumiem. Czy może mi pani dać jego adres?

- Chętnie, gdybym miała. Ale im nie zależy na przekazywaniu poczty, gdy wyjeżdżają tylko na parę dni. Czy zostawi pan wiadomość? A może pan jeszcze przyjdzie?

Nie, nie zostawi wiadomości. Wróci tu jeszcze. Jego nazwisko nie ma znaczenia.

Czuł się jak ktoś, kto zahamował zbyt gwałtownie i wyleciał z trasy. Gdy siedł do samochodu, przypomniał sobie, że za kilka minut Tad Cullen przeczyta o tej historii. Jeżeli już nie przeczytał. Wrócił do mieszkania i w przedsiönku został z ulgą przywitany przez panią Tinker.

- Dzięki Bogu, że pan już wrócił. Ten amerykański chłopak wisi na telefonie i chce zrobić coś strasznego.

Nic nie mogę zrozumieć, co on chce powiedzieć. Zwariował całym. Ja mówię pan Grant do pana zadzwoni, jak tylko przyjdzie, ale on nie chce zostawić słuchawki w spokoju. Po prostu kładzie ją i zaraz podnosi. Biegam tam i z powrotem pomiędzy zlewem i telefonem jak... - zadzwonił telefon. - Ma pan! To znowu on!

Grant podniósł słuchawkę. To rzeczywiście był Tad i rzeczywiście był nieprzytomny z furii.

- Ależ on łął! - krzychał. - Ten gość łął. Oczywiście że Bill mu to wszystko powiedział!

- Oczywiście że kłamał. Posłuchaj Tad... Posłuchaj. Nie, nie możesz pójść i zrobić z niego galarety... Tak, oczywiście możesz sobie pójść do jego domu, nie wątpię w to, ale... Posłuchaj, Tad!... Ja byłem u niego... Tak, nawet przed chwilą. Czytam gazety wcześniej niż ty... Nie, nie natłukłem go. Nie mogłem... Nie, nie dlatego, że jestem strachliwy, ale dlatego, że on jest w Cumberlandzie... Tak, od czwartku... Nie wiem. Muszę o tym pomyśleć. Daj mi czas do

lunchu. Czy masz do mnie zaufanie? No, to musisz zaufać i teraz. Muszę mieć czas do namysłu... Żeby wymyślić jakieś uzasadnienie... Taki jest zwyczaj... Oczywiście, opowiem moją historię w Scotland Yardzie, nie bój się, uwierzą mi. Mam na myśli moją historię o wżycie Billa u Lloyda i kłamstwach Lloyda wobec mnie. Jednak udowodnienie, że Charles Martin był Billem Kenrickiem, to zupełnie inna sprawa. Do lunchu będę pisał oświadczenie dla Yardu. Przyjdź około pierwszej, to zjemy razem. Po południu muszę całą sprawę przekazać władzom.

Ta myśl była mu nieznośna. To była jego prywatna walka. Od samego początku to była jego prywatna walka. Od chwili kiedy spojrział przez otwarte drzwi przedziału na martwą twarz nieznanego chłopca. Od czasu spotkania z Lloydem walka była tysiącokrotnie bardziej prywatna.

Zaczął już pisać, gdy przypomniał sobie, że nie odebrał dokumentów od Cartwrighta. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i poprosił o wewnętrzny. Czy Cartwright mógłby znaleźć jakiegoś gońca i przysłać mu te dokumenty? On, Grant, jest szalenie zajęty. Jest sobota, więc porządkuje swoje sprawy przed pójściem do pracy w poniedziałek. Będzie mu bardzo wdzięczny.

Wrócił do swojego pisania i tak go to zaabsorbowało, że tylko mgliście uświadomił sobie, że pani Tinker przyniosła drugą pocztę: południową. I kiedy podnosił wzrok znad papieru szukając w myślach odpowiedniego słowa, wzrok jego padł na kopertę leżącą koło niego na stole. Była to elegancka koperta, pękata od zawartości, zaadresowana wąskim, pochylonym, nieczytelnym pismem, które było jednocześnie wymuskane i ozdobne.

Grant nigdy nie widział pisma Herona Lloyda, ale rozpoznał je natychmiast.

Odłożył pióro ostrożnie, jakby nieznaną list był bombą i każde

nieoczekiwane drgnięcie mogło spowodować wybuch.

Wytańdł dłonie o spodnie gestem nie stosowanym od czasów dzieciństwa, gestem małego chłopca, który przyjmuje wyzwanie losu. Położył rękę na kopercie.

List był nadany w Londynie w czwartek rano.

Rozdział XIV

„**D**rogi panie Grant!

Czy może powinienem mówić: Inspektorze? O, tak, wiem o tym. Nie zajęło mi wiele czasu, aby to wykryć. Mój wspaniały Mahmud jest lepszym detektywem niż którykolwiek z waszych obiecujących amatorów z Embankment. Nie będę jednak tytułował pana oficjalnie, bo jest to list prywatny. Piszę do pana jako ktoś wyjątkowy do innego wyjątkowego człowieka, równie godnego uwagi. Prawdę powiedziawszy, właśnie panu przedstawiam te fakty, a nie prasie, dlatego jest pan jedynym Anglikiem, który mnie wprowadził w chwilowy podziw.

I oczywiście dlatego, że jestem pewien pańskiego zainteresowania.

Dzisiaj rano otrzymałem list od mego kolegi Paula Kinsey-Hewitta, informujący o jego odkryciu w Arabii. List był nadesłany z redakcji *Morning News* na jego żądanie. Miał wyprzedzić publikację wiadomości w dniu jutrzejszym. Gest kurtuazji, za który jestem mu wdzięczny. Jak na ironię młody Kenrick zamierzał także jemu powiedzieć o istnieniu doliny. Często widywałem się z młodym Kenrickiem podczas jego bytności w Londynie i nie mogłem dopatrzeć się w nim czegoś, co by rokowało tak wielką przyszłość. Był bardzo pospolitym młodym człowiekiem. Spędzał dni latając bezmyślnie na mechanicznym urządzeniu nad pustyniami, które ludzie zdobywali

wyłącznie cierpieniem i śmiałością. Głowę miał pełną planów; ja miałem mu zapewnić transport, a on by mnie poprowadził do tego swojego znaleziska. To był oczywiście absurd. Nie po to przeżyłem życie i zdobyłem sławę na pustyni, aby mnie prowadził ku odkryciu jakiś obserwator przyrządów pochodząca z zaułków w Portsmouth, któremu na dodatek miałem zapewnić transport i wynajmować wielbłądy. Ten młodzik, który dzięki kapryswi klimatu, dzięki geograficznemu przypadkowi natknął się na jedno z największych odkryć na świecie, nie powinien był łudzić się, że sięgnie po laury kosztem ludzi, którzy swe życie poświęcili badaniom.

O tyle, o ile mogłem go ocenić, jedyną zaletą tego młodego człowieka (dlaczego poświęca Pan tyle uwagi tak nieciekawemu przypadkowi masowej produkcji ludzkiej?) była ogromna powściągliwość. W mowie, oczywiście. Proszę mnie dobrze zrozumieć. A z mojego punktu widzenia było to ważne, aby nie rozpuścić trzymanego dotąd na wodzy języka.

Ponieważ umówił się na spotkanie z drugim takim samym jak on, czwartego w Paryżu (biedna, piękna Lutecja*, gwałcona wciąż przez barbarzyńców), miałem niecałe dwa tygodnie, aby rzecz zorganizować. W istocie nie potrzebowałem nawet dwóch tygodni. W razie konieczności mogłem osiągnąć cel w dwa dni.

*Lutecja- łacińska nazwa Paryża.

Kiedyś, jadąc nocnym pociągiem do Szkocji, nie położyłem się spać, bo chciałem napisać kilka listów i nadać je w Crewe, gdzie pociąg ma pierwszy postój. Patrząc na peron po wysłaniu moich listów, pomyślałem sobie wówczas, jak łatwo by było niepostrzeżenie opuścić pociąg. Konduktor przyjął nowych pasażerów, a potem wrócił do swoich spraw. Pociąg stał na zupełnie pustym peronie, podczas gdy ładowano bagaż do bardzo odległych wagonów.

Ktoś, komu udałooby się dojechać tak daleko niezauważonym, mógłby wysiąść z pociągu i nikt nigdy by się nie dowiedział, że on w nim był.

Pamięć o tym była pierwszą z dwóch przesłanek mojego pomysłu.

Drugą były posiadane przeze mnie papiery Charlesa Martina.

Charles Martin był moim mechanikiem. Był jedynym Europejczykiem i jedynym technikiem (jak żałośnie trafne jest to słowo!), jakiego kiedykolwiek zatrudniałem. Zaangażowałem go na moją najmniej udaną, pół-zmechanizowaną ekspedycję, gdyż moi Arabowie (niestety, mimo że uczą się błyskawicznie!) nie mieli zdolności technicznych. Martin to odrażająca kreatura. Obchodziło go tylko spalanie wewnętrzne. Wymigiwał się od obowiązków obozowych. Nie było mi więc przykre, gdy umarł w samym sercu pustyni. W międzyczasie pojazdy okazały się bardziej zawadą niż pomocą i postanowiliśmy je porzucić. Martin i tak już był nieprzydatny. (Nie, nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią; w tym wypadku Niebiosa same dokonały swego dzieła.) Nikt nie zapytał o jego papiery, a ponieważ trasa wyprawy prowadziła od wybrzeża do wybrzeża, nie wróciłem już do miasta, w którym go zaangażowałem. Jego papiery spoczywały w moim bagażu jako rzecz nie obchodząca ani mnie, ani nikogo innego, i wróciły ze mną do Anglii.

Przypomniałem sobie o nich, kiedy trzeba było uciszyć młodego Kenricka. Kenrick był bardzo podobny do Charlesa Martina.

Kenrick ułożył sobie taki plan, że wystąpi w roli Cartera i Patersona* Wschodu, a potem ja do niego dołączę i zorganizujemy

- Howard Carter (1872-1939)- odkrywca grobu Tutenchamona, W i 11 i a m P a t e r s o n (1659-1719) - angielski finansista i podróżnik po Europie i Azji.

razem naszą ekspedycję. Często do mnie przychodził na Britt Lane, aby omawiać marszruty i upajać się perspektywą czekającej go przyszłości. Bawiło mnie, jak paplał te swoje bzdury, podczas gdy ja miałem dla niego przygotowaną jakże odmienną drogę do nieśmiertelności.

Zaplanował wyjazd do Paryża nocnym promem, trzeciego. Jak się wydaje, „kolekcjonował” promy. Wiele mil drogi by nadłożył, aby przepawić się przez strumień, który mógłby przejść po moście stojącym o krok od niego. Prom do Dover był jego dwusetnym, jak sądzę. Gdy mi powiedział, że zarezerwował łóżko na promie kolejowym, natychmiast po jego odejściu zarezerwowałem na ten sam wieczór sypialny do Scoone na nazwisko Charlesa Martina.

Gdy spotkaliśmy się następnym razem, powiedziałem, że wyjeżdżam do Szkocji tego samego wieczoru, co on do Paryża, i zaproponowałem, żeby wobec tego zostawił swój bagaż (miał tylko dwie walizki) w przechowalni na dworcu Victoria, zjadł ze mną wczesną kolację na Britt Lane i potem odprowadził mnie na Euston.

Sprawiało mu zawsze ogromną przyjemność, jeżeli mógł zastosować się do jakiejś mojej propozycji. Zgodził się i na tę, czego zresztą byłem pewien. Na kolację mieliśmy danie z ryżu, kotletów i moreli. Mahmud nauczył panią Lucas, jak się coś takiego robi (trzeba wszystko razem długo dusić, aby całe danie przeszło zapachem moreli). Potem Mahmud odwiózł nas na Euston. Na dworcu posłałem Kenricka, by odebrał mój bilet sypialny, a sam poszedłem odszukać swój przedział. Potem stałem na peronie i czekałem na Kenricka. Jeśliby przypadkiem Kenrick zdziwił się, dlaczego podróżuję jako Charles Martin, mogłem to wytłumaczyć koniecznością podróży incognito, co przy mojej popularności było zrozumiałe. Ale on

nie wspomniał o tym.

Poczułem, że bogowie są po mojej stronie, gdy zobaczyłem, że konduktorem jest Stary Jogurt. Pan nie zna Starego Jogurta. On nigdy w czasie swojej kariery nie zaszczycił swym zainteresowaniem żadnego pasażera, choćby nie wiadomo jak ważnego. Gdy jest na służbie, jego jedynym celem jest zamknąć się w swoim przedziale w pierwszej stosownej ku temu chwili i położyć się spać.

Mieliśmy niecałe pięć minut do odejścia pociągu. Rozmawialiśmy przez chwilę, stojąc przy na pół otwartych drzwiach przedziału, przy czym Kenrick stał twarzą do korytarza. Niebawem powiedział, że lepiej będzie, jak już wysiądzie, bo w przeciwnym razie zawiozą go do Szkocji. Wskazałem na mój mały neseser, który leżał obok niego na ławce i powiedziałem: „Gdy otworzysz tę walizkę, to znajdziesz coś dla siebie. Na pamiątkę do następnego spotkania”.

Z prawie dziecięcą gorliwością pochylił się, by odpiąć oba zamki. Pozycja była idealna. Wyciągnąłem z kieszeni najdoskonalszą broń, jaka była kiedykolwiek wymyślona przez człowieka do unieszkodliwienia nic nie podejrzewającego przeciwnika. Prymitywny człowiek nie miał w pustynnych krajach ani noża, ani strzelby, lecz uczynił swym sługą piasek. Wystarczy szmata i parę garści piasku, a czaszka pęka jak skorupka jajka. Pęka bardzo zgrabnie, bez krwi i innych śladów. Chrząknął tylko i upadł do przodu na walizkę. Zamknąłem i zaryglowałem drzwi. Potem sprawdziłem, czy mu nos nie krwawi. Nie krwawił. Ściągnąłem go z łóżka i wepchnąłem pod spód. To był mój jedyny błąd. Tylko połowa przestrzeni pod łóżkiem była wolna, druga zaś czymś zabudowana i mimo że Kenrick był szczupły i drobny, nie mogłem usunąć jego nóg z pola widzenia. Zdjąłem więc mój płaszcz i rzuciłem go tak, aby zwiisał na dół i

zakrywał nogi. Potem ułożyłem fałdy płaszcza, by wyglądały na przypadkowe, i wtedy usłyszałem gwizdek. Położyłem bilet w jedną stronę, wraz z biletem sypialnym, na małej półce pod lustrem, gdzie mógł je zobaczyć Jogurt, i przeszedłem korytarzem do toalety. Nikogo nie obchodziło nic innego poza samym odjazdem. Zamknąłem się w toalecie i czekałem.

Po mniej więcej dwudziestu minutach usłyszałem trzaskanie kolejno zamykanych drzwi, co znaczyło, że Jogurt robi swój obchód. Gdy usłyszałem go w przedziale obok, zacząłem się hałaśliwie myć. Chwilę później zapukał do drzwi i zapytał, czy jestem pasażerem z B-Siedem. Powiedziałem, że tak. Oznajmił, że znalazł moje bilety i że je zabrał. Usłyszałem, jak przeszedł do następnego wagonu, i zaczął tam swoje trzaskanie drzwiami. Wtedy poszedłem do B-Siedem i zamknąłem się.

Miałem jeszcze całe trzy godziny, aby doprowadzić wszystko do perfekcji.

Jeśli kiedykolwiek będzie Pan chciał być pewien swego niezakłóconego spokoju, drogi Panie Grant, to niech Pan sobie kupi bilet sypialny na północ Szkocji. Nigdzie na świecie nie jest się tak zabezpieczonym przed czymś wtargnięciem, jak w przedziale sypialnym, gdy konduktor zrobi już swój obchód. Nawet bardziej niż na pustyni.

Wyciągnąłem Kenricka spod łóżka, potarłem jego głowę o krawędź umywalki i położyłem go na łóżku. Sytuację ułatwiał mi jeszcze jego kosmopolityzm w dziedzinie ubioru. Jego bielizna wyglądała jak prana w rzece Ganges, garnitur uszyto w Hongkongu, a buty w Karaczi. Zegarek Kenricka był tani, metalowy, bez imienia i bez inicjałów. Opróżniłem mu kieszenie i włożyłem do jednej z nich portfel Martina z całą zawartością.

Ciągle jeszcze żył, ale przestał oddychać, gdy mijaliśmy stację w Rugby.

Od tego momentu uzupełniałem dekorację. I nie sądzę, abym coś przeoczył, nieprawdaż, Panie Grant? Szczegóły zostały doprowadzone do perfekcji, mam na myśli również włosy na umywalce i kurz na dłoniach. W neseserze, który zostawiłem, były moje stare ubrania, znoszone i sprane, podobne do tych, jakie on zwykł używać; były tam też francuskie rekwizyty, które mogłem dostarczyć z własnych zasobów: powieść i Nowy Testament. Neseser zawierał oczywiście bardzo istotną w tym wypadku butelkę.

Kenrick miał niezwykle silną głowę. Oczywiście mam na myśli picie, a nie wynik uderzenia. Przy obiedzie łąłem w niego whisky, następnie poczęstowałem go strzeziennym takiej wielkości, że każdy wzdrygnąłby się na sam widok. On prawdę mówiąc spojrzął na te pół szklanki czystej whisky z niejakim wahaniem, ale jak powiedziałem, zawsze chętnie mi ulegał, więc wypił do dna bez protestu. Był nadal trzeźwy. Lub też: sądząc z pozorów trzeźwy. Jednak whisky przesyciła zarówno jego krew, jak i żołądek.

Kiedy zaczęły już migać światła Crewe, dokonałem ostatniego posunięcia. Położyłem na wpół opróżnioną butelkę na podłodze i potoczyłem ją tam i z powrotem po chodniku. Gdy pociąg zwolnił, odryglowałem drzwi, zamknąłem je za sobą i poszedłem wzdłuż pociągu, zostawiając za sobą kilka wagonów. Stałem, patrząc z udanym zainteresowaniem na ruch stacji, niedbale zszedłem na peron i oddaliłem się. Nie wyglądałem na pasażera i nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Wróciłem do Londynu pociągiem, który odjeżdżał o północy. Na Euston przybyłem o pół do czwartej. Byłem tak ożywiony, że przeszedłem całą drogę do domu na piechotę. Czułem się, jakbym miał skrzydła u ramion. Sam otworzyłem sobie drzwi i wpół do ósmej

już spokojnie spałem, gdy Mahmud przyszedł do mnie i przypomniał, że o pół do dziesiątej rano mam podejmować przedstawicieli magazynu „Pathé”.

Dopóki pan mnie nie odwiedził, nic nie wiedziałem o tych słowach napisanych na gazecie, która znajdowała się w kieszeni jego płaszcza. Przysnąłem, że przez chwilę byłem przerażony, że w ogóle coś przeoczyłem, ale natychmiast uspokoiło mnie nikłe znaczenie tego niedopatrzania. Nie umniejszało ono w niczym mojego unikalnego osiągnięcia. Zostawiłem ten żaloszny szmatławiec jako element dekoracji. I jeżeli nawet okazało się, że na niej były słowa pisane ręką Kenricka, to i tak nie zmieni to faktu, że władze uznały młodego człowieka za Charlesa Martina.

Następnego wieczoru, w czasie godzin szczytu, pojechałem na dworzec Victoria i odebrałem obie walizki Kenricka z przechowalni. Wziąłem je do domu, usunąłem metki producentów i inne przedmioty łatwe do zidentyfikowania. Zapakowałem obie w worek i wysłałem wraz z zawartością do organizacji uchodźców na Bliskim Wschodzie. Jeśli kiedykolwiek będzie się Pan chciał czegoś pozbyć, drogi Panie Grant, to niech Pan tego nie pali. Niech Pan to wyśle na daleką wyspę na morzach południowych.

Pewny już teraz, że znakomicie powściągliwy język młodego Kenricka pozostanie powściągliwy na zawsze, z góry cieszyłem się z owoców mojej pracy. Prawdę powiedziawszy, już wczoraj miałem zapewnienie, że otrzymam odpowiednią subwencję dla mojej ekspedycji. Planowałem odlecieć w przyszłym tygodniu. Dzisiejszy poranny list od Kinsey-Hewitta oczywiście zmienia wszystko. Owoce mojej pracy zostały mi odebrane. Ale nikt nie może odebrać mi istoty osiągnięcia. Jeśli nie mogę zasłynąć jako odkrywca Wabaru, to będę znany jako autor jedyne go morderstwa doskonałego, jakie kiedykolwiek zostało dokonane.

Nie stać mnie na to, aby trzymać pochodnię przy triumfalnym wjeździe Kinsey-Hewitta. I jestem zbyt stary, by jeszcze osiągać własne triumfy. Mogę jednak zapalić płomień, przy którym zbledną pochodnie płonące na ołtarzu Kinsey-Hewitta. Mój pogrzebowy stos będzie latarnią, która oświetli całą Europę, a moje doskonałe morderstwo - falą przyływu, która zmiecie Kinsey-Hewitta i Wabar do koszy na śmiecie prasy całego świata.

Tego wieczoru o zmroku zapalę swój własny stos na szczycie najwyższej góry w Europie. Mahmud o tym nie wie. Myśli, że polecimy do Aten. Był jednak u mnie tyle lat, że beze mnie czułby się bardzo nieszczęśliwy. Więc biorę go ze sobą.

Żegnaj, drogi Panie Grant. Przykro mi, że ktoś o takiej inteligencji jak Pan marnuje swój talent w tej raczej głupiej instytucji na Embankment. Pana odkrycie, że Charles Martin nie był Charlesem Martinem, ale kimś o nazwisku Kenrick, świadczy o dużej inteligencji. I za to należy się Panu mój szacunek. Ale zabrakło Panu sprytu, aby wykryć, że on nie umarł w wyniku wypadku. Czego zaś nikt w ogóle nie jest w stanie wykryć, to faktu, że ja jestem człowiekiem, który go zabił.

Proszę przyjąć ten list jako wyraz mojego szacunku i *pour prendre congé**. Pani Lucas wyśle go w piątek rano.

H.C. Heron Lloyd”

* *Pour prendre congé* (franc.) - jako pożegnanie.

Grant uświadomił sobie, że pani Tinker wprowadza Cullena do pokoju i że musiała już tu niepostrzeżenie przedtem wchodzić, bo przed nim na biurku leżała koperta z Yardu.

- Więc? - zagadnął Tad z twarzą wciąż wzburzoną. - Co teraz robimy?

Grant pchnął ku niemu kartki listu Lloyda.

- Co to jest?
- Przeczytaj.

Tad wziął je z ociąganiem, spojrzął na podpis i zagłębił się w tekście. Grant wetknął kciuk w kopertę przysланą od Cartwrighta i rozdarł ją.

Tad skończył czytać, podniósł głowę i zaszokowany patrzył na Granta.

- To jest lepkie od brudu - wykrztusił wreszcie.
- Tak. Wstrętne.
- Chodząca próżność.
- Tak.
- We wczorajszych popołudniowych gazetach pisali o katastrofie. Samolot w płomieniach na Mont Blanc. To o to chodzi.
- Tak.
- Omal by się z tego wywinął, mimo wszystko.
- Nie.
- Nie? Pomyślał o wszystkim, nieprawdaż?
- Oni nigdy nie myślą o wszystkim.
- Oni?
- Mordercy. Lloyd zapomniał o tak rzeczywistej rzeczy jak odciski palców.
- Co pan ma na myśli? Że działał bez rękawiczek? Nie wierzę w to!
- Oczywiście, że robił to w rękawiczkach. Na niczym, czego dotknął w przedziale, nie było jego odcisków palców. Zapomniał o tym, że w przedziale było coś, z czym miał do czynienia wcześniej.
- Co to było?
- Dokumenty Charlesa Martina - Grant przytknął palcami w dokumenty leżące na biurku. - Są pokryte odciskami Lloyda. Oni nigdy nie myślą o wszystkim.

Rozdział XV

Zupełnie jak pan młody - powiedział z zadowoleniem sierżant Williams, uroczycie i z pompą witając Granta w poniedziałek rano.

- Aha, zaraz pewnie obrzucą mnie ryżem. Jak dzisiaj z reumatyzmem starszego pana?

- O, zdaje się, że całkiem dobrze.

- Co pali? Fajkę? Czy papierosy?

- Fajkę.

- To teraz wejdę, póki barometr wskazuje pogodę.

W przejściu spotkał Teda Hannę.

- Jak się natknąłeś na Archie Browna? - zapytał Hanna, gdy Grant się z nim przywitał.

- Natknąłem się na niego w okolicy, gdzie mieszkałem. Pisał epos po gaelicku. A te jego „kruki”, tak na marginesie, to zagraniczne łodzie rybackie.

- Czyżby? - rzekł Hanna nieruchomiejąc z przejęcia. - Skąd to wiesz?

- Spotykają się na zabawach. To jest stara metoda: „chcesz-papierosa-nie-nie-zatrzymaj-całą-paczkę”-

- Pewien jesteś, że to nie były papierosy?

- Całkiem pewien. Opróżniłem jego kieszeń w czasie jednego Wielkiego Łańcucha i napełniłem tym samym w czasie następnego.

- Nie będziesz mi mówił, że tańczyłeś na wiejskiej zabawie!

- A czego ja tam nie robiłem! Zdziwiłbyś się. Sam jestem trochę zdumiony.

- Co to był za towar?

- Komplet najwspanialszych obrazków z gatunku „szczególnie

ordynarne”.

- Tak? - rzekł Hanna namyślając się. A potem na jego twarzy pojawiło się rozbawienie. - Ktoś marnuje okropnie dużo forsy.

- Tak. Owieczka w przebraniu wilka. A powinieneś zobaczyć to przebranie! - powiedział Grant, kierując się w stronę drzwi Szefa.

- Wakacje chyba dobrze ci zrobiły - powiedział Hanna. - Patrzysz z góry na cały świat. Aż mrużysz z zadowolenia.

- Jak mówią na dalekiej północy, nie zamieniłbym się nawet z królem - powiedział Grant i naprawdę tak myślał.

Był szczęśliwy nie dlatego, że zamierzał wręczyć Bryce'owi raport, nawet nie dlatego, że znów był sobą. Był szczęśliwy z powodu tego, co młody Cullen powiedział mu dzisiaj rano na lotnisku.

- Panie Grant - powiedział Tad, wyprostowany i uroczyście, wygłaszając małe oficjalne przemówienie pożegnalne, jak dobrze wychowany Amerykanin. - Chcę, aby pan wiedział, że nigdy nie zapomnę tego, co zrobił pan dla mnie i dla Billa. Nie może mi pan wrócić Billa, ale zrobił pan coś o wiele wspanialszego: uczynił go pan nieśmiertelnym.

W istocie, on to właśnie uczynił. Jak długo będą pisane książki, jak długo czytana historia-Bill Kenrick będzie żył. I to właśnie on, Alan Grant, tego dokonał. Kenricka pogrzebano na głębokości sześciu stóp w zapomnieniu, ale on, Alan Grant, wykopał go z powrotem i postawił na należnym mu miejscu odkrywcy Wabaru.

Splacił swój dług, który winien był martwemu chłopcu z B-Siedem.

Bryce przywitał go uprzejmie, powiedział, że dobrze wygląda (co było bez znaczenia, bo już to mówił przy ich ostatnim spotkaniu), i zaproponował, że może Grant pojechałby do Hampshire na wezwanie tamtejszej policji, które właśnie nadeszło.

- Jeśli nie zrobi to panu różnicy, to chciałbym wpierw pozbyć się mordercy Kenricka.

- Pozbyć się czego?

- To jest mój pisemny raport w tej sprawie - powiedział kładąc przed Brycem solidny plik kartek dużego formatu, które były produktem niedzieli spędzonej w domu.

I w tym momencie przypomniał sobie, niewyraźnie i ze zdumieniem, że to własną rezygnację zamierzał przedtem położyć przed Brycem.

Jakie dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy na urlopie!

Miał zamiar pójść na emeryturę, być hodowcą owiec czy czymś takim i ożenić się.

Co za nedorzeczny pomysł! Absolutnie nedorzeczny pomysł!

Spis rozdziałów

Rozdział I.	7
Rozdział II	22
Rozdział III	41
Rozdział IV	56
Rozdział V	73
Rozdział VI	84
Rozdział VII	97
Rozdział VIII	107
Rozdział IX	118
Rozdział X	144
Rozdział XI	162
Rozdział XII	182
Rozdział XIII	197
Rozdział XIV	221
Rozdział XV	231